

LEO KESSLER

**ROZKAZ
WYMARSZU**

BATALION SZTURMOWY SS

ROZKAZ WYMARSZU

Przekład Joanna Jankowska

BATALION SZTURMOWY SS WOTAN

INSTYTUT WYDAWNICZY ERICA

Tytuł oryginału FORCED MARCH

Redakcja Robert Wiktorowicz

Korekta Maria Gajda

© Copyright by Leo Kessler

Originally published in English by Spellmount Ltd under the title:

FORCED MARCH copyright text © Leo Kessler, 1974

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est".

The Author asserts the moral right to be identified

as the Author of this work.

WYDANIE PIERWSZE

Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2009

ROZKAZ WYMARSZU

Należycie do Batalionu Szturmowego SS Wotan i sposób, w jaki poniesiecie śmierd, nie może przynieść wstydu naszej jednostce. Kiedy będziecie leżed zapomniani we francuskiej ziemi, a wasze beczynne kości zgniją, pamięd o naszym batalionie będzie trwad. Czy rozumiecie to, żołnierze?

Sęp, dowódca Batalionu Szturmowego SS Wotan. Dieppe, Francja, lipiec 1942.

KSIĘGA PIERWSZA

OPERACJA JUBILEE

Mountbatten, zrozum. Żądam od ciebie porażki w Dieppe!

Premier Winston Churchill do lorda Louisa Mountbattena, czerwiec 1942.

JEDEN

* Wielki Boże i wszystkie trójce święte! * zawołał sierżant Schulze z Batalionu SS Wotan.

Uniósł się trochę z łóżka w szpitalu polowym i wypuścił z siebie słynną serię pierdnięć.

Naprzeciwko niego leżał młody grenadier pancerny zwany Jednojajecznym, bo tuż przed gorączkowym atakiem na Moskwę otrzymał postrzał w lewe jądro. Obok leżał Lung, trafiony w okolicę krzyżową podczas przekraczania Bugu, który bełkotał teraz więcej niż normalnie.

* Pozwoliłem ulecieć małemu zielonemu dymkowi, to wszystko * zamruczał Schulze i spróbował podrapać się po wielkim nosisku, ale bez powodzenia.

Nie powinno to specjalnie dziwić, bo obie dłonie miał mocno zabandażowane aż do nadgarstków.

Poparzenie było efektem zbyt wolnej reakcji na wybuch butelki z benzyną w trakcie chaotycznej walki wręcz w okolicy Kijowa.

Obok, w łóżku Matza, zapiszczały sprężyny, gdy jego właściciel próbował obrócić się z wyrazem bólu na twarzy.

* Co ci znowu przeszkadza, Schulze? * spytał. Sierżant spojrział na swojego pokręconego towarzysza z Wotana. Blond włosy Matza były nieprawdopodobnie zmierzwiłone * nie cesał ich od czasu, gdy pociąg przywiózł ich do szpitala La Charite w Berlinie, a od tamtej chwili minęły już dwa tygodnie. Popiół z papierosów upstrzył jego niebieską pościel jak śnieg zmrożoną ziemię.

* Mówiliście coś do mnie, kapralu? * spytał dziko Schulze.

* A do kogo, jak myślisz, ty mokry koci ogonie? Do Winstona, gównianego Spencera z gównianego rodu Churchillów?

* Dodawaj na koocu „sierżancie” * szczechnął Schulze. * I pamiętaj o okazywaniu szacunku rannemu podoficerowi albo wsadzę ci tę twoją sztuczną nogę w tyłek, aż ci oczy wyjdą na wierzch!

Wskazał wzrokiem na protezę Matza, która zwisała z poręczy szpitalnego łóżka.

* Dobrze, sierżancie Schulze. O co chodzi? Znowu macie bóle brzucha? Jesteśmy w miłym szpitalu tysiąc kilometrów za linią frontu, na której owłosione Iwany chciały nam odstrzelić jaja. Czego jeszcze więcej chcecie, sierżancie?

* Chcę się stąd wydostać, Matz, tego mi potrzeba. Mam tego miejsca po dziurki w nosie. Nie mam pieprzonego soku, ten cholerny na* prawiacz kości zabrał mi ostatnią piersiówkę dziś rano. Nie ma pieprzonych rekrutów i nie

ma pieprzonego Wotana! * stwierdził ze smutkiem były doker. * Zostaliśmy opuszczeni przez nasz rodzimy batalion. I mam dośd tych lekarzy, nadających się do ssania bananów, bo według mnie każdy z nich to parowa. Ja

* z tymi dwoma bezużytecznymi chwytakami, i ty * z jedną pieprzoną nogą, którą ci urwało, i drugą, którą ci obetną owi słabi na umyśle medycy!

Szulze chrząknął i splunął żałośnie w stronę mosiężnej spluwaczki stojącej na środku sali.

Siostra Klara * brzydka pielęgniarzka z Czerwonego Krzyża, około czterdziestki, która myła blade ciało grenadiera pancernego * przerwała swoje zajęcie i spojrzała na nich.

* Zabraniam się panu tak odzywad w mojej obecności, sierżancie! * powiedziała ostro.

* Niech pan uważa na swój jęzor albo powiem o wszystkim naczelnemu lekarzowi!

Pociągnęła nosem z przekonaniem i powróciła do pracy.

* Tak właśnie dzieje się z brzydkimi kobietami, Matz * powiedział Schulze, podejmując wyzwanie. *

Brzydki facet zawsze może wynająd sobie na ulicy jakąś blond szlifierkę do bruku, których pełno na Kudammie. Ale brzydka kobieta, co ona może zrobid? Ona sobie chłopa nie kupi.

Wzdrygnął się i skrzywił z bólu.

* Wszystko, co może, to doprowadzid się do szaleostwa paluszkami.

Siostra Klara., nadal myjąca grenadiera, zrobiła się szkarłatna na twarzy. A rozbawiony Schulze obserwował, jak zmiana koloru skóry obejmowała powoli kark ponad kołnierzykiem fartucha.

* Oczywiście we Francji mają domy dla takich kobiet * Matz ochoczo włączył się do gry.

* Co?

* No, domy publiczne dla kobiet.

Szulze wykrzywił twarz, udając obrzydzenie.

* Co za świosstwo! * obwieścił. * I zaufaj tym brudnym żabojadom! Jeśli pomyślisz o jakimś brudnym zbroceniu, to zaraz okazuje się, że Francuzi już je wymyślili. Nic dziwnego, że Fuhrer w swojej niezmierzonej mądrości wyświadczył im przysługę i zajął dwa lata temu ich kraj, aby nauczyd ich dobrych niemieckich obyczajów. Według mnie to zabawne byd zmuszanym do wkładania tego małego kawałka mięsa w coś takiego, nawet dla pieniędzy.

* Aby byd uczciwym, Schulze * mówił Matz, udając, że bardzo przejął się wizją kolegi * nie powiedziałbym nie. Takie ryczące czterdziestki są bardzo swawolne.

* Dla ciebie to proste, Matzi * chrząknął żałośnie Schulze. * Ale ja, ze swoimi płetwami, nie zrobię sobie dobrze z taką starą wdówecz* ką. Spójrz tam, Jednojajeczny zaraz dostanie orgazmu.

Wskazał na grenadiera, który leżał z otwartymi ustami i, wyprężony, gwałtownie oddychał, gdy siostra Klara obmywała mu genitalia.

* Nawet on dostaje lekkiej drgawki.

* Założę się, że ona też * dodał złośliwie Matz, błyskając lubieżnie oczami. * Popatrz, jak trzyma jego armatkę. Mógłbyś pomyśleć, że obrabia klejnoty cesarza pruskiego, i to jak! Zobacz, przecież on wygląda jak choinka na Boże Narodzenie. Zakładam się, że dzisiaj wieczorem, gdy wpadnie do łóżka, rączki będą jej chodzić jak wytrawnemu skrzypkowi. Brr!

Mały kapral chrapnął gardłowo. Tego było już za dużo dla siostry Klary. Zarzuciła szmatkę do mycia na penis grenadiera.

* Doniosę o wszystkim szefowi * powiedziała łamiącym się od płaczu głosem. * On będzie wiedział, gdzie takie dwie bestie o brudnych pyskach mają trafid * do oddziału karnego.

Po czym wyszła, pozostawiając rozczarowanego grenadiera okrytego szmatką do mycia. Schulze spojrzął

szydlerczo na Matza.

* No i o co ten raban, Matzi? * spytał. * Czy zrobiliśmy coś złego?

Ale nim towarzysz zdołał odpowiedzieć, rozległo się, ciche z początku, wycie syren, które wskazywało, że wkrótce w Berlinie złoży wizytę RAF.

* Czerwony alarm * powiedział Matz. * Wkrótce będą tu Tommies (Potoczne określenie brytyjskich żołnierzy.) i jak zwykle zrzucą trochę kanciastych jaj. Świnie!

Schulze wydawał się go nie słuchać.

* Matzi, wynosimy się! * oznajmił krótko.

* Ta paskudna krowa nie wsadzi mnie do oddziału karnego, abym pił ten obrzydliwy murzyoski pot i jadł

wszawy kleik. Nie, za to dziękuję! Wynosimy się!

* Ale gdzie? * próbował protestować Matz. Schulze zamyślony oblizwał językiem wielkie żółte zębiska.

* Najpierw walniemy po kieliszku * może po dwa. A potem weźmiemy jakąś szlifierkę do bruku, aby otarła nam spermę pierściami. Moja podchodzi mi już do gardła. Jeśli szybko czegoś z tym nie zrobię,

to mogę się udusić! A potem odnajdziemy Wotana!

Matz spojrział na rosnącego sierżanta z niedowierzaniem.

* Czy ty masz wszystkie klepki na miejscu, Schulze? Jak się stąd wydostaniemy? Ty, z tymi spalonymi łapami, i ja, z jednym kikutem! Przecież wiesz, że nie mogę chodzić!

* Tylko nie zmocz łzami podkoszulki, Matzi

* odparł beztrąsko Schulze. * Ja to załatwię!

Po czym podniósł głos.

* Hej ty, Jednojajeczny! Zabieraj łapy od swoich klejnotów i przyprowadź mi z korytarza szpitalny wóz bojowy * i to szybko!

* Mam rozwalone podbrzusze * zaprotestował grenadier.

* Będziesz jeszcze gorzej ranny, jeśli się nie ruszysz!

Groźba podziałała. Zbolały Jednojajeczny podniósł się z łóżka i krok po kroku dotarł na korytarz, podtrzymując ostrożnie opatrunki.

* Jak ci wypadną, to ci powiem! * krzyknął za nim Matz.

* Ucisz się, Matzi * rozkazał niecierpliwie Schulze * i daj mi tę twoją szablę.

Jednonogi esesman podał kumpłowi galowy sztylet podoficerski. Schulze chwycił go niezdarnie obandażowanymi dłońmi i zaczął przecinać pasek, który podtrzymywał nogę Matza wysoko w górze. W

koocu owinięta bandażami koocyna opadła na łóżko z głośnym stukiem.

* Niebo, dupa i demony * zaklął Matz. * Czy nie możesz być trochę ostrożniejszy, ty rogaty wole! Boli jak cholera!

* Nie wciskaj kitu, kulasie * szczechnął bezdusznie Schulze, wsadzając koszulę szpitalną w czarne spodnie.

* Wydaje mi się, że zapomniałeś, iż mówisz do podoficera armii powiększonych Niemiec. Podaj moje kamasze, dobrze?

Matz z wysiłkiem podał buty koledze. Jednojajeczny otworzył drzwi i wrócił do sali starym plecionym fotel inwalidzki. Jego twarz była sina z bólu.

* Wydaje mi się, że znowu się otworzyła... to znaczy rana * powiedział z rozpaczą.

* No to nie rób długich spacerów * rzucił Schulze bez współczucia * bo ci drugie jajko wyskoczy z gniazda. No chodź i nie stój tak,

jakbyś pierdział z radości. Daj rękę i pomóż wrzucić tego małego kalekę na wózek.

* Ale, na trzy imiona diabła, dokąd uciekacie? * spytał grenadier, w którym ciekawość wyraźnie zwyciężyła ból, gdy pomagał usadowić Matza na wózku.

* Gdzie uciekamy? * spytał jak echo Schulze.

* Udajemy się do trzech „Zet”.

* Co?

* Chryste na krzyżu! Jednojaecznym, ty chyba jeszcze nie dostałeś łyżeczką w skorupkę jaja! Znaleźd, Zakosztowad i Zakisid. To są trzy „Zet”!

* O rany... * odezwał się grenadier. * A co potem, Schulzi?

* A potem, wy moje kochane, uszkodzone jajka grenadiera pancernego * zapiał Schulze

* odnajdziemy najlepszy oddział w całej niemieckiej armii * Batalion SS Wotan!

Chwilę później zniknął za drzwiami wahadłowymi, pchając przed sobą na wózku Matza, który wyglądał

jak pomarszczone dziecko.

* Boże Wszechmocny, miej litość nad nami

* wzdychał Matz, gdy przepychali się z Schul* zem przez głośny tłum podnieconych facetów ,w mundurach polowych, czekających na swoją kolejkę, aby móc wejść po schodach.

Wielki, dziewiętnastowieczny salon umeblowany tapicerowanymi meblami obitymi czerwonym

aksamitem pełen był prostytutek skąpo odzianych w bieliznę z chioskiego jedwabiu. Kelnerki, spocone i czerwone na twarzy, roznosiły na tacach papierosy i butelki alkoholu. Interes kręcił się pomimo spadających na zewnątrz bomb.

* Rząd swoim, szklanym spojrzeniem na te cizie * westchnął Schulze. * Jest tak dobrze, że można tu jeść nożem, i widelcem, i to bez soli! Posłuchaj, jak skrzypią sprężyny w materacach na górze. Czyż nie jest to wspaniała muzyka? Lepsza niż Horst Wessel Lied i Deiitschland tiber Alles razem wzięte!

* Popatrz na tamtą * powiedział Matz, wskazując na sporą blondynę, której pokazał*

LEO KESSLER

nych rozmiarów biust zdawał się rozrywad czarną halkę.

* Drewno już stoi u twoich drzwi * roznosił go entuzjazm, gdy wyciągał chciwie ręce w stronę kształtnej prostytutki.

Wielki jak pancernik artylerzysta, w spiczastej czapce i z twarzą spaloną słońcem Afryki północnej, przepchnął się przed nim.

* Trzymaj łapy z daleka od niej, ty jednonogi kulasie! * warknął. * Czekaj na swoją kolejkę jak reszta z nas! Nie widziałem białej kobiety od trzydziestu niedziel. Jak się spieszysz, to zrób sobie dobrze rączkami.

Zresztą taki mały ptaszek jak twój w żadnym razie nie zaspokoi tej cipki.

Wokół nich rozległy się śmiechy oczekujących żołnierzy. Matz zagotował się z wściekłości, a Schulze taksował lodowatym spojrzeniem wielkiego artylerzystę z Afrika Korps.

* Czy wiesz, do kogo mówisz, ty czyścicielu kominów? * spytał z chłodną grzecznością. * Nie? Więc cię poinformuję. Mówisz do podoficera z najlepszego batalionu najlepszej dywizji Waffen SS. Oddział ten nazywa się Wotan i jest gwardią przyboczną Adolfa Hitlera.

To jednak wyraźnie nie zrobiło wrażenia na artylerzyście.

* Mógłbym o coś spytać?

* Proszę bardzo.

* Chciałbym się dowiedzieć, czy twoja matka była dziewicą, gdy cię rodziła * spytał, rechocząc. * Bo jeśli była, to chyba znaleźli cię w kapuście!

Jego dowcip wywołał kolejną falę radości wśród niecierpliwych żołnierzy. Wielka blondynka chichotała tak głośno, że cycek wyskoczył jej spod czarnego okrycia. Żołnierze zaczęli wyd i gwizdad z zachwytem.

Schulze poczekał, aż harmider trochę opadnie. Kontrolował się z dużą trudnością.

* Podskakujesz? * warknął, jakby był na batalionowym placu dwiczeo. * Wciągnij te chude żebra! Ściśnij szczęki. Zapnij kołnierzyk wokół swego pustego łba! Mówisz do podoficera SS, człowieku!

* Ty odwłoku na śmieci * chrząknął kano* nier.

* Mam zamiar rozerwad wam tyłek, żołnierzu, za te występne słowa * groził Schulze, a jego wielka głowa pokryła się karmazynem gniewu. * Ty wypierdku armatni!

Nim sierżant uderzył rechoczącego artylerystę, Matz użył swojej protezy. Obuta sztuczna noga trafiła wielkoluda między nogi. Chłopina wrzasnął i opadł na kolana. Schulze spokojnie uniósł obie obandażowane dłonie i dokończył dzieła zniszczenia, uderzając nimi w pochyloną głowę przeciwnika.

Trafiony bez słowa padł twarzą na dywan.

Śmiejąc się triumfalnie, wielki podoficer popychał wózek kolegi. Obaj kroczyli szpalerem utworzonym przez żołnierzy w mundurach polowych, którzy kłaniali się im. z takim szacunkiem, jaki spotykał tylko Hitlera na corocznych dniach partii w Norymberdze,

Na ich drodze pojawiła się Madame. Wielkie piersi miała uniesione wysoko pod podwójny podbródek, jakby zamiast biustonosza nosiła tacę.

* Dobrad się do czegoś takiego * mlasnął Matz. * Toż to cud inżynierii. Lepszy niż most w Kolonii nad Renem.

Schulze obserwował biust kobiety z nieukrywaniem zachwytem.

* Samo mięso, bez ziemniaków * mniam! Madame to nie zaimponowało.

* Co robi ten wózek dziecięcy w moim przedsiębiorstwie? * domagała się odpowiedzi.

* To będzie was kosztował więcej kasy, i to zielonej.

Natychmiast pokazała pulchnymi paluszkami, uwięzionymi w złotych pierścionkach, o co chodzi.

* Najpierw kasa, potem możecie tu zaparkować i popatrzeć na dziewczynki.

* Pokaż jej, Matzi * zakomenderował Schulze.

* Mamy coś lepszego niż sama waluta, Madame * powiedział Matz, sięgnął ochoczo do skrytki pod siedzeniem wózka i zaczął wyciągać lupy wyniesione ze szpitala La Charite.

* Trzy puszki konserwowanego mięsa, karton rakotworów, kilogram niezielonego potu czarnuchów... i to.

Pokazał brązową buteleczkę,

* Sok radości.

* Morfina? * zapytała pożądliwie burdelma* ma i. zatrzepotała powiekami.

Jak każdy w Berlinie w trzecim roku wojny, wiedziała, że środki odurzające kosztują fortunę na czarnym rynku. Stolica pełna była psychicznych wraków kobiet i mężczyzn, ofiar pół walki i frontu wewnętrznego, które mogły przetrwać tylko dzięki codziennym zastrzykom.

* Racja * odpowiedział Schulze. * Ta może czynid cuda, Madame, prawda?

I uczyniła. Już dwie minuty później znaleźli się na schodach wiodących na górę prowadzeni przez dwie najlepsze dziewczyny z zakładu. Dwie bliźniaczki z Austrii, Mitzi i Gerdi, skierowały ich do najbardziej luksusowego apartamentu w burdelu.

* Zwykle przyjmujemy tu tylko oficerów i dżentelmenów * wyjaśniła Madame, chowając buteleczkę z cennym płynem w zagłębieniu między obfitymi piersiami.

* Grosse Klasse! * jęknął z zachwytem Matz, gdy dwie półnagie panienki pomagały mu się dostać na wielkie łóżko stojące w rogu pokoju.

Schlzego nie można było tak łatwo zadowolid.

* Jemu już jest dobrze * oznajmił. * Ten mały kaleka nie potrzebuje zbyt dużo miejsca, to po pierwsze, a poza tym nie jest zbyt wyrafinowanym kochankiem.

Potem przycisnął swoje sztywne, białe dłonie do piersi.

* Ja potrzebuję więcej miejsca * łypnął lubieżnie w stronę Mitzi. * Widzisz, kochanie, jestem prawdziwym damskim torreadorem. Tak z boku, a potem lekko ruch plecami. A kiedy jestem w szczytowej formie i mogę użyć rąk, to świetnie działam i z tej strony.

Jeszcze raz mrugnął okiem, aby uczynid swoją wypowiedź bardziej zrozumiałą. Dziewczyny zachichotały, zaś Schulze bez skrępowania klepnął Madame w pokryty jedwabiem zad.

* Ale dzisiejszej nocy i w tych warunkach załatwię wszystko od razu. Przyjmuję to łóże i nie martw się mamuśka, z dziewczycami obchodzę się bardzo delikatnie.

Pięć minut później Mitzi ściągała z nóg Schulzego buty z cholewami oraz czarne spodnie. Chwilę potem wodziła zadartym wiedeoskim noskiem po jego sztywnym jak słup penisie i wachała go, jakby była to wiązanka pierwszych wiosennych kwiatów. Wtedy z drugiego łóżka doleciały jęki Matza.

* Schulzi!

* Co jest, ty głupku? * dopytywał się gniewnie sierżant. * Nie widzisz, że wybijasz mnie z uderzenia?!

* Ale, ja nie mogę... nie mogę!

* Czego nie możesz?

* Nie mogę na nią wleźd! * mówił łamiącym się głosem Matz ze łzami w oczach.

Schulze, mamrocząc pod nosem obelgi, obrócił się. W czerwonym półmroku pokoju umieścił dziewczynę na łóžku, zmusił ją, aby chwyciła rękami kostki opalonych na brąz nóg i wyprostowała je

ponad głową.

Matz, który siedział w tym czasie nagi na krześle i oczywiście był gotów do akcji, na ten widok poślinił

tylko usta.

* Może się szybko przeziębiod, jeżeli będzie długo w tej pozycji przebywad w przeciagu * skomentował

Schulze.

* Tylko bez takich dowcipów, Schulzi * błagał Matz z rozpaczą w oczach. * Marzyłem o tej chwili od miesięcy!

Schulze wyskoczył z łóżka, przeszedł na bosaka przez pokój, a instrument sterczał mu jak szlaban nad torami.

* No chodź, ty perwersyjny kulasie.

Objął towarzysza zabandażowanymi dłoomi i umieścił go w kołysce, którą tworzyły nogi dziewczyny.

* Sprawdź, czy to twój rozmiar * warknął.

Dziewczyna jęknęła z rozkoszy, a Matz przystąpił tak szybko do akcji, że sprężyny w materacu zatrzeszczały jak tłoki w rozgrzanym do czerwoności silniku.

Schulze też nie tracił czasu. Na zewnątrz bomby spadały coraz gęściej i częściej. Przy każdej nowej eksplozji Mitzi wydawała kolejne, pełne rozkoszy tchnienia, które dodatkowo podniecały jej kochasia.

Schulze tak się rozbuchał, że po plecach płynęły mu strumienie potu.

Z sąsiedniego łóżka krzyczał podniecony Matz.

* Daj jej ostrogę, Schulze, ty stary bękarcie!

* Stehenbleiben!

Elegancki oficer sztabowy z monoklem w oku ściągnął gwałtownie wodze swego czarnego rumaka.

* W imię trzech diabłów, co to za indzie? * zabulgotał i wydawało się, że wybałuszone oko wyskoczy mu poza monokl na widok tych żołnierzy.

jeden z nich, jednonogi kaleka, siedział w rozchełstanej koszuli nocnej na wózku inwalidzkim i trzymał w dłoniach nocnik napełniony jakimś brązowym płynem. Na огоłonej głowie miał czerwone

pantalony z doszytymi czarnymi tasiemkami. Jego towarzyszy, brutalny olbrzym, był równie pijany, miał rozpięty rozpiorek, a zabandażowanymi dłońmi podtrzymywał na ramieniu drewnianą protezę.

* Oddychamy porannym powietrzem, panie oficerze * powiedział chełpliwie Schulze. * Na szczęście Tommies już wyrzucili swoje kanciaste jajka i odlecieli.

* Niezły poranek! * wybuchnął oficer. * Człowieku, przecież jest mżawka!

Schulze spojrział w górę i poczuł, że na jego kanciastą twarz spadają krople deszczu.

* Tak jest, panie oficerze. Nie zauważyłem. Hej, Matzi, daj mi garnek z piwem. Bóg do niego nasika!

* To bluźnierstwo! * ryknął oficer, ciągnąc za kooskie wędzidło. * W imię Boga, to jest Waffen SS?

* Olad to z wiatrem! * powiedział pijany Matz, biorąc kolejny łyk zwietrzałego piwa, które godzinę wcześniej wynieśli z burdelu. * To nam pomaga w poszukiwaniach Wotana. Gów* niana ciota na głównianej kobyle!

* Coś ty powiedział?

* Niech pan nie traktuje tego poważnie * Schulze próbował uspokoić gotującego się z wściekłości oficera. * Powinni z niego spuszczać mocz co dwie godziny. Dlatego wozi ze sobą ten nocnik, to go uspokaja. Ale teraz podnosi mu się poziom, rozumie pan?

Oficer zakaszłał nerwowo. Wyciągnął chudą szyję z ciasnego kołnierzyka jak podduszony struś i wysapał:

* Bądź tak miły i zamknij się. Ten człowiek, on... obraził mnie!

* Ja cię obraziłem? * dopytywał się Matz, udając niewiniątko. * jedyne, co powiedziałem, to „sikad z wiatrem”. I nie nazwałbym tego obelgą. Ale jeśli chcesz...

Resztę jego słów zagłuszył przenikliwy świst wydobywający się ze srebrnego oficerskiego

gwizdka, który do tej pory wisiał przy kieszeni kurtki oficera. Jego właściciel był czerwony i nadęty z gniewu jak balon.

Nie wiadomo skąd pojawiły się psy goocze z żandarmerii, prowadzone przez sierżanta. Wszyscy uzbrojeni byli w karabiny. Sierżant zasalutował przed oficerem, a jego srebrny napierśnik w kształcie półksiężycy błyszczał w poświacie budzącego się słońca, którego promienie przebijały się przez dymy pozostałe po ostatnim nalocie.

* Tak jest? * zapytał i stuknął obcasami.

* Aresztował te dwa indywidua! * wypluł z siebie oficer. * Aresztował natychmiast. Znieważyli mnie, oficera sztabu generalnego!

Krępy żandarm spojrział bojowo na Schulze* go, ale zauważył Krzyż Rycerski i Krzyż Żelazny, zwisające niedbale tuż przy kołnierzu jego munduru.

* A co dokładnie powiedzieli, panie oficerze? * spytał żandarm.

Sztabowiec zaczął opisywać całą sytuację, a Matz rechotał tak radośnie, że omal nie wypadł z wózka inwalidzkiego.

* „Sikad na wiatr” powiedział ten mały, sierżancie * podsumował oficer, czując, jak dudni w nim gniew *

olad z wiatrem oficera sztabu generalnego...

W tym samym momencie Matz wylał na jego elegancką kurtkę mundurową resztę starego piwa z nocnika.

* Teraz widzicie, co zrobił! * wrzeszczał oficer, ścierając płyn z sukna munduru szarymi, skórzanymi rękawiczkami, jakby był to kwas siarkowy. * Rzucił we mnie nocnikiem pełnym moczu!

Żandarmi otoczyli dwóch esesmanów. Schul* ze podniósł w obronnym geście drewnianą protezę. Wielki sierżant ściągnął z ramienia karabin. Jego podwładny złowieszczo odbezpieczył broo.

* Będzie lepiej, jak pójdziecie z nami spokojnie * rozkazał dowódca patrolu.

Zrobił krok do przodu, aby chwycić Schulze* go olbrzymim łapskiem.

Ale tak się nie stało. Wielki, czarny horch, podskakując na śliskim bruku, zatrzymał się przed nimi z piskiem opon. Wielcy, ubrani w czarne mundury esesmani, każdy o głowę wyższy od Schulzego, wyskoczyli z pojazdu. Wszyscy mieli broo przygotowaną do strzału, którą skierowali w ich stronę.

Sierżant żandarmerii bezradnie opuścił ręce. Jego ludzie zastygli w postawie zasadniczej i wpatrywali się w metalowy proporczyk sterczący na masce samochodu.

* Chrystusie na krzyżu! * wysapał Schulze, gdy tylne drzwi horcha otworzyły się i ukazał się w nich korpulentny mężczyzna z napuch* niętą twarzą ozdobioną nauczycielskimi binoklami. Jego generalski mundur, w zasadzie pozbawiony odznaczeo, ozdabiała tylko brązowa odznaka sportowa trzeciej klasy.

To był Reich* sheini Himmler we własnej osobie!

* Co się tu dzieje? * spytał najbardziej przerażający człowiek w Europie. * Urządzacie awantury z moimi esesmanami w środku Berlina?

Czarne oczy Reichsführera SS Heinricha Himmlera wypełnione były autentycznym zaniepokojeniem.

* A do tego obydwaj są ranni!

* W służbie na tyłach * szczerzył Schulze. * Ale nie mogą nas przenieść na front, twierdzą, że zbyt wcześnie, Reichsführer. Jesteśmy gotowi iść na front tak szybko, jak to tylko możliwe.

Starał się stuknąć obcasami, ale był zbyt pijany i groziło to upadkiem.

Oczy Himmlera zasnuły delikatne łąy radości.

* Właśnie to lubię usłyszeć od moich lojalnych ludzi z SS.

* Ale Herr Reichsführer... * próbował protestować oficer sztabowy.

Himmler zgasił go morderczym spojrzeniem przymrużonych oczu. Koo oficera też był przestraszony całą sytuacją i wiercił się niecierpliwie. Himmler okazywał już jawną wrogość. Po chwili spojrzał na czerwone pantalony Gerdi, które królowały na czasce Matza.

* Dlaczego nosicie na głowie coś, co wydaje się być damską bielizną? * spytał.

Matz, ostrzeżony nagle tonem pytania i wizją powrotu do okrutnego więzienia wojskowego w Torgau, skąd wyrwał się jako ochotnik do SS, zaczął zrećźnie łgad.

* To z powodu krwi, Herr Reichsführer.

* Krwi?

* Tak jest. Widzi pan, to już miesiąc, jak zostałem zraniony, ale rana nadal krwawi. Napra* wiać kości, to znaczy lekarz, nie wiedział, jak powstrzymać krwawienie. Gdy moi towarzysze zabrali mnie na poranny spacer, abym odetchnął świeżym powietrzem, założyłem tę czerwoną szmatę, aby cywile nie zobaczyli śladów krwi. To by źle wpłynęło na ich morale, gdyby spostrzegli na środku ulicy stolicy Rzeszy pokrwawionego żołnierza.

* To godne pochwały, bardzo godne! * powiedział zaskoczony Himmler i przetarł załzawione ze wzruszenia oczy.

Łatwo ulegał emocjom, gdy chodziło o ludzi z jego ulubionej formacji.

* Wy, żołnierze formacji tyłowych, którzy macie tyle wolnego czasu, podczas gdy nasza Rzesza jest w niebezpieczeństwie, powinniście świecić przykładem i wzorować się na moich odważnych, cierpiących na froncie członkach SS.

* Tak jest * wydusił z siebie oficer sztabowy. Himmler odprawił go lekkim machnięciem

ręki i zwrócił się do dwóch esesmanów, a na jego opuchniętej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

* A teraz, co mogę zrobić dla moich dwóch bohaterów?

Schulze aż podskoczył, chcąc wykorzystać taką okazję. Nawet mimo olbrzymiego kaca wiedział, że jest to szansa, na którą czekał od

kilku tygodni. Wreszcie będzie mógł się wyrwad z klinicznej nudy szpitala La Charite.

* Herr Reichsfuhrer, chciałbym szybko powrócid do naszej macierzystej jednostki!

* Nazwa?

* Batalion SS Wotan! * zakrzyknął Schulze, jakby znalazł się z powrotem na placu apelowym w Sennestadt.

Himmler uśmiechnął się zadowolony.

* A, Wotan * oznajmił. * Słyszałem same dobre rzeczy o waszym batalionie!

Pomimo własnego zapachu Schulze zauważył podejrzliwe spojrzenie Reichsfuhrera, który pochylił się w stronę żołnierza.

* Wasz oddział jest w Dieppe, sierzancie

* powiedział miękko.

* W Dieppe, Reichsfuhrer?

* Na wybrzeżu francuskim * wyjaśnił dowódca.

* Ale tam nie ma linii frontu, Herr Reichsfuhrer * stwierdził zdziwiony Schulze. * I to od dwóch lat, od czasu, gdy Francuzi się poddali. A Wotan jest brygadą ogniową Fuhrera i zawsze jesteśmy w akcji!

Heinrich Himmler puścił oko do sierzanta, co rzadko zdarzało się temu pozbawionemu humoru człowiekowi.

* Nie martwcie się, mój odważny sierzancie

* mruknął konfidencjonalnie. * Wkrótce Tom* mies rozwiążą ten problem.

TRZY

Brytyjski premier płał się w wannie pełnej bulgocącej wody.

* No, Mountbatten * dopytywał się * co z naszą operacją?

(Lord Louis Mountbatten * w latach 1942* 43 szef Operacji Połączonych, członek Komitetu Szefów Sztabów.)

Młody, przystojny arystokrata, szef Operacji Połączonych, chwycił swoją okazję. Była to jego nowa, ważna praca od czasu, gdy zatonął jego HMS Kelly i stracił dowództwo. (Niszczyciel, którym dowodził

Mountbatten i który zatonął w pobliżu Krety.)

Potrzebował nowych sukcesów i robił wszystko, aby jego wojenna kariera wznosiła się do góry jak meteoryt na niebie.

* Obawiam się, panie premierze, że szkopy domyślają się naszej operacji. Nasi przyjaciele z francuskiego ruchu oporu donoszą, że zauważyli przybycie w okolice Rouen nowej dywizji pancernej i dwóch pododdziałów z Leibstandar* te SS Adolf Hitler. Zostały one nieźle przetrzepane w Rosji i, zgodnie z danymi wywiadu, przechodzą obecnie reorganizację. A wczoraj wyciągnęliśmy z Radia Paryż taką informację: „Roose*velt dał Hopkinsowi i Marshallowi wszelkie pełnomocnictwa, aby pomóc Wielkiej Brytanii w stworzeniu drugiego Narviku, oczywiście bez udziału amerykańskich oddziałów.

(Generał George Marshall * doradca prezydenta Roosevelta, szef sztabu amerykańskiej armii lądowej.) Churchill powinien mieć świadomość, że zamiast drugiego Narviku może powstać druga Dunkierka".

Mountbatten podniósł wzrok.

* To może oznaczać, że Niemcy przypuszczają, iż chcemy ponownie wdrzeć się do Norwegii.

Potem delikatnie wzruszył ramionami.

* Albo że wiedzą o naszym pomysle z Francją. Churchill nic nie mówił. Na jego twarzy nie

było widać żadnej reakcji, tak jakby spodziewał się takich wiadomości. Mountbatten oblizał usta i czekał

na słowa brytyjskiego premiera. Ten jednak milczał.

W końcu Mountbatten zaczął mówić sam do siebie.

* Oczywiście może być tak, że Niemcy po prostu trochę zgadują, panie premierze. Naturalnie trzeba

zauważyd, że operacja była planowana od kwietnia, a nasz wywiad ma informacje, że Kanadyjczycy mówili o niej otwarcie w pubach na południowo* wschodnim wybrzeżu.

Uśmiechnął się delikatnie, pokazując piękne zęby.

* Żołnierze z naszych kolonii, obawiam się, byli zawsze gadatliwą bandą.

Churchill gwałtownie usiadł. Utopił koniec cygara w okazałej szklance z brandy, która jak zwykle stała na krawędzi wanny, i spojrzał wojowniczo na młodego szefa Połączonych Sił. Mountbat* ten uważał, że premier wygląda jak chioski bóg bogactwa z nieustającym bólem brzucha.

* Czy wiesz, dlaczego powierzyliśmy ci dowództwo tej operacji? * spytał nagle Churchill.

* No cóż, od marcowego rajdu na St. Naza* ire nie zrobiliśmy nic i „stalowa pięść, która wyjdzie z morza i zmiecie niemieckie straże z ich stanowisk", że użyję paoskich słów, pozostaje nadal bezczynna *

Mountbatten uśmiechnął się rozbijająco.

Churchill rzucił gniewne spojrzenie na młodego komandora.

* To coś więcej niż rajd, Mountbatten, znacznie więcej! * warknął, wskazując na oficera marynarki kolejnym cygarem.

* Czerwoni robią diabelski hałas wokół własnych strat i twierdzą, że dźwigają główny ciężar walk z Niemcami. Tylko w ostatnim tygodniu wujek Joe (Przezwisko Józefa Stalina.) oświadczył publicznie, że Armia Czerwona nie ma zamiaru zniszczyd narodu niemieckiego ani jego paostwa. Jest całkowicie jasne, że ten czerwony karaluch jest gotów zawrzed separatystyczny pokój z Hitlerem, jeśli

sytuacja Rosjan się pogorszy. Naturalnie prezydent Roosevelt jest przerażony i zmusza tego nowego faceta, generała Eisensteina...

* Eisenhowera, generała Eisenhowera!

* Tak, jakieś mało angielskie nazwisko. I teraz ten Eisenhower jest zajęty realizacją prośby Roosevelta, czyli planowaniem inwazji na ten rok. „Teraz drugi front" * widziałeś ten napis malowany przez komunistów na wszystkich murach stąd, z Chequers, aż do Londynu?

Młody oficer skinął głową. W ciągu nocy pojawiły się napisy na każdym dostępnym kawałku muru. Była to ewidentnie robota Brytyjskiej Partii Komunistycznej.

* Ale kto poniesie główny ciężar zbliżającej się inwazji, Mountbatten? * premier wydał wojowniczo pucułowate policzki, patrząc oskarży* cielsko na oficera marynarki. * Armia brytyjska, Mountbatten. A ja nie wypełniłbym swojego obowiązku wobec monarchii, gdybym dopuścił do rzezi naszej armii we Francji.

Stworzenie na nowo armii zajęło nam prawie dwa lata, od klęski pod Dunkierką, i nie mam zamiaru

rzucie jej na front, dopóki nie zostanie odpowiednio wyszkolona, aby stanąć do walki z Niemcami, którzy będą mieli ponaddwukrotną przewagę. Brytyjska armia nie poniesie kolejnej porażki na plażach Francji w 1942 roku!

* Ale moi alianci domagają się lądowania w Europie jeszcze w tym roku. I nie ma jak tego przeskoczyć, Mountbatten. Dałem Rooseveltowi

słowo, że oni * to znaczy on i ten potwór Stalin * doczekają się tego. O tak, będzie lądowanie we Francji w 1942 roku!

Wypuścił kółko dymu, które powoli wędrowało pod sufit łaźni, a premier kontynuował łagodnie.

* Mountbatten, żądam poświęcenia od twoich komandosów i od Kanadyjczyków, którzy ruszą razem z nimi.

* Poświęcenia?

Churchill przyjrzał mu się uważnie spod wpół przymkniętych powiek.

* Mountbatten, znałem twojego ojca. Miał takie same zdolności i ambicje jak ty. Ale brakowało mu jednej cechy * obycia politycznego. I to go zrujnowało. Nie był zdolny dostrzec, jak się sprawy mają, i dołączył do silnych postaci w polityce. To była przyczyna jego klęski.

Mountbatten słuchał w milczeniu. Wiedział, że Churchill ma rację. Niemieckie nazwisko jego ojca brzmiało Battenberg i budziło wrogość histerycznie antyniemieckiego stronnictwa w czasie I wojny światowej, ale to była tylko jedna z przyczyn, które zmusiły go do rezygnacji ze służby w Royal Navy.

Ojciec znalazł się w kompletnej izolacji politycznej, gdy wroga frakcja zaczęła się domagać jego odejścia.

Zrujnowanie pozycji ojca było lekcją, o której młody oficer cały czas pamiętał w trakcie swojej kariery, a teraz wojna dawała mu szansę, o jakiej dotychczas nawet nie mógł marzyć. Zaczynał

zdawał sobie sprawę, że będzie potrzebował potężnych sprzymierzeńców na dworze królewskim, gdy nadejdzie czas, aby wykonać kolejny, wielki skok naprzód.

* Wiem, że nie popełnisz błędów swego ojca.

* Mam nadzieję, sir * odpowiedział niewyraźnie oficer, trochę niezadowolony z kierunku, w którym zmierzała cała rozmowa.

* To dobrze, teraz na pewno się zrozumiemy. Jak już powiedziałem, mój amerykański sojusznik musi dostać ten swój desant i przyjdą na siebie udobruchanie rosyjskiego niedźwiedzia. Ale, Mountbatten, to lądowanie musi pokazać naszym kochanym Amerykanom, jak krwawe i kosztowne są takie operacje.

Roosevelt musi się przekonać, że otwieranie drugiego frontu w tym roku jest poza naszym zasięgiem.

Mój chłopcze, kto wie, czy losy Imperium Brytyjskiego nie zależą od wyniku tej całej operacji. Jeśli brytyjska armia zostanie zniszczona tego lata, nigdy już nie stworzymy nowej * zasoby mamy wskropane prawie do czysta, więc możesz sobie wyobrazić, co by nas czekało w następnym roku. A dla przypomnienia, Bóg jest zawsze po stronie silnych batalionów.

* Ależ sir, nie może pan oczekiwać, że poślę. ..

Churchill przerwał mu władcym machnięciem ręki.

* Mountbatten, zrozum! Klęska w Dieppe jest tym, czego od ciebie wymagam!

CZTERY

* Witajcie, żołnierze! * zawołał pułkownik Geier, przekrzykując szum fal uderzających o podstawę francuskiego klifu, na którym stali żołnierze Batalionu Wotan.

Stali wyprężeni, wytěżając uwagę, gotowi do działania.

* Dzieo dobry, panie pułkowniku! * odkrzyknęło osiemset młodych gardeł, powodując panikę wśród mew krążących pod błękitnym niebem.

* Dajcie spocznij, sierżancie.

Starszy sierżant Metzger obrócił się na pięcie. Stał w środku kwadratu utworzonego przez cztery szeregi żołnierzy. Rozstawił szeroko nogi, wysunął do przodu dolną szczękę i klatkę piersiową, a godne rzeźnika ręce oparł na biodrach. Była to pozycja, którą kiedyś zobaczył na filmie o cesarskiej armii i od tamtej pory dwiczył w tajemnicy przed lustrem w małżeoskiej sypialni, dopóki nie osiągnął perfekcji.

Delektował się tą chwilą, przebiegając oczami po wyprężonych szeregach żołnierzy. Ale żaden z ludzi, zarówno nowi rekruci, jak i starzy weterani, którzy przeżyli rzeź w Rosji, nie dał powodów do narzekao.

Każdy z obecnych żołnierzy stał sztywno jak pał, z oczami wbitymi hipnotycz* nie w odległy horyzont.

* Ścierwojady * mruknął do siebie. * Chyba chcą stąd dojrzed brzegi Anglii.

* Stad spokojnie! Spocznij! * wydarł się tak, że ponownie wystraszył kołujące po niebie mewy.

Osiem setek prawych stóp uderzyło o ziemię i stanęło pod regulaminowym kątem w stosunku do reszty ciała. Osiem setek par oczu powróciło do życia, a ośmuset ludzi wreszcie mogło normalnie odetchnąd.

Ktoś w tylnym szeregu pierdnał. Metzger zrobił się czerwony na twarzy. Ten wybryk odebrał jako osobistą obrazę * zawsze tak się działo, gdy na paradzie wydarzało się coś złego.

Sęp popatrzył na batalion oczami o barwie lodu i uderzył delikatnie trzciniową szpicrutą w wypolerowaną cholewkę kawaleryjskiego buta. Nosił szare spodnie wykooczone w kroku cielecą skórą, co wskazywało, że ich właściciel należał do elitarnego korpusu kawalerii. Sęp, przed przynosinami do Waffen SS, był

rzeczywiście oficerem kawalerii. Jednak nowa, czarna formacja bojowa dawała szansę szybszego awansu.

* Żołnierze * powiedział z ekspresją chrapliwym, pruskim tonem. * Wotan ponownie osiągnął pełną sprawność bojową i to dzięki towarzysom z Hitlerjugend!

Wskazał na dwuosobową kompanię jasnowłosych olbrzymów, oddaną czasowo pod komendę jego zastępcy, majora SS Kuno von Dodenburga.

* Każdy z nich jest liderem młodzieży, ochotnikiem. Wszyscy osiągnęli już wiek poborowy, czyli siedemnaście lat. To cudowny wiek, przynajmniej według mnie.

Sęp uśmiechnął się lekko i potarł olbrzymi, zakrzywiony nos, który skojarzony z nazwiskiem przyniósł

pułkownikowi jego przydomek. („Geier” znaczy po niemiecku „sęp”).

Metzger, który znał lekkie odchylenia swego dowódcy, pociągnął nosem i mruknął.

* Założę się, że dla tej starej cioty ci chłopcy stanowią łakomy kąsek.

Ale olbrzymi sierżant był ostrożny w rozpowszechnianiu tej opinii.

* Teraz jesteśmy we Francji * podjął z emfazą dowódca. * I wam, starszym żołnierzom, może się wydawać, że będzie to okazja do lenistwa, zabaw z panienkami lekkich obyczajów w Ro* uen, łatwych podbojów oraz napełniania co noc kałdunów piwem. Generalnie spodziewacie się tutaj życia jak u Pana Boga za piecem.

Usta Sępa szczęknęły, jakby otwierane stalową sprężyną.

* Jeśli któryś z was tak myśli, to się cholernie myli!

Wskazał wyzywająco szpicrutą w stronę zgromadzonych żołnierzy.

* I to bardzo! Wy wszyscy, weterani i rekruci, będziecie dwiczyd i trenować, aby być gotowymi na spotkanie z czekającymi was wyzwaniem! A wiecie, dlaczego macie dwiczyd tak ciężko, jakby czekała na was śmierć, która i tak was spotka?

Przeleciał wzrokiem po twarzach podwładnych, ale nigdzie nie dostrzegł oznak słabości czy strachu.

Naprzeciw niego stało osiemset ludzi, którzy byli elitą elit.

Sęp sam odpowiedział na swoje pytanie.

* Bo należycie do Batalionu Szturmowego SS Wotan, a tu zwyczajem jest, że sposób śmierci żołnierzy nie może stanowić ujemny na honorze oddziału. Kiedy wasze nazwiska zostaną już dawno zapomniane, a wasze kości użyzną ziemię Francji, pamięć o batalionie będzie trwać! Czy rozumiemy się, żołnierze?

* Tak jest, rozumiemy, panie pułkowniku! * wydarło się osiemset gardeł, a ich okrzyk zamienił się w dudniący ryk, jakby elita narodo* wosocjalistycznych Niemiec już chciała umrzeć.

* Dobrze! Bardzo dobrze! * powiedział Sęp, a potem bez ostrzeżenia krzyknął: * Padnij!

Cały batalion jak jeden mąż padł na wciąż mokrą trawę.

Przez krótką chwilę Sęp milczał. Żaden dźwięk nie zakłócał szumu fal. Dowódca czekał, aż wilgod z ziemi przeniknie przez letnie mundury do zahartowanych ciał żołnierzy.

* Czy czujecie to, żołnierze? To lodowate muśnięcie śmierci, które powinno dotrzeć do waszych kruchych kości?

* Tak jest, panie pułkowniku! * zawołali uni* sono, bojąc się oderwad okryte hełmami głowy od mokrej trawy.

* To rozkoszujcie się tym zapachem. Gdy będziecie udawad się na ostatni, wieczny odpoczynek, będziecie dumni, że należycie do Batalionu Wotan! A teraz, powstao!

Młodzi esesmani niczym automaty poderwali się z ziemi, stanęli błyskawicznie w pozycji zasadniczej i ponownie wbili spojrzenia w horyzont.

Sęp się odwrócił.

* Sierzancie! Zabrad ich! Trening trzeba zacząd od zaraz. Słyszycie?! * krzyczał Sęp, jakby wpadł w histerię. * Od razu!

* Tak jest, panie pułkowniku!

Major Kuno von Dodenburg, wysoki blondyn o wyglądzie arystokraty, zastępca dowódcy batalionu, odetchnął z ulgą, gdy Sęp odszedł z miejsca zbiórki zwyczajowo szybkim krokiem. Major zwrócił się w stronę nowego oddziału. Przez chwilę obserwował dziecinne jeszcze, ale już stwardniałe twarze rekrutów i poczuł przyływ dumy, że narodowosocjali* styczne Niemcy są nadal w stanie dostarczyd takich ludzi, pomimo trzeciego roku wojny. Od 1939 roku przyjmował już trzeci pobór żołnierzy w szeregi Wotana, którzy ginęli w trybach okrutnej maszyny wojennej. Jeszcze nigdy nie widział tak młodej grupy poborowych. Każdy z nich był nordyckim gigantem, przodownikiem Hitlerjugend ślepo służącym Hitlerowi od momentu, gdy skooczył dziesięd lat. To była naprawdę elita elit.

Teraz wreszcie Reichsfuhrer Heinrich Him* mler mógł zrealizowad swoje długoletnie marzenie o siedemnastoletnich ochotnikach. Zgodnie ze swoimi planami chciał zorganizowad całą dywizję takich żołnierzy, całkowicie oddanych wodzowi, którzy, z wyjątkiem dowódców, mieli mied nie więcej niż dwadzieścia jeden lat.

(Faktycznie zastępca dowódcy „Panzer Meyer" miał 33 lata i był w tym czasie najmłodszym generałem.) Teraz ci chłopcy stali przed nim i mieli jutro stworzyd kadrę pierwszego batalionu powstającej dywizji SS

Hitlerjugend. Major wiedział, że nie może bezkrytycznie powierzyd tak cennego materiału ludzkiego znanemu z brutalności i lodowatego cynizmu sierżantowi Metzgerowi. Dlatego poprosił dowódcę batalionu, aby mógł osobiście kierowad szkoleniem nowej kompanii.

* Żołnierze, koledzy! * zaczął trochę niezgrabnie. * Witam was w Pierwszej Kompanii Batalionu Szturmowego Wotan.

* Dziękujemy, panie majorze! * doleciała do niego melodyjna, gardłowa odpowiedź.

* Słyszeliście słowa pułkownika. To bardzo zasłużony żołnierz. Jest zdobywcą Fortu Eben i odznaczył się w trakcie forsowania Bugu. Dlatego powinniście zawsze traktować go z szacunkiem. Czasami tylko wyraża się nieco ekstrawagancko!

Potem uśmiechnął się nieśmiało do młodych ludzi.

Odpowiedzieli mu tym samym, aby pokazać, że słowa o nieuniknionej śmierci nie zostały przez nich potraktowane zbyt poważnie. Poza tym natychmiast spodobał im się młody, przystojny oficer odziany w czarną skórzaną kurtkę, ozdobioną jedynie błyszczącym Krzyżem Rycerskim.

* Celem waszego pobytu tutaj * powiedział von Dodenburg, podnosząc trochę głos * jest nauczyć się, jak przeżyć na wojnie, a nie jak zginąć! Dlatego poświęcę wam sporo uwagi przez najbliższe kilka tygodni szkolenia. Każdy z was zostanie w przyszłości oficerem lub podoficerem. Jako dowódcy musicie być dziesięć razy twardsi niż ludzie, którym będziecie przewodzić. Dlatego Pierwsza Kompania musi być dziesięć razy lepiej wyszkolona niż pozostałe trzy pododdziały. Rozumiecie, koledzy?!

* Rozumiemy, panie majorze!

* A teraz ostatnia sprawa. Wasze szkolenie będzie ciężkie, bardzo ciężkie, ale uczciwe. Jeśli któryś z was dojdzie do innych wniosków, może ze mną o tym porozmawiać, w dzień i w nocy.

Potem zwrócił się do czekającego sierżanta Metzgera.

* No dobrze, Metzger, poprowadzisz szkolenie batalionu szturmowego! Do roboty!

To był moment, na który Metzger * albo Rzeźnik, jak go wkrótce zaczęli nazywać uczestnicy szkolenia *

czekał od dawna. Jego świąskie oczka błysnęły złośliwie. Jeszcze nim przybyli na szkolenie, stary sierżant już ich nienawidził.

* Banda obesranych skautów w krótkich majteczkach * tak ich nazywał w prywatnych rozmowach, gdy wypijał z kumplami kufle piwa w kasynie podoficerskim. Teraz mógł wreszcie wycisnąć z nich krwawy pot.

* Wedle rozkazu, panie majorze! * zawołał swoim paraliżującym głosem.

Trasę treningową Wotana stanowiły trzy kilometry piekła wymyślonego przez najsurowszych sierżantów, jacy kiedykolwiek istnieli, oraz miłośników markiza de Sade. Na początek pięćdziesiąt metrów czołgania się w górę stoku ze zwieszonymi na wysokości pięćdziesięciu centymetrów zasiekami z drutu

kolczastego,

a wszystko to polewane wodą z węży strażackich, która zamieniała podłoże w morze błota. Następnie dziesięciometrowej wysokości bariera z drewnianych bali nabijanych gwoździami, rozrywającymi ciało każdego rekruta, któremu za pierwszym razem nie udało się wdrapać na szczyt. Potem trzeba było przejść przez „Zadymionego Seppa” * wielką drewnianą szopę wypełnioną gazem łożącym, z której po wejściu przez piwnicę można było wydostać się tylko przez dziurę w dachu. Kolejną przeszkodę stanowiła kąpiel w głębokim do piersi, rwącym potoku, gdzie można było stracić oddech, a czujni instruktorzy odpalali oślepiające granaty hu* kowe, które umiły życie zdyszany, wyczerpanym i czerwonym z wysiłku kursantom. Później przychodziła kolej na kilometrowy bieg przez urwisty teren z trzydziestokilogramo* wym ekwipunkiem na plecach. Bieg kooczył się wtedy, gdy wycieoczeni i poobijani rekruci padali na mokrą trawę i oddawali dziesięć salw do ruchomego celu.

Nawet wtedy Rzeźnik nie miał litości. Gdy leżeli na mokrej trawie, rozpaczliwie chwytając w płuca hausty powietrza, sierżant przechadzał się między nimi i cynicznie sączył przez wargi:

* Trzy kilometry w trzydzieści minut, panowie z Hitlerjugend? Jak myślicie, czym jest Wo* tan? Domem wypoczynkowym dla grzecznych pańienek? Pięciu na mnie jednego, a do tego będę związany.

Aby wyjaśnić, o co mu chodzi, wykonał ob* sceniczny gest ręką.

* Ale na wielką dziwkę Batszebę, wkrótce oduczę was takich świosów! Zrobię jeszcze z tej bandy sflaczałych dup oddział żołnierzy. A teraz powstao, zgrajo ryjących macior!

Chwiejąc się, jakby za chwilę znowu mieli się przewrócić, rekruci podnosili się z ziemi. Patrzyli wyblakłymi, niewidzącymi oczyma, purpurowi na twarzach, a na brwiach wisały im olbrzymie krople potu.

Rzeźnik stanął przed nimi, pogardliwie kładąc dłonie na udach.

* Ochotnicy * obwieścił * sram na was, ale obiecałem majorowi von Dodenburgowi, że spróbuję zrobić z was żołnierzy. I wiem, że jest to wyzywanie losu. Nikt przy zdrowym umyśle czegoś takiego by się nie podjął. Ale ja mam dobre serce. Naprawdę! * darł się jak furia, aż żyły nabrzmiały mu na szyi, a twarz nabrała ponurego blasku.

* A teraz, biegiem. Tym razem powinniśmy pokonać tę trasę * powiedział i zatrzymał wskazówki stopera

* w piętnaście minut!

Ochotnicy ruszyli chwiejnym krokiem w stronę błotnistego stoku.

Major von Dodenburg stał na piaszczystym pagórku. Wiatr od morza targał połami jego munduru.

* Koledzy * rozpoczął wykład dla ochotników, których twarze lipcowe słooco spaliło na kolor cegły * na godzinie dziesiątej i drugiej znajdują się dwa wzniesienia.

Wszyscy kursanci spojrzeli w kierunkach wskazywanych przez wyciągnięte ręce dowódcy.

* Na tych wzniesieniach okopali się brytyjscy komandosi. A to są twardzi i uparci żołnierze, którzy nigdy się nie poddają. Będą walczyli do kooca. Jak sobie z nimi poradzić? Wydłubicie ich za pomocą bagnetów. Brytyjczycy nie lubią zimnej stali. Ale * i w tym momencie podniósł ostrzegawczo palec wskazujący * oni są uzbrojeni w standardową broń automatyczną, bardzo skuteczną na dystansie czterystu metrów. Takiego ostrzału nie wytrzymacie. Jednak trzeba ich stamtąd wykopać! Po wszystkim wasi oficerowie dostaną parę blaszanych odznaczeń, jeśli tylko dostarczycie do tego powodów, prawda?

Potem uśmiechnął się delikatnie.

Tym razem rekruci nie odwzajemnili uśmiechu. Brutalne metody szkoleniowe zaczynały przynosić efekty.

Ich twarze pozostawały nieruchome, tak jak twarze zawodowych morderców, którzy dążą do perfekcji w wykonywaniu swojej profesji.

* Co trzeba zrobić? Czołgać się! * jego głos stwardniał.

W głębi duszy odczuwał smutek, że z tych niewinnych do tej pory chłopaków musi uczynić bezlitosnych żołnierzy.

* Aby być całkowicie pewnym, że będziecie trzymać głowy przy ziemi, sierżanci Metzger i Lansch zaczną na mój znak strzelać ze wzniesień z karabinów maszynowych. Dokładnie pięćdziesiąt centymetrów nad ziemią. Dlatego trzymajcie czaszki nisko!

Odwrócił się i pomachał ręką nad głową okrytą hełmem. Metzger i Lansch w ten sam sposób dali znać, że są gotowi.

* No, dobrze * zakomenderował major. * Padnij!

Cały oddział padł w żółtą, wysuszoną trawę. Von Dodenburg pośpiesznie sprawdził pozycje leżących rekrutów.

* Czołgać się, teraz! * szepnął usatysfakcjonowany.

W tej samej chwili sierżanci rozpoczęli ostrzał z karabinów maszynowych. Groźny strumień czerwonych i białych smug pocisków pomknął nad hełmami młodych ludzi, którzy desperacko czołgali się przez pokrytą pyłem trawę w stronę wzgórz. Von Dodenburg odetchnął z ulgą. Wszystko przebiegało gładko.

Dwieście metrów. Sto metrów! Za chwilę żołnierze znajdą się w martwej strefie ostrzału rozciągającej się poniżej stanowisk broni maszynowej. Wtedy, tak jak ich nauczono, poderwą się na nogi i pomkną z błyszczącymi w lipcowym słońcu bagnetami w dłoniach w kierunku załóg karabinów maszynowych i wykooczą paskudnych Tommies, którzy, jak powszechnie wiadomo, bali się zimnej stali.

Piętdziesiąt metrów! Szaleoczo czołgający się żołnierze byli już blisko celu. Ale jeden z nich źle ocenił

sytuację. Z gniewnym okrzykiem i bagnietem w brudnej dłoni poderwał się z ziemi. I to był jego ostatni ruch.

Ani Metzgerowi, ani Lanschowi nawet nie drgnęła powieka. Ściegi krzyżujących się serii pocisków niemal przecięły chłopaka na pół. Zachwiał się, krzyknął przenikliwie, gdy pociski dosłownie rozerwały mu brzuch.

* Gówniany nowicjusz * powiedział oschle Metzger i splunął na pokryte kurzem buty zabitego.

PIĘD

W ten sposób do końca lipca 1942 roku Pierwsza Kompania stała się oddziałem zimnokrwistych morderców, jakich potrzebował Himmler do swojej dywizji.

Były to dni pełne piekącego słońca, porywistego morskiego wiatru, szorstkich komend i ciągłego napięcia, które wyrywało rekrutom powietrze z płuc i zamieniało oddechy w przerwany charkot gruźlika.

Drżące kooczyzny znajdowały chwilę wytchnienia, gdy morderczy dzieło zajęte było przerywane

pochłanianymi w pośpiechu posiłkami, na które składało się głównie zimne i otłuszczone mięso z konserw zwanych „starymi dziadkami”, bo ich zawartość pochodziła rzekomo z ciał pensjonariuszy domów starców.

Noce niewiele różniły się od dni. Rzadko kiedy Metzger i jego sadystyczni podoficerowie pozwalali przespać im więcej niż kilka godzin na zwykłych noszach. Petardy hukowe regularnie wpadały przez okna do ich drewnianych baraków i eksplodowały u podstaw trzypiętrowych pryczy. Prawie każda noc była przerywana seriami z MG* 42, które zapowiadały nowy rodzaj tortur dla ich młodych ciał.

* W porządziu! Ręce z jajek, wkładajcie skarpetki! * darli się ogłuszająco podoficerowie, waląc w drzwi pałkami. * Przestaocie się onanizowad w barłogach, wyskakiwad z jedwabnych piżamek!

Jak szaleni wyskakiwali, jeszcze otępieni snem, ze swych łóżek, zrzucali wełniane koszule nocne i stawali nago w pozycji zasadniczej. Podoficerowie pogardliwie wykrzywiali usta, gdy przechodzili między szeregami, i szczekali: „wciągajcie te sflaczałe brzuchy” albo „walcie czaszkami w ścianę, aż do bólu”.

Rzucali złośliwe komentarze na temat braku manier wśród rekrutów, wskazując pałkami zawstydzonych chłopaków, po czym krzyczeli:

* Maskarada, idziemy taoczyd, kochasie! Z życiem!

Maskarada wiązała się z założeniem munduru polowego uzupełnionego pełnym wyposażeniem

bojowym, a potem zrzucając go i wskoczeniem w mundury wyjściowe, z przypasaniem sztyletów paradnych i założeniem czapek. Po zabawie z mundurami ruszali na „taoce”, czyli musieli podskokami pokonywać nago całą długość korytarza. Czerwoni na twarzy, zawstydzeni nagością i absurdalnością sytuacji, byli poganiani przez podoficerów uderzeniami pałek i wrzaskliwymi okrzykami, w których cud było smród tanich napitków i jeszcze taoszych papierosów.

* Dalej, bando spedałonych kocich ogonów, wypinad tyłki. Bo jak nie, to będę musiał wyciągnąć wazelinę! Ruszad się! * rechotali starzy sadyści.

I częściej niż Sęp czaili się w cieniu na zewnątrz, aby nacieszyć swoje żarłoczne oczy tymi przyjemnymi, młodymi ciałami rozciągniętymi w trakcie dwiczo tak zachęcająco, że przywoływały wspomnienia innych młodych ludzi i innych miejsc * miękkich, wymytych, wyperfumowanych dziewcząt z

wyskubanymi brwiami, które kokietowały ich w elektryzującej ciemności berlińskiego Kudammu.

Bezlitosny trening zaczynał przynosić rezultaty. Szczupli na początku treningu w Batalionie Wotan, obecnie zamieniali się w szkielety, zapadnięte oczy błyszczały im złowrogo, twarze przypominały trupie czaszki. Byli zdolni maszerować cały dzień bez jedzenia i picia i znosili mordercze dwiczenia na surowym, niegościnnym wybrzeżu, gdzie zwykli przemierzali pięćdziesiąt kilometrów w pięć godzin z trzydziestoma kilogramami ekwipunku na plecach.

Duma i pewność siebie rosły w majorze von Dodenburgu z dnia na dzień. Kasyno aż huczało od plotek o wiszącej w powietrzu akcji, w której miał wziąć udział batalion, w okolicznych wioskach i osadach pojawiało się coraz więcej wyczerpanych pododdziałów dywizji Leibstandarte Adolf Hitler. Major postanowił

nadać ostateczny szlif Pierwszej Kompanii, uczynić z jej żołnierzy wartościowych członków batalionu.

To było w trakcie dwiczo ogniowych przeprowadzanych całą kompanią na białym wybrzeżu klifowym, poza portem w Dieppe. Jeden z młodych obserwatorów przeciwlotniczych przyłożył dłonie do ust i zawołał:

* Samolot od zachodu! Szybko się zbliża! Kompania jak jeden mąż padła na ziemię,

zaczęła szukać ochrony przed wzrokiem lotnika. Wszystkie lufy zostały skierowane w niebo, i czekały na rozkaz otwarcia ognia.

Zaalarmowany von Dodenburg odwrócił się i skierował soczewki lornetki na ciemny kontur nadlatującej maszyny. Przez chwilę nie mógł zidentyfikować samolotu. Gdy wyregulował ostrość, w polu widzenia zobaczył biało* czarny krzyż Luftwaffe. Był to Fieseler Storch. Westchnął z ulgą, opuścił lornetkę i zawołał:

* W porządku chłopcy, możecie wychodzić, to jeden z naszych!

Ochotnicy powoli stawali na nogi i otrzepywali mundury z kurzu. Patrzyli z zaciekawieniem na

pomalowany na czarno samolot. Niektórzy podchodzili bliżej maszyny, delektując się chwilami przerwy w wyczerpujących dwiczeniach. Von Dodenburg pozwolił im na złapanie oddechu, bo podobnie jak jego podwładni był zainteresowany niewielkim Storchem. Dla wszystkich stało się jasne, że pilot szukał

miejsca do lądowania, dwukrotnie bowiem wykonał nad nimi pętlę na wysokości jakichś dwustu metrów.

W koocu pochylił klapy stateczników i, warcząc jak bąk, zszedł do lądowania przy szybkości stu pięddziesięciu kilometrów na godzinę. Precyzyjnie zetknął się z ziemią na trzy punkty podparcia, około stu metrów od dwiczącego oddziału.

Drzwi samolotu otworzyły się i ukazała się w nich duża, szeroka, uśmiechnięta i znajoma twarz, za którą wyłoniła się reszta masywnej sylwetki wypełniającej cały otwór wyjściowy. Major schował lornetkę do futerału i pobiegł przez teren poligonu do aeroplanu.

* Czy sierżant Schulze może prosid o zgodę na rozmowę z panem majorem? * spytał były doker w stylu, w jakim podoficer zwracał się do oficera starej, cesarskiej armii.

Ktoś za nim usilnie próbował wydostad się z maszyny, ale sierżant nerwowo odepchnął raptusa łokciem.

* Nie pchaj się, ty mały, kulawy, małpi trutniu! Nie słyszysz, że zwracam się do oficera?!

* Schulze! * wrzasnął von Dodenburg, zsunął hełm ze spoconego czoła na tył głowy i podniósł zaskoczony brwi do góry. * Co ty, do wszystkich diabłów, tutaj robisz?

* To dzięki łasce Reichsheiniego, panie majorze * wyjaśnił spokojnie sierżant, wznosząc dzięk* czynnie wzrok ku niebu. * To jego osobisty Storch.

* Co, Himmler? * zająknął się major. * To... to jego samolot?

* Tak jest, panie majorze * odpowiedział Matz, przepychając się pod ramieniem Schulze* go, a potem jego pomarszczoną twarz rozszerzył szeroki uśmiech, gdy wyłonił się z samolotu z licznymi pakunkami w rękach. * Przywieźliśmy dla Pierwszej Kompanii dużo prezentów. Woda ognista i szlugi, wszystko dla odważnych chłopców z Wotana. Ja tylko cytuję słowa Re* ichsfuhrera.

* Spodziewałem się, że będziecie w szpitalu, w Berlinie.

Schulze nic nie odpowiedział. Zamiast tego zeskoczył zręcznie na trawę i wyciągnął pokryte bandażami dłonie w stronę Matza.

* No dobrze, ty mały kaleko, złaż na ziemię. Pomógł koledze wydostad się z samolotu.

* Wszystko w porządku * skinął wielkopao* sko głową pilotowi, który przyglądał się im z kokpitu. * I proszę, przekaż Reichsfuhrerowi wyrazy szacunku, gdy powrócisz do Berlina. Ruszaj!

Von Dodenburg odczekał, aż hałas silnika ucichnie, wtedy powiedział:

* Ach, wy szelmy, nie mogę zaprzeczyć, że cieszę się z widoku waszych wstrętnych gęb. Potrzeba mi dobrych podoficerów do szkolenia rekrutów. Ale co, do diabła, mam z wami obecnie zrobić? Przecież ledwo nadajecie się do użytku, nie mówiąc o walce.

Schulze zajęczał:

* Przecież nawet bez rąk jestem lepszy niż te wszystkie żółtodzioby. Jak patrzę na nich, to myślę, że oni nie potrafią nawet zbud łyżeczką skorupki jajka. Niebo, dupa i sznurek, Matzi * oto, co się zrobiło z Waffen SS. Popatrz na nich. Założę się, że ci degustatorzy mleka nie potrafią nawet puknąć panienki w burdelu!

Von Dodenburg zaśmiał się i potrząsnął głową.

* No nie wiem, Schulze, ty jesteś niepoprawny jak zawsze. Ale co mam zrobić z taką parą zbrojów jak wy?

Major pozwolił kompanii się rozejść, żołnierze ochoczo skorzystali więc z okazji i rozłożyli się na trawie, wystawiając twarze na lipcowe słońce. W tym czasie ich dowódca rozważał problem dwóch ozdrowieńców, wspomagając się papierosem z zapasów przysłanych przez Himmlera.

* Powiedziałeś minutę temu, że oni * major wskazał na nastolatków wylegających się w trawie * nie są w stanie puknąć panienki w domu publicznym. Rozumiem, że chciałeś przez to powiedzieć, że nie potrafią załatwić sobie jakiejś lafiryndy w domu z czerwoną latarnią.

Schulze spojrzał na Matza.

* Czy słyszałeś te wszystkie wielkie słowa, Matzi? Myślę, że pan oficer chce nas olać naszym własnym moczem * delikatnie, ale stanowczo. Tak właśnie myślę.

Von Dodenburg zaśmiał się.

* Dobrze, dobrze, Schulze. Teraz posłuchaj. W ten weekend mamy czterdziestoośmiogodzinną przepustkę na rozkaz dowódcy. Co więc ci degustatorzy mleka * jak ich nazywasz * będą robić? Powiem ci, Schulze * natychmiast pomkną do burdeli w Rouen i Dieppe. I to tak szybko, jak im na to nogi pozwolą, ściskając w spoconych dłoniach pięćdziesiąt franków. Może są młodzi, ale są również zdrowymi samcami, którzy wiele słyszeli o tym, co potrafią wyczyniać w łóżku Francuzki.

* Nie myślę, żeby aż tak lubili dziewczyny * zaproponował Matz, pociągając łyk z piersiówki podarowanej przez Himmlera.

Ale major go zignorował.

* Wy dwaj, jak zawsze twierdziliście, jesteście ekspertami w sprawach damskich.

* Miewałem takie momenty * przyznał skromnie Schulze.

* To dobrze. Mam dla was robotę. Od teraz jesteście oficjalnym patrolem do zapobiegania chorobom wenerycznym. Sprawdzicie burdele wszystkich kategorii w Dieppe i zatrzymacie wszystkich żołnierzy z Pierwszej Kompanii, którzy będą w kontakcie z panienkami niema* jącymi żółtej karty z ważnym stemplem francuskiego lekarza policyjnego. Nie chcę mieć w swoim oddziale chłopaków z chorobami wenerycznymi.

Potem pogroził im palcem.

* Czynie was dwóch odpowiedzialnymi w tym tygodniu za każdy przypadek takich chorób w naszej kompanii.

* Na święte sianko Stwórcy! * zakrzyknął Schulze. * Co na to powiesz, Matzi? Zobacz, jak nisko upadłeś i jeszcze mnie ciągniesz! Policjanci od gównianej francy i innego syfilisu!

Pięć minut później, gdy stopniowo ochłonęli z szoku, jakim było narzucone im zadanie, zadali młodemu i zadowolonemu z siebie majorowi pytanie, które zdmuchnęło uśmiech z jego twarzy i zastąpiło go złym przecuciem.

* Ale, panie majorze, co do diabła robi batalion w tej zapomnianej przez Boga francuskiej dziurze?

Dlaczego jesteśmy w Dieppe?

* Cóż, Schulze... * odparł poważnie von Dodenburg. * Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie.

sześć

* Moi panowie * zaanonsował oficjalnym tonem generał Hase, dowódca 15. Armii * jego ekscelencja, marszałek polny von Rundstedt!

Zgromadzeni oficerowie z 1. Dywizji SS, dowodzonej przez szerokiego w barach, byłego sierżanta wojsk pancernych, a wcześniej jeszcze partyjnego zabijakę, Seppa Dietricha, stanęli na baczność. Nawet wśród oficerów tej dywizji, którzy nie darzyli specjalnym szacunkiem mundurów Wehrmachtu, geniusz najślawniejszego generała niemieckiego budził respekt.

Bardzo stary i pomarszczony oficer przeszedł przez drzwi. Pomimo lipcowego gorąca był szczelnie opatulony wielkim płaszczem wojskowym z futrzanym kołnierzem. Wąty von Rundstedt podniósł buławę marszałkowską, chcąc podziękować w ten sposób za powitanie.

* Możecie usiąść, panowie * powiedział powoli głosem szorstkim od nadużywania francuskiego koniaku.

Dystyngowany starzec, który kierował wojennymi losami Niemiec na Zachodzie, czekał cierpliwie, aż zgromadzeni oficerowie zajmą miejsca, po czym wolno począpał w stronę wielkiej mapy rozwieszanej na ścianie pokoju operacyjnego.

* Panowie z dywizji Leibstandarte! * zaczął przemowę. * Możemy się spodziewad, że Tom* mies będą usiłowali wylądowad w rejonie Diep* pe, i to w tym lub przyszłym tygodniu.

Zaraz potem w sali rozległ się szum podnieconych szeptów, a von Rundstedt uśmiechnął się lekko, zadowolony z efektu swoich słów.

* Mamy potwierdzenie od naszych agentów z Southampton, że Anglicy gromadzą tam oddziały. W opinii Fuhrera Churchill został zmuszony do podjęcia takiej akcji przez bolszewików i Amerykanów.

Potem sucho zakaszał. Jego obwieszony medalami adiutant, który znał ten sygnał, przebiegł przez salę z otwartą butelką.

* Pana lekarstwo na kaszel, ekscelencjo * powiedział i nalał do kieliszka słuszną miarę trunku.

* Dziękuję, Heinz. Musiałem się przeziębida w trakcie podróży tutaj.

Upił spory łyk koniaku, a von Dodenburg posłał Sępowi znaczące spojrzenie.

Ale lodowate, błękitne oczy dowódcy batalionu patrzyły na feldmarszałka, a jego twarz z napięciem oczekiwała dalszych słów, oczywiście z nadzieją, że Wotan będzie zaangażowany w tę akcję, po której będzie można uzyskać awans, co stanowiło podstawę ambicji oficera.

* Przepraszam, panowie * powiedział von Rundstedt, nie reagując na znaczący uśmiezek, który pojawił

się na szerokiej twarzy Dietricha.

Potem klepnął lekko wskaźnikiem w mapę.

* Dieppe, cel Anglików. Jestem pewien, że wy, panowie z SS, domyślacie się, co będą próbowali zrobić, gdy już wylądują.

Stary feldmarszałek przerwał na chwilę, mając nadzieję, że któryś z oficerów w czarnym uniformie SS

wykaże się inicjatywą. Ale nawet Sepp Dietrich, zawsze wygadany i agresywny dowódca dywizji, nie śmiał odezwad się w obec* ,ności najlepszego niemieckiego stratega.

* Nie * feldmarszałek odpowiedział na swoje pytanie z cyniczną ekspresją, która pojawiła się w jego wygasłych oczach. * No to ja wam powiem. Tommies są bardzo sztywni i przewidywalni w swojej strategii i taktyce. To wynika z ich sztywnego systemu klasowego. Kiedyś powiedzieli mi, że ich armia jest szkolona tak samo jak w czasach Fryderyka Wielkiego.

Teraz pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

* Nie ma to znaczenia. Po prostu będą łatwiejszym kawałkiem mięsa do strawienia, przynajmniej tak mi się wydaje. Tak więc, co oni zamierzają zrobić? Jak wiecie, Dieppe leży na wielkiej przełęczy

leżącej w delcie rzeki d'Arques. Na jej kraocach znajdują się dwa wzniesienia, które dominują nad całym rejonem plaż. To będą strefy lądowania naszych tępogłowych Tommies. I oczywiście tam wylądują, bo myślą, że kanciaste łby, jak nas nazywają, nie będą na tyle głupie, by atakować frontalnie pozycje, które tworzą tak znakomite warunki do obrony.

Von Dodenburg stał z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami. Wiekowy feldmarszałek uczynił to przypuszczenie z niesamowitą pewnością jasnowidza.

* A na jakie niebezpieczeństwa nadzieją się Anglicy poza ufortyfikowaną promenadą w Diep* pe?

Bliźniacze baterie: bateria Goebbelsa w Ber* neval, nazwana tak na cześć naszego ukochanego ministra propagandy Josepha Goebbelsa, i bateria Hessa, w Vesterival. Nazwana tak po kimś, kto najlepiej, żeby pozostał bezimienny.

Dietrich zaczerwienił się, gdy feldmarszałek posłał mu niewinny uśmiech. Rzecz jasna bateria została tak nazwana na cześć zdrajcy Rudolfa Hessa, który oszukał swego wodza i naród i poleciał miesiąc wcześniej samolotem do Anglii.

Jak zwykle feldmarszałek starał się wbud złośliwą szpilkę Waffen SS * formacji, której nienawidził. Sepp Dietrich poprzysiągł, że ten staruch zapłaci kiedyś za wszystkie obelgi. Tymczasem, nie zważając na zakłopotanie esesmana, feldmarszałek kontynuował wykład.

* Jak wiecie, te dwie baterie mają specyficzne zadania. Zadaniem baterii Hessa, czyli sześciu dział kalibru sto pięćdziesiąt milimetrów, jest stworzenie zapory ogniowej osiem tysięcy metrów od Dieppe. Zapora ma się składać z sześciu salw armatnich. Bateria Goebbelsa ma w tym

samym czasie skoncentrować ostrzał na każdym celu morskim, który znajduje się poza zaporą ogniową poprzedniej baterii. Co więc Tommies będą chcieli zrobić? Na pewno spróbują wyeliminować te baterie, nim rozpoczną lądowanie. Do jakiego wniosku dochodzimy, dżentelmeni z SS? Zakładamy, że atak na te baterie będzie sygnałem do głównego uderzenia, które nastąpi w ciągu, powiedzmy, godziny. Czy nadążacie za mną?

Oficerowie SS w nieskazitelnie czarnych mundurach zaczęli kręcić się z zakłopotaniem na swoich krzesłach. Otoczony wciąż feldmarszałek potraktował ich jak niedouczonego dzieciaków, a nie jak doświadczonych żołnierzy czołowej dywizji SS. Rozległy się niezdarne pomruki potwierdzające zrozumienie sytuacji.

* Bardzo dobrze, panowie * po twarzy von Rundstedta przebiegł lodowaty uśmiech. * Anglicy zaatakują baterię Hessa, która leży kilometr w głąb lądu. Uderzą w jedno z dwóch możliwych miejsc na plaży: blisko Quiberville lub dokładnie na wprost baterii, gdzie są zatoki i wyłomy w klifie.

Potem lekko zadrżał.

* Może być tak, że uderzą z obydwóch kierunków naraz. Tommies nie bardzo rozumieją, jak ważne jest skoncentrowanie siły w trakcie ataku. Ale to bez znaczenia. Podobnie na wschód od Dieppe, w Berneval, które leży w rejonie dywizji

Leibstandarte, Anglicy mogą wykorzystać dwie plaże nadające się do wyprowadzenia ataku na baterię Goebbelsa.

* A zatem * feldmarszałek podniósł głos * jestem przygotowany na stratę baterii Hessa. I dlatego rozkazałem już 10. Dywizji Pancerniej, aby nie broniła zbyt zżarcie tych umocnień.

Wśród oficerów SS przeszedł szmer zaskoczenia. Von Rundstedt promieniał; właśnie takiej reakcji spodziewał się od czarnej gwardii Hitlera, która nie miała zwyczaju cofać się bez względu na okoliczności, nawet jeśli ten manewr dawał taktyczną przewagę.

* Tak * powiedział, wyciągając z rękawów dłonie pokryte plamami wątrobowymi. * Jak pajak czający się na muchę chcę wciągnąć ich w moją sieć. Führer i ja chcemy, aby wylądowali. Mają wylądować całą swoją siłą, a wtedy ich zmasakrujemy. Zginą tysiące. To będzie olbrzymi sukces propagandowy we Francji, który być może zmusi Iwana do zawieszenia broni, bo zrozumie on, że zachodni alianci nie pomogą mu w dalszej wojnie. Ale nie możemy sobie pozwolić na utratę baterii Goebbelsa.

* Trujący karzeł * użył pogardliwego określenia, jakim w armii określano kulawego i słynącego z ciętego języka ministra propagandy * musi pozostać w niemieckich rękach. Naturalnie Royal Navy użyje artylerii swoich okrętów, aby osłonić lądowanie, ale działa pancerników będą jedyną realną siłą, jakiej Brytyjczycy użyją

przeciwko naszym pozycjom. Zaprawdę, ich ogień może skutecznie odciąć Dieppe od reszty lądu i zablokować drogę naszym posiłkom, które będą zmierzały w kierunku miejsc lądowania wroga. Tak więc możemy sobie pozwolić na utratę baterii Hessa. Bo chcemy, aby Tommies wylądowali. Ale nie możemy dopuścić do utraty baterii Goebbelsa! Jej działa uniemożliwią marynarce brytyjskiej przerwanie rzezi ich oddziałów lądowych. I tego ma dokonać dywizja Leibstandarte, panowie.

* Ekscelencjo! * Sepp Dietrich poderwał się z krzesła, wypiął dumnie szeroką jak szafa klatkę piersiową, wysunął pełną szram szczękę do przodu i ryknął jak jeleń na rykowisku. * Pragnę zameldować, że dywizja Leibstandarte będzie walczyła z panem feldmarszałkiem do śmierci!

Von Rundstedt przez chwilę milczał, studiując fizjonomię byłego partyjnego bojownika, jakby patrzył na robaka wychodzącego z dziury w drzewie.

* Cóż za wspaniała myśl * westchnął w koocu, gdy pomyślał z radością, że SS * „czarne męty”, jak nazywał ich prywatnie * będzie leżało martwe na wysokich klifach Dieppe. * Do śmierci!

Sepp Dietrich zaczerwienił się i opadł na krzesło. Stary marszałek spojrzał na niego.

* Generale, obecnie pańska dywizja składa się, jak to się mówiło w cesarskiej armii, z choinkowych żołnierzy.

Pomruk gniewu przeleciał wśród esesmaoskiej elity. Ale von Rundstedt zaraz go uciszył.

* W związku z wielkimi stratami, jakie ponieśliście w Rosji, wasze szeregi zostały uzupełnione niewyszkolonymi rekrutami, którzy jeszcze nie byli w walce. Przyznaję, że umrą z odwagą, jeśli o to

chodzi. Ale ośmielam się, panowie z SS, zwrócić wam uwagę, że wojny wygrywają żywi, a nie martwi żołnierze. Poza tym większe ruchy waszej dywizji mogłyby zaniepokoić Brytyjczyków do tego stopnia, że mogliby wycofać się z pułapki, którą na nich zastawiamy.

Obliznął trupioblade wargi. Jakby chciał zakaszleć, co było sygnałem dla adiutanta, aby podał mu kieliszek z koniakiem.

* Aczkolwiek, jak mi doniesiono, jeden z paoskich batalionów, generale Dietrich, osiągnął już pełną gotowość bojową i jest względnie dobrze wyszkolony. I do tego jest ulokowany, taktycznie rzecz biorąc, w idealnym miejscu, w Bracquemont, czyli pomiędzy Dieppe i baterią Goebbelsa. To paoski pierwszy batalion * Wotan.

Sęp mocniej nadstawił uszu, gdy usłyszał nazwę swego batalionu, ale w przeciwieństwie do Dietricha znał marszałka Gerda von Rund* stedta. Niby przypadkowo powstał z miejsca, wcisnął monokl w prawy oczodół i szczechnął chropawym, pruskim głosem.

* Wasza ekscelencjo, jedno zimne pierdnięcie moich kuchennych byków mogłoby wystarczyć, aby posłał Angoli za kanał.

Von Rundstedt uśmiechnął się lekko. Rozpoznał szorstki ton kawalerzysty z regularnej armii i instynktownie poczuł, że rozmawia z człowiekiem z tej samej gliny co on.

* Jest pan bardzo pewny siebie, panie pułkowniku.

Sęp nie odebrał tego jako komplementu. Unikając zachwyty nad sobą samym, zapytał:

* Jakie są rozkazy dla mojego batalionu, ekscelencjo?

Marszałek ponownie się uśmiechnął, pokazując rząd równych, śnieżnobiałych, sztucznych zębów.

Spodobał mu się ten pałakowaty, mały pułkownik SS w workowatych bryczesach i z nosem wielkim jak orli dziób.

* Nie jest w zwyczaju niemieckiej armii, aby feldmarszałek kierował bezpośrednio działaniami batalionu, panie pułkowniku, ale nadchodzące dni mogą zmienić stopień ingerencji ge* neralicji w system dowodzenia.

Sęp odwzajemnił się marszałkowi uśmiechem, podczas gdy dwa krzesła od niego Sepp Dietrich dosłownie gotował się od ledwo tłumionego gniewu.

* W tej kwestii dla losów całej operacji niezwykle ważne jest, aby bateria Goebbelsa pozostała w naszych rękach. Pan, mój drogi pułkowniku, pozostanie w Bracquemont, dopóki Tommies nie zaczną desantu na plażę obok tej baterii.

* I co wtedy?

* Wtedy zaczniecie maszerowad, i to tak szybko, jakby diabeł następował wam na pięty.

* Maszerowad? * w głosie Sępa słychad było zaskoczenie.

* Tak, maszerowad! Nie mam zamiaru ryzykowad * nie chcę, aby wasze widoczne z daleka samochody zobaczył jakiś przypadkowy samolot RAF* u, który niewątpliwie pojawi się nad polem walki. Ich lotnictwo może roznieśd was na strzępy, nim dotrzecie do baterii. Wasi towarzysze, ci, którzy walczyli w Rosji, zupełnie nie zdają sobie sprawy z mocy brytyjskiego lotnictwa. Gruby Herman jest wobec niego bezradny.

(Niemieckie potoczne określenie marszałka Luft* waffe, Hermanna Goringa.)

Od teraz, panie pułkowniku, paoscy ludzie mogą porzucid pojazdy pancerne i zacząd trenowad marsz z Bracquemont do baterii. To tylko pięd kilometrów, reszta należy do pana, a od tego zależy wasze życie.

Podniósł rękę i popatrzył na Sępa szklistymi oczami.

Von Dodenburg popatrzył na pomarszczonego starca i mimowolnie zadrżał. Te słowa nie były ostrzeżeniem, tylko nieskrywaną groźbą.

SIEDEM

* Czy mogę się do pana zwrócić, sierżancie?! * krzyknął młody żołnierz SS z niepokojem w oczach i kręconymi blond włosami, które lekko opadały mu na czoło. Przekrzykiwał muzykę, która kołysała ludźmi zebranych w Cafe de la Belle Alliance w Dieppe.

* Dlaczego nie * odparł łaskawie Schulze i nie odrywał wzroku od podłogi, po której tarzały się pijane ladacznice oraz szczęśliwi, spoceni żołnierze i marynarze.

* Zna pan dobrze to miejsce?! * wrzeszczał chłopak.

* Oczywiście * odparł sierżant, nie patrząc na rozmówcę. Rozglądał się za żołnierzami z Pierwszej Kompanii. * To przybytek Rosi* * Rosi.

* To dobrze trafiłem.

Teraz obaj, Schulze i Matz, spojrzeli na nastolatka.

* A czy ty jesteś z Pierwszej Kompanii? * dopytywał się Matz, mając świadomość, że groźba von Dodenburga może go ponownie odesłać do

szpitala La Charite, prosto w ręce siostry Klary, która już zaaplikuje ochotnikowi Hitlera odpowiednią terapię.

Ale chłopak potrząsnął przecząco blond głową.

* Nie, z trzeciej.

Obydwaj podoficerowie odetchnęli z ulgą.

* No to w porządku. Dalej żołnierzu, w czym rzecz?

* Chodzi o kobietę * powiedział bez ogródek szeregowiec. Potem zakłopotany oblał się czerwienią.

* No to rzeczywiście dobrze trafiłeś, chłopie * stwierdził Matz. * Rosi* Rosi jest właśnie takim miejscem, gdzie możesz spuścić trochę brudnej wody.

Schulze spojrzał zdziwiony na dzieciaka.

* Jak wolisz, z jedną czy z dwiema? A może chcesz którejś wsadzić pod pachę?

Potem wybuchnął śmiechem, gdy zastanowił się nad ostatnim pomysłem.

* Wyobraź sobie, jak byłoby fajnie, gdyby wszyscy tak robili. Wtedy nie musielibyśmy się martwić nawet o żółtodziobów z naszej kompanii.

Potem wykonał wulgarny ruch łokciem, chcąc zobrazować, o jaki rodzaj zabawy mu chodziło.

* Ja się do tego nie nadaję * powiedział chłopak. * Po dzisiejszych pięciu kilometrach w piętnaście minut mam stopy jak surowe mięso.

* Mięczak * powiedział nieczule Matz. * No dalej chłopcze, czego w takim razie chcesz?

* To nie tak łatwo wyjaśnid, ale ona powinna być ładna i inteligentna. Chciałbym z nią porozmawiać.

* Ale chyba po wszystkim, a nie zamiast? * dopytywał się Matz.

* Tak, oczywiście, że po wszystkim * przytaknął chłopak.

Szulze pokręcił z niedowierzaniem głową.

* Chryste na krzyżu! * wybuchnął. * Do czego w tej armii dochodzi? Taki sierściuch chce pogadać, troszkę! Ty stojaku na choinkę, nie płacisz im za gadanie, tylko za leżenie na plecach, dynamiczne ruchy bioder i otwieranie ich perłowej bramy!

* Daj mu szansę, Schulze * bronił chłopaka Matz. * Jest ładniutki.

* Chciałbym spotkać kogoś, z kim mógłbym żyć w czasie naszego pobytu we Francji * nalegał chłopak.

* A czemu nie ta stara babka? * zachęcał Matz z gniewną miną. * Możesz ją mieć, stawiam dwadzieścia marek.

Chłopak uśmiechnął się.

* Nie, to musi być Francuzka.

* Hej! * zawołał Schulze.

Duża, kędzierzawa brunetka stojąca za ladą barową odwróciła się.

* Czego chcesz? * spytała płynną, choć niegramatyczną niemczyzną.

* Ciebie, Rosi* Rosi.

Kobieta odstawiła mytą właśnie szklanekę.

* Zaraz dojdę, sierżancie Schulze.

* Tak, ty możesz, ale Schulze nie może! * zarechotał Matz.

* Ty zasraocu okopowy * zaklął Schulze, ale jakoś bez przekonania.

Jego uwagę przykuła brunetka, właścicielka burdelu. Rosi* Rosi otrzymała przezwisko z powodu wielkich sutków sterczących z olbrzymich piersi, które miały zwyczaj wyskakiwad z dużego dekoltu jedwabnej sukienki w najmniej spodziewanych momentach.

* Niech zsikam się zwiirem * westchnął z podziwem. * Wepchnąłbym tam swoją armatę. Spójrz na ten zad, Matzi, jak u belgijskiej kobyły!

Rosi* Rosi zatrzymała się przed ich stołem, jej monstrualne piersi drżały jak galareta.

* Tak? * dopytywała się. * Co panu chodzi po głowie, sierżancie?

* Nie po głowie * ślinił się lubieżnie wojak * to jest w gaciach!

* To trzymaj tam nadal te swoje brudne narzędzia * stwierdziła pogardliwie właścicielka lupanaru. *

Idziemy?

* Gdyby tylko mógł! * zawołał Matz. Schulze go zignorował.

* Jest tutaj chłopak, Rosi* Rosi, który przeżył chyba zawód miłosny.

* Tak? * spytała Rosi* Rosi i pochyliła się zaciekawiona, pozwalając spojrzed Schulzowi na wspaniałe piersi i twarde sutki.

* Oczywiście. Złamał sobie prawą rękę i nie może teraz, wiesz co... * Schulze zarechotał z własnego dowcipu.

* Sale con * zakłęła kobieta w ojczystym języku, ale powieki jej błękitnych oczu mrugnęły łobuzersko.

Nie wykonała żadnego gestu, gdy sierżant wcisnął oblepione plastrem paluchy pomiędzy jej pulchne kolana.

* Ale poważnie, Rosi* Rosi, ten chłopak chce zrezygnowad z ogranych numerów i szuka kogoś, z kim może pogadad * puścił swobodnie oko. * On jest nawet zabawny.

* Niemcy * westchnęła kurtyzana. Obróciła się, a jej piersi popłynęły za nią.

* Jo* Jo * powiedziała do zezowatej barmanki, która miała przyklejony do dolnej wargi papieros. * On chce cipkę, która może z nim pogadad.

Jo* Jo skinęła głową. Zanurkowała w falujący tłum żołdaków i wyłowila z niego tłąstą dziewczucę z twarzą okrągłą jak księżyc, która wyglądała jak dwa worki ziemniaków związane paskiem ginącym gdzieś pod obwisłym brzuchem.

* Joanna * oznajmiła Rosi* Rosi i poczochrąła włosy na głowie rosłej dziewczyny.

Jej fryzura przypominała efekt działania zezowatego fryzjera na ciężkim kacu.

* Chryste! * zawołał Schulze * Joanna d'Arc! Ale chłopak wydawał się zadowolony. Kilka chwil później wdał się z wybranką w ekscytującą dyskusję pełną obrazowych ruchów rąk i francuskich

„oui * ouis”.

Schulze ponownie zwrócił się w stronę Rosi* * Rosi.

* Ty i ja moglibyśmy dać dzisiaj cudowny koncert, kochanie * powiedział, obejmując wielką łapą ściśniętą gorsetem talię kobiety, by ułatwić sobie zbliżenie twarzy do jej łona.

* Uważaj, Schulzi * powiedział szybko Matz

* bo ta dama może ci wybić sutkiem oko, jeśli nie będziesz ostrożny.

* Ty chyba chcesz pociupciać * powiedziała Rosi* Rosi, nie zważając na obandażowane dłonie sierżanta, które szturmowały jej ubranie.

* Chcę?! * zawołał energicznie Schulze.

* Gdybym tego chciał, to już dawno ten stół byłby oczyszczony ze szklanek i zamieniłby się w kopulodrom, nie żartuję!

Rosi* Rosi roześmiała się serdecznie, a jej piersi cudownie podskoczyły. Śmiałość Schul* zego wzrastała.

Bezczelnie wsunął dłoń między jej nogi. Kobieta lekko podskoczyła.

* Tam jest twardo i gorąco * stwierdziła.

* To nie jedyna rzecz * powiedział Schulze złowieszczo. * Gdybyśmy tylko mogli...

Ale Schulzemu nie było dane tej nocy delektować się urokami Rosi* Rosi. Nagle czarną kurtyną, zaciemniającą drzwi do kawiarni, targnął podmuch powietrza i w prostokącie wejścia pojawiły się zwałiste sylwetki Rzeźnika oraz jego kumpli * wszyscy zaczerwienieni od moczenia

gęb w kufkach z piwem. Rzeźnik od razu spostrzegł przytulonych kobietę i mężczyznę i pijackim zwyczajem ryknął na cały głos, aby każdy mógł usłyszeć:

* Zdejmij z niego te łapy, Rosi* Rosi! Ten pier* dzący jak armata podoficer jest pogotowiem wenerycznym Pierwszej Kompanii. Nie wiesz, co możesz od niego załapać od samego dotknięcia!

Potem rozłożył szeroko ręce.

* Chodź do tatusia, u niego jest miło, przytulnie i bezpiecznie!

Rosi* Rosi uwolniła się z objęd Schulzego i przepchnęła przez śmiejący się tłum żołnierzy w kierunku olbrzymiego starszego sierżanta. Ten natychmiast objął ją w pasie i para ruszyła w stronę najbliższego stołu, który został oczyszczony z biesiadników wprawnym kopnięciem sierżanta w tył krzesła jednego z siedzących żołnierzy.

* Perwersyjny lachociąg * mruknął ponuro Schulze. * Gdybym dzisiejszej nocy dostał pod siebie tę panienkę, pokazałbym jej, jak ujeżdża się konie!

* Ranga daje przywileje * powiedział Matz ze współczuciem. * A poza tym trzeba przyznać, że jest tutaj jeszcze wiele innych uzdolnionych pańienek.

* Hm * chrząknął Schulze i zapadł w gniewną ciszę, patrząc na dziwki ubrane w kokieteryjne, kwieciste stroje oraz spoconych wojaków, którzy w trakcie tanga wciskali partnerkom nogi w krocze.

Schulzemu wydarzenia nie pozwoliły popaść w długą i bezmyślną desperację oraz snucie niewypowiedzianych planów okrutnej zemsty na Rzeźniku.

* Hej, Schulzi * Matz przerwał jego zadumę.

* Jest jeden z naszych i wygląda na to, że taoczy ze świnia. Bo ta baba tak wygląda.

Sierżant spojrzał na chłopaka z Pierwszej Kompanii taocującego z dziwką, która mogłaby być jego matką.

Jej długi jęzor lubieżnie wślizgiwał się w ucho żołnierza, oddychała z udawanym podnieceniem. Policzki miała pokryte czerwonymi liszajami.

* Dobra, ruszamy, ty kwasibrzuchu. No, nie siedź jak zapasowy fiut na weselu. Ten sier* ściuch ma już sztywne ucho od tego jej franco* watego jęzora.

Odstawili krzesła i przeciskali się przez rozedrgany tłum, rozsuwając na boki protestujących żołnierzy i ich partnerki.

Schulze położył ciężką rękę na chudym ramieniu ładacznicy.

* Twoja żółta karta * zażądał.

* Odwal się * powiedziała, nie przerywając taoca.

* Hej, sierżancie * zaprotestował jej partner

* nie utrudniajcie mi życia. My tylko taoczymy. Po wczorajszym marszu do baterii Goebbelsa nawet mi nie stanie.

Ale Schulze był nadal w złym nastroju.

* Dowódca rozkazał mi sprawdzić żółte karty wszystkich dup i upewnić się, czy nie rozdają małych francuskich upominków, gdy ściągną w łóżku gacie! Rozumiesz, kochanie? Obejrzymy twoją kartę!

* Odwal się * dziwka ponownie rzuciła przez ramię.

Wtuliła się mocniej w taoczącego z nią żołnierza.

* Odstaw tego palanta, chłopcze * domagała się.

* Kolejny raz już nie powtórzę... * zaczął Schulze, ale musiał przerwać, bo silne uderzenie w plecy, jakie otrzymał od Obermaata z marynarki, niemal zważyło go z nóg.

Sierżant odwrócił się z gniewem.

* Ślepy jesteś, ty zboczony lachociągu?!

* krzyknął.

* A ty po co stoisz na środku tego gówniane* go parkietu? * warknął marynarz. * Głupi dupek z SS, wam nawet trzeba mówić, kiedy deszcz pada, abyście nie zmokli.

* Szukasz kogoś, kto zrobi ci z gęby befsztyk

* powiedział groźnie Schulze, podnosząc w górę obandażowane dłonie.

Obermaat wypuścił z objęć partnerkę.

* Mówisz do mnie, żołnierzu?

* A jak myślisz? Do samego Wielkiego Lwa?

(Przez wisko nadane przez niemieckich marynarzy, służących na łodziach podwodnych, ich szefowi, admirałowi Dónitzowi.)

* Dla ciebie admirała Dónitza, ty zaśmierdły krasnalu ogrodowy!

Schulze zrobił się purpurowy na twarzy.

* Jeśli nie będziesz ostrożny, to możesz mieć gębę pełną luźnych zębów, ty tłusty, pierdzący worku!

* Hej, co się tutaj dzieje? * Rosi* Rosi przebiła się przez pierścień ludzi otaczający dwóch wojaków. *

Jesteśmy tutaj, aby robić fiku* miku, a nie boksować się!

* Powiedziałem mu * protestował oburzony rekrut z Pierwszej Kompanii * że chcę tylko zatańczyć z

tą mamusią. Po wczorajszym marszu do Berneval...

Matz tak mocno trzasnął łokciem chłopaka w żołądek, że ten kompletnie stracił oddech. W tej samej chwili Obermaat wyprowadził piorunujące uderzenie w Schulzego. Sierżant jednak zdołał zrobić sprawny unik. Pięść marynarza przeleciała dalej i trafiła pięknym prostym w Rosi* Rosi. Uderzenie było tak niespodziewane, że burdelmama tylko krzyknęła z bólu, a jej cycki wyskoczyły spod jedwabnej bluzki.

Ale teraz nawet widok imponujących piersi nie mógł powstrzymać bijatyki, która rozprzestrzeniła się z nieprawdopodobną prędkością. Pod butami walczących chrzęściło potłuczone szkło. Za przewracanymi stołami próbowały się chować piszczące prostytutki. Trzyosobowy zespół muzyczny zagrał pospiesznie ostatnie akordy i zniknął.

Schulze dostał w tył głowy kuflem do piwa. Oszołomiony zrobił dwa kroki do przodu. Przez strumień krwi dojrzał roześmianego Rzeźnika.

* Cholernie dobrze wypełniasz te swoje zasrane obowiązki! * ryknął ze śmiechem olbrzym i wepchnął go z powrotem w tłum ludzi walczących teraz nawet butami.

* Ty dupo! * zawył Schulze i potrząsnął głową jak byk chcący uwolnić się od dokuczliwych much.

Potem ochoczo ruszył na łamiącą się falangę marynarzy.

Z ulicy doleciał warkot silników samochodów żandarmerii.

* Psy łaucuchowe * wysapał Matz, łapiąc przyjaciela za rękę.

* Puść mnie! Wymorduję tych bękartów jednego po drugim, te gówna z rynsztoka!

* Chodź! * wrzeszczał desperacko Matz. * Chyba nie chcesz wrócić do szpitala La Charite, ty głupi wole!

Tędy, przez okno w szpitalu!

Wyrąbali sobie drogę do latryny przez walczącą tłuszcę tuż przed tym, jak żandarmeria sforsowała drzwi wejściowe i rozpoczęła pałkami rzeź walczących.

Pół godziny później żandarmeria wywlekała na zewnątrz ostatnich stawiających opór wojaków, a dowodzący operacją porucznik podpisywał podsunięte przez Jo* Jo oświadczenie, że niemiecki komendant miasta ponosi całkowitą odpowiedzialność za szkody, jakie burdel poniósł w trakcie bójki pijanych żołnierzy. Rosi* * Rosi chodziła po kawiarni między połamanymi stołami i krzesłami, szacując poniesione straty. Masowała przy tym obolałą lewą pierś, jakby zagniatała ciasto na chleb. Jednak jej myśli nie koncentrowały się na połamanym meblach i potłuczonych butelkach. Dlaczego wszyscy żołnierze narzekali na forsowne marsze? I po co te szkopy z Batalionu Wotan biegały z Berneval do baterii Goebbelsa i z powrotem, skoro mieli masę samochodów ciężarowych? To mogło coś oznaczać, ale też mogło nie mieć żadnego znaczenia. Znowu ktoś nie był zbyt dyskretny?

Wreszcie trochę uporządkowała myśli.

* Jo* Jo * zawołała.

* Tak, Rosi* Rosi * odezwała się jej mała kochanka, która przez cały czas miała przylepiony do dolnej wargi kawałek papierosa.

* Ten starszy sierżant od szkopów chce wcisnąć mi kawałek swego mięsa między nogi. Będzie czekał na mnie w swojej kwaterze za pół godziny.

* No i? * spytała Jo* Jo znudzonym głosem.

* Me mam czasu. Ty musisz pójść, Jo* Jo.

* Gdzie?

* Do Anglika. Musisz mu powiedzied...

OSIEM

* Niech to gęś kopnie * jęknął czystym cock* neyem pułkownik, lord Abernockie i Dearth, i obciągnął

szkocki kilt podwiewany przez .ostrzy morski wiatr. * W tych warunkach jaja mogą zamarznąć, Freddy!

Szlachetnie urodzony major Freddy Rory* Brick, za swoimi plecami zwany przez ludzi z Siódmego Komanda „Czerwonym Prykiem”, spojrzął na zielone, falujące masy wody kanału La Manche.

* Ależ doprawdy nie musi pan nosić tego stroju, sir.

Powoli wcisnął monokl w oczodół i spojrzął uważnie na małego, rudego dowódcę, który poza opadającym kiltem na biodrach miał na głowie szkocki beret z czerwonym pomponem.

* Wie pan o tym, sir?

* Co masz na myśli, ty długi strumieniu moczu szkockich gwardzistów?! Jestem lordem, czyż nie? Jeśli tak, to ci chłopcy oczekują tego! Poza tym, Freddy, jestem ich dowódcą, więc muszę trzymać fason. Jeśli Lovatt z Czwartego

Komanda może nosić cywilne torby i mieć osobistego dudziarza, a Jack Churchill z Trzeciego może iść do akcji z tym swoim zardzewiałym mieczem, to ja chyba, do cholery, mogę nosić tweedową spódnicę!

Potań dłońmi wielkie V wymalowane na łodzi desantowej typu Eureka.

* Moja służba i krewniacy oczekują, że będę podtrzymywał tradycje! Oni mają nosy z toffi, tak jak ty, Freddy.

* Nosy z toffi, sir? * zapytał major Szkockiej Gwardii. * Ma pan niezwykły sposób wyrażania się, sir.

Lord rzucił podwładnemu chytre spojrzenie, dzięki któremu zyskał sobie niegdyś przydomek „Lis Fergus”.

Ale było to jeszcze wtedy, gdy pracował jako wózkowy na Tottenham Court Road. Potem, ku

całkowitemu zaskoczeniu jego otoczenia, zapomniany i daleko spokrewniony wuj, lord Abernockie i Dearth, zmarł, a chłopakowi powiedziano, że jest spadkobiercą połowy „cholernej północnej Szkocji!”.

* Dobra, Freddy * zawołał lord * przykręć mocno owiewkę i zabierz paluchy! Lądujemy! Włącz stoper!

Gdy sto stóp dalej spód łodzi zachrząścił o żwirowe dno, wielki major włączył stoper. Ludzie z Siódmego Komanda wyskakiwali na prawo i lewo i zaczęli brnąć przez wodę w kierunku plaży leżącej u podnóża wysokiego klifu. Zrobili to błyskawicznie, po czym wokół dwóch

wyrzutni rakiet sformowali szyk obronny najeżony pistoletami maszynowymi.

* Cofnij się, Freddy * „Lis Fergus” zwrócił uwagę swemu podwładnemu.

Ostrzeżenie padło w ostatniej chwili. Rozległo się miękkie sapnięcie, gdy żołnierze wystrzelili z wyrzutni dwa haki. Pojawiły się dwa obłoki dymu, które skryły oddział desantowy. Z wyrzutni wyskoczyły dwie długie, mocne liny, każda długości stu jardów, i pomknęły ku górnej krawędzi białej ściany. Sekundę później haki metalicznie uderzyły, jeden po drugim, w kredowe skały.

* Dwie minuty * oznajmił Freddy.

* Trafione w pieprzoną dziesiątkę! * zawołał lord, czując jednocześnie, jak z powodu narastającego podniecenia szybciej płynie w nim krew.

Dwóch krzepkich sierżantów chwyciło za liny. Bez chwili wahania zaczęli się wspinać, podczas gdy reszta żołnierzy rozpoczęła ostrzał skalnych szczytów z pistoletów maszynowych za pomocą ślepej amunicji.

Następna para komandosów chwyciła za liny. Coraz więcej łodzi desantowych dobijało do brzegu.

Powietrze wypełniały fruujące w powietrzu kotwice i haki.

* Śmiało, chłopaki! * darł się lord, który nie zwracał teraz uwagi na to, że kilt fruwał wokół jego pałakowatych nóg.

Pierwsze czerwone z wysiłku twarze pojawiły się na szczycie klifu.

i

LEO KESSLER

* Pięć minut * ogłosił Freddy. Rozbiegane dziko oczy błyszczały, klątki

piersiowe pracowały jak miechy, gdy wyczerpani żołnierze zdejmowali broń z ramion i pleców. Nisko skuleni przemykali w stronę pierwszej linii zasieków. Ze wzgórz, dominujących nad terenem pozorowanego natarcia komandosów, wróg otworzył ogień ślepią amunicją.

Kapral, trzymając w rozłożonych rękach płachtę grubego brezentu, rzucił się na zwoje drutu kolczastego.

Krzyknął przenikliwie, gdy stalowe zadziory wbiły mu się w ciało. Zaraz potem następny człowiek przebiegł po przygwożdżonym ciele, by dostać się na drugą stronę zasieków. Coraz więcej komandosów przebiegało po tym ludzkim moście.

* To jest to, chłopcy! * krzyczał lord. * Sprawcie im krwawą łaźnię! Załatwcie ich!

Oczy błyszczały mu w podnieceniu, tygodnie morderczego treningu przynosiły efekt.

* Osiem minut! * zawołał Freddy.

Towarzysze ściągnęli pokrwawionego kaprała z drutu kolczastego. Potem ruszyli do przodu w cztery* lub pięćosobowych grupkach, pod dowództwem oficerów i podoficerów. Szybko dotarli na wyznaczone pozycje, naprzeciwko siedmiu pozorowanych gniazd karabinów maszynowych otaczających baterię, o której donosił wywiad brytyjski.

Lord podniósł pistolet sygnałowy.

* Dziesięć minut * oznajmił Freddy, a w jego głosie pojawiło się podniecenie.

Pułkownik nacisnął spust raketnicy. Raz i drugi. Dwie czerwone flary z przytłumionym hukiem wystrzeliły w angielskie niebo.

Na ten sygnał wszyscy komandosi otworzyli ogień z broni automatycznej. Ciszę poranka przerwały serie wystrzałów. Treningowe bomby Millsa fruwały w powietrzu jak czarna deszcz. W tej samej chwili z każdej grupki żołnierzy oddzielił się jeden człowiek i pomknął zygżakiem niczym zawodnik rugby, strzelając z biodra w stronę wymagowanych karabinów maszynowych wroga.

* Teraz, komandosi! * krzyknął Freddy.

Gniazda kaemów zostały zdobyte, a dołączona do oddziału garstka komandosów amerykańskich ruszyła przez przerwę w linii Brytyjczyków, taszcząc ze sobą dziesięciostopowe torpedy Bangalore.

* Dawad, Jankesi! Ruszajcie tymi amerykańskimi nogami! * wołał rozgorączkowany lord.

Amerykanie fachowo czołgali się w trawie, by chwilę później jednym sprawnym rzutem skierować rury torped ponad trzema liniami zasieków, w stronę drewnianej makiety baterii artyleryjskiej. Przez moment panowała cisza. Raptem rozległ się huk wybuchającego kordy* tu, a kawałki drutu ze świstem przecinały powietrze.

* Dwanaście minut, sir!

Przez dym przebijały się jaskrawe rozbłyski z luf. Ostrzał stopniowo zamierał. Grzechot broni maszynowej zmieniał się w dziwnie brzmiące, pojedyncze trzaski. Stromo w niebo poleciała zielona raca.

Przebiła się przez dym, oświetlając wszystko poniżej upiornym, bladym światłem.

* Sygnał! * zawołał wciąż podniecony pułkownik. * Jak długo, Freddy? No mów szybko, stary kogucie, jak długo?!

Freddy zatrzymał stoper.

* Szesnaście minut i nieco ponad trzydzieści sekund.

Lord Abernockie i Dearth spojrzali dumnie na wysokiego gwardzistę.

* Czy szkiełka w twoich okularach nie pękają z dumy, Freddy?! * krzyczał. * Zrobiliśmy to dokładnie w wyznaczonym czasie!

* Tak, to rzeczywiście imponujące, sir!

„Lis Fergus” był w bardzo dobrym humorze, więc lekko szturchnął wysokiego podwładnego łokciem pod żebra.

Lord właśnie skończył inspekcję swoich ludzi, którzy leżeli zmęczeni na podeptanej trawie, ciężko oddychając i wycierając pot z mokrych i zaczerwienionych twarzy, gdy z drogi wiodącej z Southsea do Havant dobiegł warkot motocyklowego silnika. Maszyna, jadąca z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę, podskakiwała na nierównym gruncie i rozganiała wałęsających się strażników z obrony cywilnej.

* Założę się, że ten jeździec dzisiaj wieczorem nie usiądzie na tyłku * powiedział pułkownik, patrząc z zainteresowaniem na zbliżający się pojazd.

* Ciekawe, dlaczego tak się spieszy, sir.

* Szukają mnie. Może Winnie Churchill chce, abym wygłosił w „Ouse” przemówienie otwierające.

Motocykl zahamował z imponującym piskiem opon, a kierowca w skórzanej kamizelce ściągnął zakurzone gogle. Zeskoczył z maszyny i stanął na baczność, bo po odznakach rozpoznał pułkownika.

* Pułkownik... lord...

* Daj spokój z tymi tytułami * przerwał mu oficer * bo spędzimy tutaj cały dzień. Co mi przywozisz, chłopcze?

Zaskoczony londyńskim akcentem, który dochodził z ust szkockiego lorda, goniec sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej szarą kopertę.

* Tylko do paoskiej wiadomości. Ze sztabu dowódcy operacji * szczechnął.

* Daj spokój, bo dostaniesz przepukliny * powiedział kwaśno pułkownik.

Wziął kopertę i odszedł trochę na bok. Wyciągnął z getrów cienki nóż i przeciął ostrzem szary papier.

Czytał powoli, jakby miał kłopoty ze zrozumieniem, a jego szara twarz zrobiła się jeszcze bardziej ponura.

Kilka metrów dalej strażnicy z obrony cywilnej dzwonili blaszanymi kubkami, czekając

z nadzieją na „pół kwarty prawdziwej herbaty od majora”. Freddy wiedział, że on jest za to odpowiedzialny. Ale wpatrywał się w twarz dowódcy i doszedł do wniosku, że to nie jest dobry czas na przerwę na herbatę.

* Coś się stało? * spytał w koocu.

* Coś ich napadło, Freddy * odpowiedział pułkownik.

* Sir?

* Freddy, nie mogę przeczytać ci tej notatki. Jest tylko do mojego wglądu, z Richmond Terra* ce, z wywiadu. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli chociaż w skrócie ci nie powiem, o co chodzi.

* Sir?

Lord zniżył głos.

* Freddy, wywiad donosi, że batalion szkopów trenuje szybkie przemarsze na drodze do Berneval * oznajmił ponuro.

* No i?

* „No i?” ty strumieniu moczu! Czy nie wiąże się to z gównianym faktem, że już od trzydziestu jeden dni, od rezygnacji z operacji Butter, wszystkie puby od Pompey do Plymouth były wypełnione naszymi rekrutami i wojakami, którzy za pół kwarty piwa opowiadali, po co znaleźli się nad brzegiem morza?!

(Pierwszy rajd na Dieppe, który miał się odbyć na początku lipca, został odwołany, gdy oddziały desantowe były już na pokładzie barek.)

Możesz postawić ostatniego pensa na to, że szkopy wiedzą o całej operacji.

Potem spojrzał na falujące, zielone morze.

* Freddy, myślę, że Niemcy wiedzą o naszym ataku.

Oślupiały gwardzista spuścił wzrok. Freddy wiedział, że pomimo śmiesznego akcentu społecznych nizin i jeszcze śmieszniejszych prób pozowania na szkockiego lorda Fergus MacDo* nald nie był głupcem. Od kiedy na początku 1941 roku sformował oddział ze swoich dzierżawców i garści ochotników

pochodzących ze slumsów Glasgow, pułkownik uczył się szybciej niż zawodowi oficerowie. Spisał się dobrze, w Vaagso i jeszcze lepiej w St. Nazaire, za co przyznano mu wysokie odznaczenia bojowe. Długi i chytry nos dowódcy, który dał mu pseudonim „Lis Fergus”, wyczuwał kłopoty na milę. A tam, gdzie wielu zawodowych oficerów lekceważyło detale operacji, on preferował „użycie tylnych drzwi”, jak lubił

nazywał specjalne sesje treningowe.

* Nie wiem. Nie mogę tam sama wsadzić paka, jak powiedziała pewna aktorka do biskupa * powiedział

lord posępnie. * Ciągle to samo. Czuję w kościach * oni wiedzą o naszym desancie.

* Na mą duszę! * zawołał Freddy. * Ale nasi nie pozwoliliby, abyśmy weszli prosto w pułapkę, prawda?

Pułkownik nie odpowiedział. Zamiast tego rozkazał majorowi.

* Freddy, przejmujesz dowództwo.

* Co?!

* Wyjeżdżam * powiedział lord i odwrócił się w stronę motocyklisty. * Hej, ty!

* Sir?

* Dawaj tu szybko swoją maszynę!

Goniec opuścił gogle i pchnął ciężką maszynę w kierunku oficerów. Pułkownik przerzucił nogę przez tylne siodełko, beztrąsko pokazując, że szkockim zwyczajem nie nosi pod kiltem bielizny.

* Dobra, odpalaj!

* Tak jest, sir!

W maszynę z rykiem wstąpiło życie. Mały pułkownik objął kierownicę w pasie i znieruchomiał w oczekiwaniu.

* Ale gdzie pan jedzie, sir? * zapytał major Freddy Rory* Brick, a jego sławny spokój zniknął w jednej chwili.

* Jadę do Wielkiego Dymu! * ryknął lord Aber* nockie i Dearth, próbując przekrzyczeć wiatr i dudniący silnik motocykla. * Mam zamiar zamienić parę słów z Jego Lordowską Mością...

* O Chryste! * jęknął Freddy i złapał się za głowę.

DZIEWIĘD

Nie tylko pułkownik był tego dnia zdenerwowany. Gdy zbliżało się południe 16 sierpnia 1942 roku, pułkownik Geier i major von Doden* burg kłusowali na koniach prostą drogą z Bracquemont do Berneval. Według obserwujących ich rolników uprawiających króliki na niedzielny obiad wyglądali jak inni oficerowie szkopów, których od prawie dwóch lat widywano na konnych przejażdżkach na tej drodze. W mundurach bez skazy, z paoskimi minami, jakby nie interesowali się otaczającym ich światem.

Ale ci dwaj oficerowie nie jechali dla przyjemności, spełniali swój obowiązek. Po tym, jak rozkazał wynająć konie, Geier wychrypiał do von Dodenburga:

* Von Rundstedt jest cholernie sprytnym strategiem, ale ten stary przyk nie słyszał strzelaniny od 1918 roku. On już zapomniał, że na polu walki nie wszystko idzie tak, jak zaplanowano na wielkich mapach w St. Germain. (Siedziba sztabu von Rundstedta na przedmieściach Paryża.)

Dlatego też ci dwaj oficerowie cwałowali swobodnie na spoconych koniach. Dokładnie lustrowali wzrokiem okolice, wyszukując przeszkody, wszelkie możliwe źródła kłopotów i trudności.

* Przypuszczam, że Tommies wylądują przed świtem * pouczał Sęp swego młodszego kompana. * Czuję, że Wotan nie będzie musiał obawiać się ataków z powietrza.

* Trzeba zarządzić dokładne zaciemnienie * odpowiedział major. * Ale co z ostrzałem z morza?

Sęp zmarszczył brwi.

* Sądzę, że przemkniemy poniżej ostrzału. Możemy przyjąć, że nawalą dział okrętowych zostanie skierowana na tyły baterii, aby odciąć je od wzmocnienia. Potem przeniesie się błyskawicznie w rejon samych baterii, aby wesprzeć ogniem ich nacierającą piechotę. Ale myślę, że my dotrzemy tam wcześniej.

* Kupuję to. Mimo wszystko jednak nie podoba mi się ta droga * wskazał na jasną drogę biegnącą

wzdłuż grobli, porośniętą na poboczach wysokimi, gęstymi krzakami.

* Co masz na myśli? * Sęp spojrział podejrzliwie w twarz podwładnego, gdy jechali truchtem w stronę Belleville* sur* Mer.

* Tu jest wszędzie wiele kryjówek. Nie ma możliwości wykonania jakiegokolwiek manewru na tej drodze.

Innymi słowy, idealne miejsce na zasadzki.

* Ale my znajdziemy się przy baterii, nim dotrą tutaj Anglicy, von Dodenburg.

* Ja nie myślałem o Anglikach, tylko o Francuzach, panie pułkowniku.

* Francuzi! * zaśmiał się Sęp, ale nie brzmiało to przyjemnie. * Mój drogi majorze, Francuzi to bardzo efektowni dekadenci i tak samolubni, jak tylko ludzie byd potrafią. Odrzucają absurd Niemców i Anglików, którzy wydają się znajdować przyjemność we wzajemnym wyrzynaniu. Francuzi zajmują się sensownie jedynie rozrywką i podniebieniem.

Potem wykonał wulgarny seksualny gest i pomasował się po brzuchu wolną ręką.

* To właśnie lubią najbardziej * wyjaśnił swoją opinię o pokonanym narodzie. * Dlaczego mieliby ryzykować swoje cenne życie dla tych wychudzonych, wielkozębych Tommies? Nie, mój drogi majorze, Francuzi już zapomnieli

o wojnie i wzięli się z pasją za życie.

* Tak czy inaczej... * zaczął von Dodenburg, ale nagle przerwał.

Spojrzenie Sępa powędrowało w kierunku plaży, która ukazała się przed nimi.

Kuno von Dodenburg ściągnął wodze konia

i popatrzył na wąski pas piachu pokryty gęsto morskimi otoczkami. Zaraz za plażą wznosił się kredowobiały klif. Jedyna ścieżka prowadząca na górę przypominała stromą rynnę osłoniętą wysokimi na dwa metry zasiekaniem z drutu kolczastego. Druty były rozsiane bardzo gęsto

i przyłączone do stalowych słupów ustawionych po obu stronach ścieżki.

* Wygląda imponująco, sir * zaryzykował von Dodenburg.

Sęp powoli potaknął głową.

* Tak, to prawda. Jeśli Tommies posadzą na nich jajka, to tylko kilku z nich będzie później w stanie śpiewać tenorem.

Potem potrząsnął wodzami.

* Jedźmy obejrzęd baterię.

Przejechali truchtem obok samotnego białego domu stojącego na skraju klifu, który wyglądał na opuszczony kościół.

* Gniazdo karabinów maszynowych * zauważył pułkownik, wstrzymując lekko wierzchowca, by ponownie spojrzęd na baterię Goe* bbelsa.

Von Dodenburg znał sporo szczegółów dotyczących tej fortyfikacji. Została zbudowana przez Francuzów w 1936 roku jako część systemu obrony wybrzeża. Po 1940, gdy rozpoczęły się brytyjskie rajdy na teren Francji, Wehrmacht wzmocnił artylerię i teraz działa miały zasięg dwudziestu dwóch kilometrów. Każde z nich zostało zamontowane na żelbetowej platformie obracanej na centralnej osi. Przed atakiem piechoty broniły ich zasieki z drutu kolczastego i siedem stanowisk karabinów maszynowych, każde obsługiwane przez pięciu ludzi pod komendą kaprała. Z tyłu, za stanowiskami dział, znajdowały się dwa następne gniazda broni

maszynowej, mające wspaniałe pole ostrzału, długie na kilkaset metrów, ograniczone z boków lasem i krzakami. Na terenie baterii mieścił się garnizon dwustu artylerzystów. Sęp ostrożnie oblizwał usta.

* Nie jest tak źle, von Dodenburg. Ale czy słusznie stacjonują tu artylerzyści? Znasz moje odczucia w stosunku do czcicieli Świętej Barbary. (Patronka artylerzystów.)

Wielkie łby i małe jaja, które kurczą się, gdy dochodzi do prawdziwej akcji.

Major się uśmiechnął. Wiedział, dlaczego jego dowódca nie lubił artylerzystów. Ich oficerowie, intelektualna śmietanka Wehrmachtu, uzyskiwali awanse szybciej niż oficerowie Waf* fen SS, a Sęp podporządkował wszystko pragnieniu zostania generałem, którym wcześniej był jego ojciec.

* Tak czy inaczej, przy takich liniach obrony nie trzeba im sypad pieprzu na jaja, by wiedzieli, co mają robid * zauważył von Dodenburg.

* Też tak przypuszczam * powiedział Sęp, pocierając ogromny nochal. * Tu wszystko wygląda porządnie.

Gdy Anglicy już wylądują, niech tylko utrzymają się, dopóki nie przybędziemy.

* Dopóki? * spytał podejrzliwie von Dodenburg.

* Cały czas martwisz się o drogę?

* Tak jest, panie pułkowniku.

* No dobrze. Co w takim razie proponujesz, von Dodenburg?

* Byłbym bardziej zadowolony, gdyby broo pancerna stała w pogotowiu, aby nas wespręd w razie potrzeby.

* Takiej potrzeby nie będzie * stwierdził Sęp.

* Jeśli postawimy ich w stan pogotowia w tym samym czasie co piechotę, czołgi przybędą nam z pomocą minutę po tym, jak pojawią się kłopoty.

* Załogi są jeszcze zbyt słabo wyszkolone, przecież wiesz. Czołgi z taką obsadą mogą spowodować w ciemności więcej zniszczeń niż wróg.

* To nie ma znaczenia. Po prostu będę czuł się bezpieczniej, jeśli za plecami będzie takie pogotowie ratunkowe.

Sęp spojrzał z niepokojem na przystojną twarz młodego oficera.

* Wiesz co, von Dodenburg, takie zmartwienia mogą szybko wepchnąć cię do grobu.

* Lepsze to niż kula od Anglików * powiedział z uśmiechem major.

* No dobrze, wygrałeś. Czołgi będą w stanie pogotowia. Ale tylko Bóg wie, co te żółtodzioby nawyprawiają za sterami naszych PzKpfw IV.

Pod wieczór lord Abernockie i Dearth zsiadł z siodełka motocykla. Jego twarz i mundur pokryte były grubą warstwą kurzu. Nie otrzepując się nazbyt dokładnie, ruszył dumnie w kierunku wyjścia do budynku dowództwa operacji w Richmond Terrace. Stanowczo zażądał widzenia z lordem Louistem

Mountbattenem.

* Ale nie może się pan spodziewać, że admirał przyjmie ot, tak sobie jakiegoś pułkownika * odparł z lekkim obrzydzeniem elegancki adiutant. * Admirał jest bardzo zajęty, pan o tym wie.

* Słuchaj, chłoptasiu * zgrzytnął zębami pułkownik. * Jeśli w ciągu pięciu minut nie będę mógł

porozmawiać z admirałem, wypruję ci flaki, handlarzu starzyzną z wyższej klasy. I to za pomocą tego otwieracza do muszelek.

Po czym sięgnął pod getry, by wyciągnąć z nich cieniutkie ostrze szkockiego noża.

* Nie będę czekał ani sekundy dłużej. Wymuskany adiutant pomknął jak strzała.

* Dowódca Siódmego Komanda, sir * zameldował oficer rozbawionemu lordowi* admirałowi* wi. * Jest w diabelskim nastroju. Groził mi... och, ale to nie ma znaczenia, sir.

Mountbatten roześmiał się ponownie.

* Stary AD * stwierdził z radością. * Groza górali szkockich! Niech wejdzie, mam dla niego pięć minut, Jenkins.

Mały pułkownik w wymiętym, zakurzonej kilcie przeszedł od razu do rzeczy.

* Admirale, nie podoba mi się to! Nie podoba mi się ani trochę!

* Co ci się nie podoba, AD?

* Ta cała operacja, ta cholerna operacja Jubilee. Pochylił się nad wielkim biurkiem, a kudłate włosy marchewkowego koloru opadły mu na czoło.

* Myślę, że szkopy nas przejrzały! Przystojna twarz Mountbattena zastygła w napięciu.

* Niemożliwe * powiedział z przekonaniem godnym oficera marynarki.

* Tak? A co z oddziałami SS, które robią szybkie przemarsze po drodze z Bracquemont do Berneval, admirale? Czy to jest jakiś specjalny kawałek drogi we Francji?

* Zbieg okoliczności, AD.

* Pan żartuje, admirale! * wysapał lord Aber* nockie i Dearth, zwany przez swych dowódców familiarnie AD, co wzięło się od pierwszych liter nazw jego posiadłości. * Rusz tylko nogą, a zaraz zadzwonią!

* Co pan ma na myśli, pułkowniku?

* Niech pan tylko spojrzy na ten sakramencki układ. Operacja Jubilee została zaplanowana w kwietniu 1942 roku. Wtedy w Dieppe było około tysiąca czterystu żołnierzy niemieckich z jednostek drugiego rzutu. Do lipca, kiedy początkowo planowaliśmy przeprowadzenie operacji, znalazły się tam trzy kolejne dywizje, w tym jedna cholerna dywizja SS.

Spojrzał oskarżycielsko na admirała, który nadal zachowywał kamienny spokój.

* W porządku, co zatem takiego zaszło? * kontynuował pułkownik. * Operacja została ponownie odwołana. I co zrobiły szkopy? Wycofały większość jednostek!

Potem ostrzegawczo podniósł brudny palec.

* Ale to nie był koniec. Co to, to nie, admirale! Jak tylko wznowiliśmy przygotowania do operacji, Niemcy ponownie ściągnęli swoje oddziały. Co się w takim razie dzieje? Czy stary von Rund* stedt gra w jo* jo na własnym tyłku, czy też szkopy wiedzą, że do nich przyjdziemy?

Lord Abernockie i Dearth odetchnął ciężko i zatrzymał się gwałtownie. Drżącymi z rozdrażnienia palcami zapalił kolejnego ulubionego Woodbina.

Mountbatten zawahał się przez chwilę. Ten śmieszny pułkownik nie był pierwszą osobą, która protestowała przeciwko tej operacji w ciągu ostatniego tygodnia. Montgomery, który początkowo miał

dowodził całym przedsięwzięciem, napisał niedawno ze swojej nowej kwatery na pustyni w Afryce Północnej do generała Pa* geta, szefa sztabu wojsk lądowych: „Jeśli chcemy zdziałać coś na kontynencie, to wybierzmy inny cel niż Dieppe”.

W armii wyraźnie pojawiła się grupa wyższych oficerów, którzy stracili wiarę w sens

przeprowadzenia takiego ataku. Z drugiej strony Mountbatten wiedział, jak rozpaczliwie Churchill naciskał na rozpoczęcie operacji. A jego własna gwiazda świeciła tylko na firmamencie podtrzymywanym przez premiera.

* AD * zaczął w koocu admirał * wydaje mi się, że nadmiernie się ekscytujesz.

Wzruszył lekko ramionami.

* Możemy to nazwać serią przypadkowych zdarzeń, które do niczego nie prowadzą.

* Pan mógłby! Ja nie! * odpowiedział wyzywająco mały pułkownik. * Odpowiadam za życie ośmiuset ludzi. Nie stąd mnie na hecę z nieprzewidzianymi zdarzeniami. Pan i wszyscy ludzie tutaj musicie to zrozumieć! To są moi ludzie, jestem dla nich lordem!

Przy innej okazji admirał, słysząc taką deklarację, wybuchnąłby śmiechem. Ale obecnie ten mały, irytujący pułkownik przedstawiał zbyt duże niebezpieczeństwo. Nie był specjalnie przywiązany do kasty zawodowych oficerów. Mógł spokojnie pójść i opowiedzieć o swoich obawach jakiemuś przekłętemu reporterowi z „Daily Mirror” i wtedy rozpętałoby się piekło.

* Rozumiem, AD, ale czego się po mnie spodziewasz? Operacja zaczyna się we wtorek w nocy. Jest w nią zaangażowanych zbyt wielu ludzi i sprzętu. Już za późno, aby wprowadzać drastyczne zmiany.

* Tego to ja nie wiem, admirał * upierał się oficer. * Martwię się tylko o moich chłopaków.

Weźmy jednak pod uwagę, że przekłete szkopy maszerują codziennie do Berneval. Przynajmniej tak twierdzi wywiad. I są oni jedynymi, którzy mogą wesprzeć baterię, gdy moi chłopcy rozpoczną atak.

Mountbatten już otwierał usta, by zaprotestować, ale lord był szybszy.

* Proszę dać mi chwilę, admirał, i pozwólcie skończyć, dobrze? Co stanie się z moimi chłopcami, gdy początkowy ostrzał ostrzeże szkopów, że coś się dzieje? Powiem panu!

Skierował palec w stronę eleganckiego, kwa* , dratowego podbródka potomka księcia.

* Szkopy złapią moich chłopców za gacie, gdy będą wisieli przy klifie na linach, wprost pod baterią! I stawiam ostatniego pensa, że zrzucą nam na głowy kupę gówna. Dlatego proszę pana, admirał, w imieniu moim i moich chłopców, aby zaopiekował się pan tymi esesmanami, nim moi chłopcy nie dobiorą się do baterii. Wtedy na pewno wykorzystamy naszą szansę.

Mózg Mountbattena pracował i reagował z taką szybkością jak przed wojną, w czasie gry w polo.

* Dobrze, AD * rzucił krótko, biorąc do ręki czerwoną słuchawkę szyfrowanego telefonu. * Zajmę się tymi esesmanami. Ty martw się tylko o tę cholerną baterię. A teraz musisz mi wybaczyć, AD, mam jeszcze wiele pracy przed wtorkowym porankiem.

DZIESIĘD

* Cisza w tym burdelu! * ryknął starszy sierżant Metzger, wznosząc swój głos na szczyty możliwości.

Wśród podoficerów Pierwszego Batalionu Szturmowego SS Wotan zapadła cisza. Rzeźnik powoli lustrował świoskimi oczkami zgromadzonych mężczyzn, na twarzach których malowało się wyczekiwanie. Ich łapy przewidująco trzymały kufle z piwem. Zadowolony ze stanu podwładnych Metzger podniósł ceremonialnie wolno szkło, aż osiągnęło opisany w regulaminie poziom trzeciego guzika kurtki mundurowej.

* Koledzy z korpusu podoficerów * powiedział urzędowo. * Jest dla mnie wielką przyjemnością powitać was na Kameradschaftsabend. * W górę kufle! Wiem, że to tylko szczynty francuskich komarów. Ale to może być zimna noc, prost!

Stu pięćdziesięciu podoficerów podniosło rytualnie kufle, rozlewając piwo dookoła. Jak automaty wyżłopały spienione francuskie piwo.

Potem, zgodnie z ceremoniałem wojskowym, stuknęli kufkami o drewniane stoły i przeciągnęli nimi głośno trzy razy po blatach.

Rzeźnik otarł usta grzbietem włochatej dłoni. Na jego twarzy pojawiły się pierwsze krople potu spowodowane sierpniowym słońcem. Potem spojrzął na Schulzego.

* Sierżancie Schulze * szczerknął z lekkim uśmiechem na twarzy. * Samego siebie nazywacie batalionowym komikiem. Opowiedzcie nam jakiś kawał.

* Zrób to soczyście, Schulzi * czknął sierżant Gross, który miał zwyczaj przeżuwać ostrze brzytwy gdy był

pijany. * Zawsze mi sztywnieje, gdy słyszę ostre dowcipy.

Schulze z błyszczącą i zagniewaną twarzą zatoczył się niezgrabnie, wstając z krzesła. Wyciągnął przed siebie obandażowaną dłoń.

* Dlaczego na niej nie usiądziesz, Gross? * warknął. * Zrób sam sobie dobrze. Żart, panie sierżancie?

Może o dwóch zakonnicach, które razem dwiczyły w łóżku śpiewanie hymnów?

* Co? * spytał tępo Rzeźnik.

* Gównu * sapnął Matz siedzący obok Schulzego. * Ten tępak jest tak głupi, że nie potrafi nawet jeść zupy łyżką.

* A może opowiedz o chirurgu plastycznym, który postanowił się powiesić? * zaproponował Schulze.

* Ty to gównu nazywasz dowcipem? * warknął Rzeźnik. * Daj nam coś, co nas naprawdę zmusi do śmiechu. Nie chcemy takich przasnych dowcipów, ty wieprzu! Chcemy posikad się w portki z radości!

Schulze spojrzał desperacko w sufit, jakby błagał Boga, by wyrwał go z tego stada durniów.

* Dobrze, panie starszy sierżancie * powiedział ostrożnie, zabierając się do opowiedzenia dowcipu, który trzymał na tę okazję niemal od trzech lat. * Czy słyszeliście, co powiedział żołnierz swojej narzeczonej po powrocie z półrocznych manewrów?

* Nie! * zawołał zawzięcie Rzeźnik.

W tym samym czasie francuska kelnerka kooczyła ponowne napełnianie kufli.

* Popatrz sobie, kochanie, trochę na podłogę, bo przez najbliższe czterdzieści osiem godzin będziesz oglądał tylko sufit!

Cała sala eksplodowała śmiechem, a Schulze przyglądał się spoconym i zaczerwienionym twarzom towarzyszy z nieukrywany niesmakiem.

* To właśnie nazywam dobrym kawałem, Schulze * wydusił z siebie Rzeźnik, ocierając łzy z twarzy.

Zaraz potem chwycił kufel.

* W porządku, koledzy, wypijmy to piwo, nim się przeziębimy. Kameraden * prosił

Schulze spojrzał przez okno na zalany promieniami słońca skwer i syknął znad piwa.

* Matzi, nie wlewaj w siebie zbyt dużo tych papuzich szczyn. Pamiętaj, że czekają nas dzisiaj ciekawsze rzeczy.

Chwilę później uśmiechnął się na wspomnienie nadchodzącej zemsty na starszym sierżancie, gównianym Metzgerze, i puścił oko do przyjaciela.

To samo oślepiające słońce, które we wtorkowe popołudnie 18 sierpnia 1942 roku oświetlało baraki Batalionu Wotan, wypalało również drogi południowej Anglii, zamieniając poruszające się po nich w długich kolumnach ciężarówki w duszne pudła. Pojazdy toczyły się obok wiekowego, przysadzistego anglosaskiego kościoła, dudniąc kołami po starym bruku wąskich uliczek, i kierowały się w stronę zielonej tafli wód kanału La Manche.

Brudne dzieciaki w podartych koszulkach, mieszające na poboczu drogi siarkę zdrapaną z zapalek z lepka od upału smołą, machały przejeżdżającym. Ich wyniszczone matki, dawno temu opuszczone przez mężów, z włosami upiętymi na metalowych wałkach, patrzyły na to wszystko apatycznie. Widziały zbyt wielu mężczyzn, którzy w tych czarnych latach jechali do portu, by nigdy już nie powrócili.

Teraz mały port na południowym wybrzeżu wypełnił się maszerującymi Kanadyjczykami, którzy pozostawili samochody na wzgórzach otaczających nabrzeże i zmierzali do łodzi. Essex Scottish Regiment... Fusiliers Mont* Royal... Royal

Hamilton Light Infantry... Queen's Own Cameron Highlanders of Canada.

Pięć tysięcy ludzi maszerowało po cichych ulicach, mury wzdłuż nich pobazgrane były blaknącymi napisami: „Drugi front już teraz”. Echo podkutych butów uderzających o kamienny bruk było jedyną oznaką życia.

Nikt im nie machał na pożegnanie. Nikt nie wznosił okrzyków. I było oczywiste, że nikt tego nie zrobi później. Z pięciu tysięcy ludzi, którzy ze spoconymi twarzami szli po nierównym bruku, machając ochoczo rękami, tylko dwa tysiące zobaczy ponownie Anglię.

* Meine Herren * powiedział Sęp. * Wiem, że jest gorąco, ale muszę prosić o waszą uwagę.

Spojrzał na oficerów swego batalionu z ledwo skrywanym znudzeniem. Jego ludzie, ubrani w czarne spodnie i białe, letnie kurtki mundurowe, wpatrywali się w opaloną twarz dowódcy.

* Za chwilę przejdziemy do kasyna podoficerskiego, aby przeżył jeden z narodowosocjali* stycznych wieczorów, które Reichsheini i jego małomiasteczkowi burżuje w swojej bezsilnej impotencji wymusili na nas.

Sęp spojrzał wyzywająco na oficerów, aby sprawdzili, czy jacyś narodowosocjalistyczni fanatycy okażą niezadowolenie, że obrażono ich

Najwyższego Wodza. Ale oni bali się go bardziej, niż szanowali Himmlera, pozostali więc cicho.

Von Dodenburg uśmiechnął się pod nosem. Sęp wytępił partyjnych wichrzycieli w batalionie. Jeszcze dwanaście miesięcy temu sam odebrałby takie uwagi jako osobistą obrazę. Ale to było jeszcze przed Rosją.

* Nie znam waszej odporności na wodę ognistą. Wszystko, co wiem, to tyle, że dżentelmeni z korpusu podoficerskiego SS bez wątplenia upiją się bezsensownie w swoim zwyczajowym świoskim stylu. Moi oficerowie nie pójdą w ich ślady, chodby nie wiem jak byli naciskani przez te żłopiące świnię.

Machnął szybko szpicrutą w kierunku, z którego płynęły słowa piosenki: „Och du schöner Westenuald”

wykonywanej przez chór pijackich głosów.

* Możecie wlać w siebie maksimum trzy sznapsy, w przypadku młodych poruczników wystarczy

powąchanie fartucha kelnerki. I to wszystko. Tommies mogą wylądować w każdej chwili. A ja nie chcę, aby odstrzelono wam czaszki tylko dlatego, że wasze pijane łby nie będą reagować odpowiednio szybko!

Roześmiał się szorstko i wskazał na swój Krzyż Rycerski.

* Po wszystkim potrzebuję was żywych, dzięki czemu będę mógł uleczyć ból gardła kilkoma diamentami.

Kilku starszych oficerów roześmiało się, ale niewielu. Sęp był teraz śmiertelnie poważny. Mógłby ich poświęcić bez mrugnięcia okiem, gdyby dało mu to wymarzone diamenty do Krzyża Rycerskiego.

Kuno von Dodenburg kroczył obok dowódcy, a oślepiające słońce cięło promieniami jak ostrym nożem, zmuszając do przymknięcia powiek.

* Fiu... * westchnął, wycierając pot z czoła. * Czy sądzi pan, że zaatakują w taki sposób?

* Mogą ochłodzić się w morzu, gdy ich tam z powrotem wepchniemy * powiedział spokojnie Sęp, jakby temperatura nie miała na niego wpływu. Pochylił szpicrutę w stronę spokojnego jak rozlany olej morza, które delikatnie falowało pod nimi.

* Idealne do operacji desantowych. Wszyscy wiemy, majorze, co może się w tej chwili dziać za linią horyzontu.

Zaśmiał się szataosko i pozwolił, aby podwładny otworzył drzwi do kasyna podoficerów.

Była 6.10 po południu. Z czołowego okrętu Trzynastej Flotyli Trałowców z cichym pluskiem zsunęła się do spokojnego morza boja sygnałowa oznaczona na szczycie zieloną flagą. Pierwszy znacznik na niemieckim polu minowym, które zagradzało drogę flocie inwazyjnej, został postawiony. Małe trałowce, ustawione

ciasno w literę V, zaczęły oczyszczać wody kanału La Manche.

Za nimi, w portach południowego wybrzeża zakrytych grubą zasłoną dymu, statki transportowe, udające do tej pory statki handlowe, zaczęły zrzucać kamuflaż. Żołnierze wchodzili po trapach, ustawiani i numerowani jak paczki na pocztę. W kambuzach spoceni kucharze, ubrani tylko w podkoszulki, zaczęli przygotowywać ostatnią kolację w życiu wielu żołnierzy z oddziałów desantowych.

* Diabelnie gorące piekło * zaklął lord Aber* nokie i Dearth i popatrzył na tłuste dno blaszanej menażki.

* Gówniany olej sojowy i kowbojska fasola. Zaufaj marynarce, a możesz być pewien, że te brązowe bobki rozerwą ci flaki i dupę, nim dotrzemy na drugą stronę kanału!

* No nie wiem, sir * powiedział z niezmaconym spokojem Freddy Rory* Brick, wybierając łyżką z miski resztę ziaren fasoli. * To jest całkiem niezłe.

Gdy oficerowie prowadzeni przez Sępa weszli do kasyna, wszyscy podoficerowie poderwali się na nogi.

Szulze szepnął coś do pulchnej, cycatej kelnerki Marie, z którą sypiał od kilku nocy.

* Chodź tutaj, mój Soczku.

* Dlaczego nazywasz ją Soczkiem? * dopytywał się Matz.

* Gdybyś wsadził swoje brudne łapy tam, skąd ja swoje wyjąłem parę chwil temu, to byś wiedział, dlaczego * wyjaśnił mu przyjaciel.

* Brudna świnia * powiedział z niesmakiem Matz, a Marie zachichotała z zadowolenia.

Szulze musiał się spieszyć, jeśli chciał, aby jego plany przyniosły sukces. Podał kelnerce małą fiołkę, którą otrzymał dzieło wcześniej od sanitariuszy.

Soczek znowu zachichotała, gdy wzięła do ręki buteleczkę z czerwonym płynem.

* Będzie bum* bum? * spytała ze śmiechem i zatrzepotała powiekami.

* Wielkie bum* bum * powiedział tajemniczo Schulze. * To powinno być jak Wezuwiusz.

Kelnerka odeszła, wciąż się śmiejąc, a Matz patrzył zdezorientowany na Schulzego.

* Co to wszystko znaczy, Schulzi? * spytał, kiedy ponownie usiedli na krzesłach, tym razem w towarzystwie oficerów.

Przyjaciel zakaszał, nie starając się ukryć radości.

* To skondensowany brązowy materiał wybuchowy dla Rzeźnika * oznajmił.

Matz otworzył usta ze zdziwienia. Jak każdy w batalionie, obawiał się potężnego środka

przeczyszczającego, który był ulubionym środkiem leczniczym nieludzkiego doktora Hacken* schmitta, nowego lekarza batalionu.

* Cholera, Schulze, jedna kropla tego święstwa zamieni jego tyłek w miotacz płomieni!

* Dokładnie tak, mój podkulawiony kolego

* odparł spokojnie sierżant, podnosząc szkło i machając w pozornie przyjacielskim geście w stronę Rzeźnika, którego łapska obejmowały kufel z piwem zaprawionym demonicznym lekarstwem. Olbrzymi sierżant przestał zwracać uwagę na rozmowy prowadzone przez Sępa i zajął się pić.

Schulze szturchnął kompana w żebra, aż ten zachłysnął się piwem i wypluł jego haust na stół.

* Co ty, kurwa, robisz?! * wysapał. * Chcesz mi żebra połamać?

, * Wypił to * wyszeptał szybko Schulze.

* Rzeźnik to wypił. Za chwilę będziemy mieli popis ogni bengalskich!

* Ale co nam to pomoże? * dopytywał się Matz. * Po co dałeś mu brązowy materiał wybuchowy?

* Bo chcemy ulotnić się stąd bez kłopotów.

* Żeby się w spokoju wysikać? * spytał zawiedziony Matz.

* Są rzeczy dużo ważniejsze, kapralu Matz

* oświadczył dumnie Schulze.

* Powiedz mi przynajmniej o jednej!

* C* I* P* Y * przeliterował powoli sierżant. Ponure spojrzenie Matza natychmiast znik*

nęło.

* O tak. To jest zupełnie coś innego * zgodził się chętnie. * Nie zdawałem sobie sprawy, że mówimy o religii. Ale gdzie?

* Cafe de la Belle Alliance.

* Rosi* Rosi, Schulze. Ale ona jest własnością Rzeźnika. Jeśli tam dotrzemy, a on nas potem dopadnie w jej sypialni, to wytnie ci jaja brzytwą. I to bez znieczulenia.

* Mój biedny, prosty żołnierzu * powiedział żałośnie Schulze. * Marynarzy dzisiaj nie ma, bo są na dwiczeniach. Nasza banda będzie sikad tutaj, a starszy sierżant Metzger, na skutek nieszczęśliwego przypadku, nie opuści sracza przez całą dzisiejszą noc. Jakie wnioski wyciągasz, Matzi?

* Że ty wsuniesz swoje mięso w Rosi* Rosi, a ja dopadnę jedną z jej panienek * Matz zatarł dłonie z zachwytem. * Mogę stracić kondycję nawet z paroma z nich.

* Chodź, Matz, musimy się wymknąć. Ostrożnie odsunęli krzesła od stołu i zaczęli

pozornie przypadkowo przesuwad się w stronę drzwi.

* Hej, a wy dokąd?

To major von Dodenburg zagroził im drogę z ledwo nadpitym kuflem piwa w rękę.

* To Matz, panie majorze * Schulze natychmiast próbował wykorzystać nadarzącą się okazję. *

Dostał

chyba migreny. Myślę, że to z powodu towarzystwa. Wie pan, te krzyki i wulgarne rozmowy.

Matz spojrział na towarzysza wyraźnie zaniepokojony.

* Zabiorę tego kolesia do bunkra i posadzę w fotelu z poematami Goethego i ciekawą herbatką.

Oficer roześmiał się i opuścił kącik prawego oka.

* Możecie rzucić okiem na naszych żółtodziobów, Schulze. Teraz, gdy was dwóch mianowałem. ..

Przerwał gwałtownie, bo podmuch powietrza uderzył w blat najbliższego stołu, przewracając szklane kufle. Zaskoczonemu Sępowi wyskoczył monokl z oka. Z dużą trudnością utrzymał równowagę i nie przewrócił się na plecy. Siedzący obok niego sierżant Gross złapał się kurczowo za gardło i zaczął

krzyczeć.

* Alarm gazowy! * wrzeszczał, krztusząc się własnym kaszlem. * Alarm gazowy!

Rzeźnik powstał z miejsca, jego twarz była chorobliwie zielona, a ręce obejmowały niebezpiecznie bulgoczący brzuch.

* Lepiej już pójdziemy * powiedział pośpiesznie Schulze. * Radzę panu nie przebywać tutaj za długo, jest tu zbyt wiele paskudnych typów.

I

Von Dodenburg patrzył, jak dwóch jego ludzi dreptało w stronę Dieppe, a ich ciała podskakiwały w niekontrolowany sposób. Wzdrygnął się, po czym wyrzucił z myśli te postaci. Szedł powoli ścieżką, a szary morski żwir chrząścił mu pod nogami, gdy kierował się w stronę placu musztry Pierwszej Kompanii.

Zapadała noc i ciemne cienie kładły się na ziemi. Zaraz w barakach trzeba będzie zarządzie zaciemnienie.

Wyrzucił koocówkę taniego holenderskiego papierosa, którego otrzymał od jednego z podoficerów, i przycisnął go obcasem buta. Popatrzył na młode, spokojne i rozluźnione twarze swoich ludzi * ich policzki tchnęły zdrowiem, pomachał im uspokajająco. Niespodziewanie poczuł ciepły przypływ dumy.

Pijackie krzyki, ryki, wulgarne przyśpiewki dochodzące z kantyny podoficerów, odeszły w niepamięć. Tu nie było żadnego brudu, korupcji, tak przynajmniej wmawiał sobie major. Tu było tylko bezgraniczne umiłowanie dla Narodu, Ojczyzny i Fuhrera. Tu były nowe Niemcy, nieob*ciążone zdradzieckimi kompromisami przeszłości, młodzi ludzie, którzy będą kiedyś rządzą Rzeszą, gdy wojna zostanie wygrana.

Rozgrzany tymi myślami major Kuno von Dodenburg ziewnął szeroko, zrobił zwrot na pięcie i ruszył w kierunku swojej kwatery. Nagle poczuł się zmęczony. Za szybko jak na tak wczesną porę nocy. Ale jutro jest następny dzień.

Przeptywali przez pole minowe. Księżyc tkwił w pierwszej kwadrze, a powierzchnia morza była gładka jak szklana tafla. Słaby szelest wiatru i niewielkich fal wywołanych ruchem

dziobów przepływających okrętów mieszały się z krótkimi komendami. Wszystko przebiegało gładko.

Czud było napięcie. Dowódca Siódmego Komanda miał wrażenie, jakby to był pierwszy rajd i pierwszy raz, gdy przedzierają się w kierunku niespodziewających się niczego, wysuniętych placówek niemieckich.

Wziął kolejny łyżeczek whisky z płaskiej, srebrnej buteleczki, po czym podał ją Freddy'emu.

* Co o tym sądzisz? * spytał miękko, jakby niewidzialni niemieccy żołnierze stali na brzegu kanału i nasłuchiwali ich słów.

* Normalka, sir. Nie powinno być niespodzianek.

* Chłopcy w porządku?

* Tego nie wiem * powiedział swobodnie Freddy. * Zostawiłem to demokratycznej kadrze naszych podoficerów.

* Olad to ciepłym moczem * powiedział poważnie pułkownik. * Dawaj z powrotem tę flaszkę, ty żarłoku!

Przez chwilę dwóch oficerów milczało, a flota dwustu pięćdziesięciu niewielkich statków formowała się w niewielkie grupy, przygotowując się do finałowego etapu wyprawy na francuskie wybrzeże. Freddy Rory* Brick z nudów pożyczył od dowódcy lornetkę i dla zabicia czasu zaczął liczyć grupki statków.

* Pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście...

Wtedy się zatrzymał.

* Co się dzieje, Freddy? * spytał zaniepokojony pułkownik, koocząc ostatni łyk alkoholu.

Major się wahał.

* No, co jest? Sikasz czy wyrzucasz nocnik?

* Te grupy, sir... * powiedział zmartwiony Freddy.

* No, co z nimi?

* No właśnie... * oficer nadal nie był zdecydowany, co powiedzied.

* Och, daj spokój, Freddy. Porzud chociaż na chwilę maniery wyższej klasy. Przynajmniej gdy będziemy w tej cholernej Francji, masz tak zrobid.

* Chodzi o liczbę grup * powiedział i zlizął morską sól z wyschniętych ust. * Jest ich trzynaście.

JEDENAŚCIE

* Sikad żwirem! * zawołał rozanielony Schul* ze, wciskając twarde sutki pokaźnych piersi Rosi* Rosi we własne ucho. * Boże, jestem głuchy. Nic nie słyszę!

To była ostatnia rzecz, jaką powiedział, nim opuściła go świadomość i padł wyczerpany nadmiarem seksu i wypitego koniaku, którymi panienska raczyła go przez całą noc. Rosi* Rosi zepchnęła chrapiącego klienta z zagłębienia między swoimi piersiami. Z zadziwiającą zręcznością wyslizgnęła się z podwójnego łóża i szybko otworzyła drzwi sypialni.

W kafeterii panowała cisza. To była spokojna noc i większość dziewcząt opuściła salon, skarżąc się na brak klientów. W zasadzie nie było słychad nic poza chrapaniem niemieckiego sierżanta i skrzypieniem łóżka piętro wyżej, gdzie jednonogi kompan śpiącego Schulzego nadal obrabiał Claude i Gi* Gi.

* Jo* Jo * zawołała delikatnie szefowa interesu. * Spisz?

Jej drobniutka kochanka wyłoniła się zza baru obitego ocynkowaną blachą.

* Czy ta szwabska świnia śpi? * wyszeptła. Rosi* Rosi potaknęła głową.

* Jezu! Chrapie, jakby piłował drzewo w lesie.

Jo* Jo ziewnęła i wspomogła się łykiem per* nodu z opróżnionej do połowy butelki.

* Boże, za chwilę pojawi się Anglik. Właścicielka przybytku szybko zarzuciła

szlafrok. Jo* Jo uśmiechnęła się zaspana, gdy jej przyjaciółka obwiązywała się jedwabnym paskiem.

* Po co to robisz, myślisz, że Anglik nigdy nie widział dżungli między nogami?

* Salaud * zakłęta spokojnie i wzruszyła ramionami, a jej wielkie piersi zafalowały jak świeży pudding. * Z

Anglikami nigdy nic nie wiadomo. Wielu z nich jest prawiczkami.

Podeszła dostojnie do baru i nalała sobie szklanekę piwa. Wypiła jednym długim łykiem i czknęła z ukontentowania.

* Jak myślisz, czego on chce od nas dzisiejszej nocy, Jo* Jo?

Kochanka wzruszyła suchotniczymi ramionami.

* A kto to wie? On trzyma wszystko w sobie. Oni wszyscy tacy są * stwierdziła i pociągnęła zamyślona kolejny łyk pernodu. * Ty wiesz, Rosi* Rosi, że gdybym miała wybierać między Anglikiem i szkopem, to wolałabym tego drugiego.

* Dlaczego?

* Bo wydają więcej pieniędzy. Milordowie bardzo oszczędnie wydawali przed wojną pieniądze w Dieppe

* wyjaśniała, spoglądając na dorodne ciało przyjaciółki. * A Niemcy są bardzo hojni.

Rosi* Rosi położyła dłoń na wzgórku Wenery.

* Jeśli wszyscy są tacy jak ten buhaj na górze, to natura wyposażyła ich hojnie nie tylko w pieniądze.

Jo* Jo już otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć, ale została powstrzymana ruchem pulchnej dłoni ozdobionej sporą liczbą pierścionków.

* Rower * syknęła burdelmama. * To on.

Nasłuchiwały w napięciu metalicznych zgrzytów, jakie wydawał źle naoliwiony rower. Kilka sekund później rozległo się ciche pukanie do drzwi.

* Otwieraj, Jo* Jo, szybko! * rozkazała Rosi* * Rosi i zgasiła światło za barem.

Kobieta zaczęła, aż mężczyzna przejdzie przez drzwi i zamknie je za sobą, nim ponownie zapaliła światło.

* Widzę * powiedział Anglik, wbijając spojrzenie niebieskich oczu w ciemnoróżowe sutki.

* Jakies komentarze? * spytała Rosi* Rosi, nie wiedząc o co chodzi mężczyźnie.

Oficer wywiadu brytyjskiego, wysoki, szczupły kapitan z szybkim spojrzeniem i stałym nerwowym tikiem prawego policzka, odpowiedział doskonałą francuszczyzną.

* Nie, tylko coś się pani wyślizgnęło, madame.

* To samo przez całą noc mówiła na górze ta niemiecka świnia * powiedziała z przekąsem Rosi* Rosi.

* Co? * spytał oficer wywiadu, patrząc na nią zaciekawiony.

* Nic. Ale dlaczego chciałeś nas zobaczyć w środku nocy?

Na chwilę Anglik przewyciężył dręczącą go nerwowość, która była rezultatem sześciu miesięcy życia w ukryciu w matni uliczek Dieppe.

* Nadchodzimy * oznajmił z dumą.

* Kto nadchodzi? * spytała Jo* Jo.

* My, Brytyjczycy! Przystępujemy rano do wielkiego desantu! Tutaj i w okolicy. Zobaczycie! * powiedział

z nieukrywaną radością. * To będzie coś, o czym będziecie opowiadać wnukom.

Rosi* Rosi wykonała obsceniczny gest wyprostowanym środkowym palcem, który był ewidentnym świadectwem tego, co sądziła o tej całej historii, i zawołała:

* Tutaj?! Powiedziałaś, tutaj?

* Ciiicho... * syknął oficer. * Tak. Gdy zdobędziemy obie baterie, wejdziemy wielką siłą do Dieppe.

Opanujemy promenadę i ruszymy prosto na marszałka Focha i Verdun. Znajdziecie się w samym środku bitwy, moje panie, jeśli tu zostanieie.

* Jeśli zostaniemy, sale con! * zawołała z furią Rosi* Rosi. * A jak myślisz, dokąd mamy pójść?

Nie mam zamiaru poświęcać mojego dobytku, mojej pięknej kafeterii z powodu tej cholernej wojny.

Łzy żalu i wściekłości popłynęły z jej przekrwionych oczu.

* Dlaczego nam tego nie powiedziałaś, gdy wciągałeś nas w tę twoją głupią szpiegowską zabawę?

Brytyjczyk spojrział na nią z niedowierzaniem.

* Ależ to jest dla dobra twojego kraju, mada* me * zaprotestował. * Przychodzimy wyzwolić was z niemieckiego jarzma.

, * Wsadź sobie to wyzwolenie w swoją chudą dupę * powiedziała, łkając.

* Naprawdę musicie stąd iść. Przyszedłem specjalnie, aby was ostrzec. Mam jeszcze wiele zadań do wykonania, nim skończy się noc * powiedział oficer i próbował pocieszająco położyć dłoń na gołym ramieniu prostytutki.

Kobieta z gniewem zrzuciła jego rękę.

* Zabieraj te łapy! * wrzasnęła. * Kto powiedział, że możesz mnie dotykać? Zrujnowałeś mnie. Miałam najlepszy burdel w Dieppe!

* Cicho! * syknęła pospiesznie Jo* Jo. * Obudzisz szkopa.

Ale szkop już nie spał. Stał całkowicie nagi na szczycie schodów, a jego zwykle wesoła twarz skamieniała w niedowierzaniu.

Szulze słabo znał francuski, ale to, co zobaczył, pozwoliło mu znakomicie pojąć całą sytuację. Wiedział, że jest świadkiem narady członków ruchu oporu. Ruszył ku nim jak byk. Przyczyna jego przebudzenia stała się nieważna, gdy zobaczył w ich oczach strach. Sierżant Schulze nie miał do tej pory do czynienia ze szpiegami, ale wiedział, że coś powinien zrobić.

Brytyjczyk szybko pozbił myśli i sięgnął ręką pod połą sfatygowanej marynarki. Ale Schulze był o ułamek sekundy szybszy. Z gniewnym rykiem wykonał tygrysi skok. Z Brytyjczyka dobył się tylko zduszony krzyk, gdy spadło na niego wielkie cielsko. Facet ze* sztywniał, a głowa odchyliła mu się pod dziwnym kątem. Miał przetrącony kark.

Jo* Jo ruszyła z nożem mocno przyciśniętym do boku. Sierżant skoczył za stół. Jo* Jo pchnęła, zaś Schulze walnął prawym sierpowym. Jego wielka biała pięść dotarła do celu. Dziewczyna tylko jęknęła, a Niemiec przyszpilił ją do stołu.

* Puszczaj, puszczaj! Połamiesz mi nadgarstki!

Jej krzyki pobudziły do życia zahipnotyzowaną do tej pory Rosi* Rosi. Z wojennym okrzykiem skoczyła na plecy Schulzego, zacisnęła pulchne dłonie na jego karku, a pięty wbiła mu w żebra, jakby ujeżdżała konia.

* Złaż ze mnie! * ryknął niewyraźnie sierżant, a Jo* Jo uwolniła rękę i ponownie pchnęła nożem.

Poczuł, jak ostrze ześlizguje mu się po żebrach. Rozpaczliwie wykręcił się, próbując zrzucić masywną Rosi* Rosi z pleców. Ale ta uczepiła

się go jak rzep psiego ogona. Jo* Jo wciągnęła głęboko powietrze, a w jej oczach zapaliło się szaleostwo.

Schulze poczuł nadchodzącą śmierd. Szaleoczo próbował oderwad obandażowanymi dłoomi wbite w gardło palce Rosi* Rosi.

* Co za hece wyprawiacie?! * doleciał z góry zaciekawiony głos Matza.

Schulze rzucił dzikie spojrzenie w stronę szczytu schodów. Na górze jego kumpel obści* skiwał ponętne ciała stojące po jego obu bokach, a on tu walczył o życie. Aż się uśmiechnął z desperacji.

, * Rusz się, kupo gówna! * wysapał gorączkowo sierżant. * Próbują mnie zabić!

* Oj niegrzeczni wy, niegrzeczni * powiedział Matz, pochylając się, jakby nie zależało mu na czasie.

Odepchnął od siebie dziewczyny. Odpiął drewnianą protezę, zakręcił nią nad głową jak lassem i posłał w kierunku walczących. Groźny pocisk ze świstem przeciął powietrze i trafił z głuchym młaśnięciem w twarz Jo* Jo. Dziewczyna opadła na ladę barową. Krew z rozbitego nosa trysnęła szerokim strumieniem na ścianę.

Zeskakując po schodach jak nagi kangur, kaleka dopadł Rosi* Rosi. Próbowała wolną nogą kopnąć w krocze nowego przeciwnika, ale chybiła.

* Oj niegrzeczna, niegrzeczna * powiedział ponownie Matz.

Nie wahał się ani chwili. Obrócił ją jak worek ziemniaków i podniósł do góry. Kobieta straciła równowagę. Z rozpaczliwym wołaniem o pomoc padła na podłogę i poleciała w stronę nieprzytomnej przyjaciółki po otrzymaniu potężnego kopniaka.

* Dlaczego ciągle wołasz mnie do rozrób, Schulze? * spytał Matz, opierając się o stół. * Nie można cię zostawić nawet na minutę, bo zaraz rozpoczynasz orgię albo coś podobnego!

Potem roześmiał się serdecznie.

* Odczep się * Schulze nie był w nastroju do żartów. * Te francuskie dziwki są szpiegami, czy coś w tym rodzaju.

Uśmiech zniknął z twarzy Matza.

* Co to znaczy?

Schulze odwrócił się w stronę półprzytomnej Rosi* Rosi. Jej rozczochrane włosy zasłaniały twarz, a olbrzymie piersi zwisały bezwładnie na brzuchu.

* Wstawaj, ty francuska macioro, i mów, o co chodzi. Co tu się dzieje?!

* Wsadź sobie język w dupę i zrób sobie dobrze! * zawołała wojowniczo.

Schulze cofnął zaciśniętą pięść, aby wziąć zamach.

* Wybacz, panienko * wycedził, zgrzytając zębami. * Ale sama się o to prosiłaś!

Potem uderzył ją prosto w twarz.

Krzyknęła jak w agonii i wypluła przednie zęby. Dwie dziewczyny, z szarymi z przerażenia twarzami, stały na schodach i wrzeszczały przeraźliwie.

Cały gniew sierżanta zogniskował się na Rosi* Rosi.

* Nie zapytam już więcej * mów! Co tu jest grane?

Rosi* Rosi otworzyła pokaleczone usta i wypluła kolejny ząb.

* Salaud, putain * bluzgnęła na niego.

W tym samym momencie doleciał do nich od strony morza huk olbrzymiej eksplozji. Szklanki na półkach za barem podskoczyły i zaczęły spadać pod stopy bosych esesmanów.

* W imię diabelskiej trójcy, co to było?! * wrzasnął Matz, chwytając równowagę przy chybottliwym stole.

* Powiem ci! * zawołał Schulze, gdy krwistoczerwone światło przebiło się szczelinami przez zaciemnione okna. * To ci gówniani Angole. Już tu są!

* Wotan! * wysapał Matz. * Oni nas potrzebują!

* Mnie to mówisz? Te kocury z Pierwszej Kompanii będą bez nas bezradne jak dzieci w lesie.

* Ale co możemy zrobić, ja z jedną nogą, a ty z tymi kikutami, Schulze?

Już zapomnieli o pokonanych kobietach i zbierali się do wyjścia.

* Tu jest twoja proteza! * krzyknął Schulze. Szybko położył obandażowane dłonie na stole, podczas gdy Matz energicznie przymocowywał sztuczną nogę.

* Dobrze! Damy im nieźle do pieca!

Matz nie potrzebował zachęty. Odgłosy strzelaniny narastały, gdy kapral założył but na protezę i wskoczył na wyciągnięte ręce Schulzego.

* Na wielką ladacznicę Batszebę! * jęknął sierżant z wysiłku. * Ty zgniły lachociągu, co ty robisz?

Próbujesz połamać mi graby!

Jego gniew zniknął, kiedy zobaczył, że gipsowe opatrunki pękły i ukazały się jego wychudzone, blade

ramiona i dłonie. Jednym uderzeniem rąk o siebie zrzucił bandaż i gips na ziemię. Teraz mógł przyjrzed się swoim pomarszczonym, pokrytym bliznami dłoniom.

* Uch * westchnął z ulgą Matz. * Te kikuty wyglądają jak wyciągnięte z kostnicy.

Schulze chwycił pistolet palcami, które przypominały mu w tej chwili grube, zimne serdelki.

* Co chcesz zrobid? * spytała przestraszona Rosi* Rosi.

Oczy miała rozbiegane z przerażenia, a ręce przyciskała do wielkich cycków. Schulze wśród przekleostw rzucił pistolet na stół.

* Zawsze miałem miękkie serce * powiedział, walcząc z ubraniem. * Chodź tu, ty małe gównno.

Ostatnie słowa skierował do Matza, bo ostrzał artylerii narastał.

* Przebieraj szybciej tymi kulasami. Wotan znowu idzie na wojnę!

KSIEGA DRUGA

BATERIA

Wojna jest piekłem, ale czas pokoju na pewno cię zabije!

Sierżant Schulze do kaprała Matza, 18 sierpnia 1942 roku.

JEDEN

Już prawie świtało. Za morzem, na horyzoncie, migotały złowrogo światła czerwone jak płomienie z wielkich pieców hutniczych. Liczne jaskrawe rozbłyski rozpraszały szarość świtu. Powietrze drżało od detonacji pocisków. Gdzieś za kanałem bitwa morska, która postawiła w stan pogotowia Batalion Wotan, nabierała gwałtowności i zbierała pierwsze ofiary.

Ale sapiący, pokryci potem młodzi esesmani zupełnie nie zwracali uwagi na morze. Wytrzeszczone w wysiłku oczy każdego z nich wbite były w plecy i ramiona towarzysza idącego przodem. Sęp narzucił mordercze tempo. Znajdowali się teraz w odległości niecałego kilometra od baterii Goebbelsa, a dla małego oficera z koślawymi nogami było oczywiste, że jego ludzie muszą dotrzeć do dział, nim brytyjska artyleria położy barierę ogniową na drogę, po której maszerowali.

* Tempo, tempo! * krzyczał zachrypniętym głosem, poganiając szeregi żołnierzy.

Ciął szpicrutą po nogach maruderów, kopał rzeźących, poszarzałych podoficerów, z których jeszcze nie zdążyła wywietrzeć nocna popijawa.

* W imię diabelskiej trójcy! Ludzie, czy wy nigdy nie biegaliście?!

* Zdążymy na czas * wysapał major von Dodenburg, gdy Sęp odnalazł go na czele kolumny. * Damy radę!

* Oczywiście, że damy radę * szczechnął Sęp. * Nawet jeśli bym musiał każdego z was oddzielnie zmusić do biegu. „Maszeruj albo gij”, przecież to jest motto Wotana!

Przed nimi zaczęły rysować się ciemne sylwetki domów w Belleville. Von Dodenburg przywoływał w pamięci poprzednie obawy przed zasadzką i przycisnął mocniej do piersi pistolet maszynowy. Na szczęście wioska zdawała się pogrążona we śnie, wszystkie okna były zaciemnione i lekko lśniły w porannym półmroku.

* Nie bądź taki spięty, von Dodenburg * powiedział zirytowany Sęp. * Nie będzie żadnych kłopotów. Jak ci powiedziałem...

Przerwał nagle, bo doleciał do niego łatwo rozpoznawalny warkot samochodu napędzanego gazem drzewnym, który nadjeżdżał od strony wioski.

Sęp zareagował natychmiast.

* Szybciej, von Dodenburg! * zawołał. * Ty i dwóch sierżantów razem z karabinem maszynowym, za mną. Rusz się i pokaż, że masz jaja w gaciach!

Czterech ludzi pospieszyło natychmiast w stronę czoła kolumny. Przed nimi pokazały się dwa bliźniacze reflektory, z których sączyły się bladoniebieskie strumienie światła przytłumione osłonami przeciwlotniczymi w kształcie krzyży. Kierowca musiał ich też zauważyć, bo docisnął pedał gazu.

Sęp nie wahał się ani chwili.

* Zatrzymad go! * krzyknął, wskazując szpicrutą, swoją jedyną bronią * na podwójne krzyże reflektorów.

Prowadzący podoficer padł na kolana, jego ramiona się napięły. Drugi olbrzym, niosący ciężki MG* 42, rzucił broo w stronę towarzysza. Chwilę później nacisnął spust i biała smuga pocisków pomknęła wzdłuż drogi.

Pierwsza seria chybiła, przelatując obok samochodu jak gromada piłek golfowych.

* Traf go, ty rogaty ośle! * darł się Sęp z irytacją.

Podniósł szpicrutę i świsnął nią podoficera po plecach.

* Dobry Boże! Wytnę ci jaja tępą brzytwą!

Teraz podoficer wycelował starannie. Nacisnął spust. Karabin maszynowy zadrgał w jego rękach. Gorące łuski z brzękiem spadały na bruk drogi. Samochód podskoczył, rzuciło nim na bok i nagle się zatrzymał.

* Chodź, von Dodenburg * rozkazał pułkownik. * Wywalmy tego bękarta z naszej drogi.

* Nicht schiessen!... Nicht schiessen! * dobiegł głos z mętnej ciemności, wypowiadając słowa prawie doskonałą niemczyzną. * Jestem przyjacielem... przyjacielem..

Dwaj oficerowie SS ruszyli szybkim krokiem w kierunku postaci z odkrytą głową, która gramoliła się z samochodu. Z uszu mężczyzny leciała krew. Sęp zapalił niewielką latarkę przyczepioną do kieszeni munduru. W niebieskawym strumieniu światła mignął mu szary mundur.

* Milicja * wyszeptał von Dodenburg. (Francuska proniemiecka organizacja paramilitarna utworzona przez reżim Vichy 30 stycznia 1943 roku.)

* Tak, milicja * wykrztusił ranny mężczyzna, gdy stanął przed Niemcami. * Porucznik Gautier.

Von Dodenburg rzucił okiem na niemal żydowską twarz i pokręcił nosem, czując woo przetrawionego czosnku. Potem spytał:

* Co jest, człowieku, dlaczego nas tutaj zatrzymujesz?

* Zasadzka. Czekają na was na Rue Principale. Major spojrzał znacząco na dowódcę, ale mały pułkownik go zignorował.

* Kto na nas czeka? Anglicy?

* Nie, panie pułkowniku * odpowiedział oficer, wyprężając się, gdy zauważył szarżę rozmówcy. *

Moi rodacy. To ci zdrajcy, Maquis. Wtargnęli do wioski godzinę temu i zgarnęli moich ludzi w czasie snu. Ja miałem szczęście...

Sęp uciszył go machnięciem szpicruty. Za dowódcą stał cały Batalion Wotan. Ludzie rozglądali się nerwowo i w napięciu, śledząc cienie

po obu stronach drogi. Byli jednak zadowoleni z powodu niespodziewanej przerwy w morderczym marszobiegu.

* Nie mamy czasu na żadne manewry, Gau* tier. Musimy przejść przez Belleville i mamy na to tylko kilka minut.

Ciemna twarz milicjanta rozpalila się.

* Nie ma potrzeby wykonywania żadnych manewrów. Co ci gangsterzy od Maquis wiedzą

o taktyce? Zabarykadowali się w domach po obu stronach głównej drogi, jest ich jakieś dwie setki. Mają za to odsłonięte tyły. Nie ma nikogo na, równoległej drodze.

Lodowate, niebieskie oczy Sępa zabłyśły.

* Dobrze, w takim razie zrobimy tak. Kapitan Holzmann weźmie Czwartą Kompanię

i oskrzydli wioskę z lewej strony. Ja zamarkuję uderzenie wzdłuż drogi i ściągnę na siebie ogieo wroga.

Pan, majorze von Dodenburg, weźmie Pierwszą i Drugą Kompanię i ruszy drogą równoległą. Kiedy zajmiemy odpowiednie pozycje, zaatakuje pan ich od tyłu i zniszczy punkty oporu. Wtedy my

przejdziemy przez wioskę i szybko ruszymy ponownie w stronę baterii. Czy to jasne?

* Jasne, panie pułkowniku * rzucił krótko von Dodenburg.

* Jasne, panie pułkowniku * powtórzył jak echo śniadolicy oficer francuskiej milicji.

Von Dodenburg odniósł wrażenie, że cała sytuacja podoba się Francuzowi.

* Tędy, majorze * wyszeptał oficer milicji.

W wyglądzie tego faceta było coś, co drażniło majora, ale nie miał innego wyboru, jak iść za Francuzem.

Z dwiema kompaniami, pospiesznie rozwiniętymi w szyku bojowym, szedł za przewodnikiem

wprowadzającym ich w wąskie uliczki zabudowane ścieśnionymi, wiekowymi kamieniczkami, które cuchnęły starością i kooskim nawozem. Von Dodenburg szedł na czele. Postępujący za nim żołnierze walili podkutymi butami po bruku, czyniąc diabelski harmider. Major modlił się, aby Maquis byli

skoncentrowani na drodze głównej. Gdyby dopadli Wotana w tym terenie, byłaby to zwyczajna rzeź.

Francuski porucznik jakby odczytywał jego myśli. Gdy pierwsza sekcja zanurzyła się w cieniach domu, wyszeptał:

* Może będzie lepiej, jak pójde na czele, na wszelki wypadek.

* Ale... * zaczął von Dodenburg, ale Francuz już tego nie dosłyszał.

Przemykał zręcznie w dół ulicy na grubych, gumowych podszewkach. Oficer SS z gniewem odbezpieczył

zamek pistoletu maszynowego. Nathan Rosenblat, kapitan brytyjskiego wywiadu, były więzień obozu koncentracyjnego w Da* chau, dobrze wykonał swoją robotę i teraz zniknął w mroku.

Niemiec zawahał się. Co powinien zrobić? Przeszedł go zimny dreszcz, chociaż było całkiem ciepło. W

tym samym momencie na końcu ulicy otworzyła się jedna z okiennic i doleciał z niej szorstki, gniewny krzyk:

* En avant... mort aux boches!

Oddział wpadł w pułapkę. Gruby cień dwururki wychynał przez otwarte okno i plunął nie*

bieszkoczerwonym ogniem. Czołowy żołnierz z pierwszej drużyny wrzasnął przeraźliwie, gdy chmura śrutu trafiła go prosto w twarz.

* Ruszad się! * krzyknął desperacko von Dodenburg, gdy na sygnał wystrzału wszystkie okiennice gwałtownie się otworzyły, a w oknach pokazały się mordercze lufy karabinów i pistoletów. Zaraz potem rzygnęły ogniem. Ulica zamieniła się w krwawy chaos, a ludzie padali na bruk.

* Noszowy... noszowy... trafili mnie w brzuch... Koledzy, nic nie widzę... Oślepiłem!

Ze wszystkich stron dolatywały histeryczne okrzyki. Spoceni ludzie z krzykiem wychylali się z okien i prowadzili nieustający ostrzał w kierunku uwięzionych w pułapce esesmanów.

Wielki koo roboczy wyłamał się ze stajni. Z pyska leciała mu piana, ze stukotem podków przebiegł przez teren krwawej masakry. Wpadł na von Dodenburga stojącego pośrodku krwawej alei, który ledwie zwrócił uwagę na zwierzę. Major odwrócił się i strzelił z biodra. Seria pocisków trafiła w rzucającego granatem partyzanta i przecięła go na pół. Trafiony przechylił się przez okno i z głuchym młaśnięciem uderzył o bruk.

Przerażony krwawą łaźnią, jaką sprawiono jego ochotnikom z Hitlerjugend, von Doden* burg zareagował

w jedyny sensowny sposób.

* Pierwsza drużyna, druga i trzecia, włamał się do domów po lewej stronie! * wrzeszczał, próbując przekrzyczeć trzask wystrzałów broni małokalibrowej. * Drużyny czwarta, piąta i szósta * do domów po prawej. Szybko!

Oszalali ze strachu piechurzy zaczęli walić w drzwi kamienic butami i kolbami karabinów, podczas gdy część ich towarzyszy osłaniała ich ogniem broni maszynowej. Skrzydła pierwszych drzwi ustąpiły i spanikowani żołnierze wpadli do domu. Ci, którzy przetrwali masakrę, szukali osłony, przedzierając się przez ciała zabitych i rannych. Oślepiiony żołnierz szedł, potykając się o zwłoki zabitych. Wyciągał do przodu ręce, chcąc rozpoznać drogę. Płakał gorzko krwawymi łzami, które skały pywały z czarnych dziur będących kiedyś jego oczami. Kolejne drużyny kryły się w domach, by po chwili rozpoczął ostrzał

przeciwnika. Von Dodenburg rzucił się naprzód, nisko pochylony i strzelał jak szalowiec w obydwie strony uliczki. Partyzanci skoncentrowali na nim swój ogień. Niebieskie ogniki, krzesane przez ołowiane pociski uderzające w kamienie brukowe, błyskały wokół desperacko walczącego oficera. Wydawał się w tym momencie nieśmiertelny.

* Tutaj! * zawołał dziko.

* Gdzie?! * krzyknął niewidomy żołnierz, poznając znajomy głos.

* Do mnie!

Ranny podniósł wysoko głowę i bokiem zaczął się przemieszczać przez skłębione ciała zabitych w kierunku dowódcy. Jeden z Francuzów wysokim łukiem rzucił przez okno granat. Upadł pod nogami oślepionego chłopaka.

* Uwaga! * ryknął von Dodenburg.

Ale żołnierz wydawał się nie słyszeć. Zrobił krok w kierunku leżącego granatu, którego wybuch rozerwał

go na kawałki. Głowa w hełmie, jak potworna piłka futbolowa, potoczyła się pomiędzy leżącymi zwłokami, wprost pod nogi majora.

Wstrząśnięty oficer wycofał się w kierunku najbliższych drzwi, gdzie chwyciły go silne ręce i wciągnęły do środka. Spojrzenia zgromadzonych wewnątrz żołnierzy skierowały się na niego. Major czuł, jak straszne spojrzenie pustych oczodołów rozerwanego żołnierza podąża za nim i oskarża go oraz potępia za to, że wciągnął tych młodych, niedoświadczonych chłopaków w pułapkę w Belleville.

DWA

Nadal panowała cisza, gdy łodzie typu Eureka formowały szyk za kanonierkami o zawadiacko pochylonych kominach, które miały wspierać atak na baterię Goebbelsa. Dla lorda Abernockie i Dearth, który trzy dni wcześniej domagał się od lorda Louisa Mountbattena, aby zorganizował zasadzkę na Batalion Wotan, a który teraz wymiotował do worka na czołowej łodzi, wszystko wydawało się toczyć zgodnie z planem.

Płynące na czele kanonierki posuwały się ze stałą prędkością dziewięciu węzłów. Za nimi płynęły łodzie desantowe. A na skrzydłach szyku, ginąc w ciemności, znajdowały się dwa niszczyciele, które miały udzielić wsparcia artyleryjskiego w razie kłopotów.

Ale dla zielonego na twarzy lorda było oczywiste, że ta pomoc nie będzie potrzebna. Pomimo wcześniejszych obaw stawało się jasne, że szkopy się ich nie spodziewają. Poza nieuniknionym atakiem choroby morskiej i mokrym kilem cała przeprawa przebiegała bez zakłóceń.

Teraz perspektywa lądowania na wybrzeżu, bez względu na to, gdzie miało się owo lądowanie odbyć, była znacznie bardziej nęcąca niż falujące morze.

* Tam jest! Ona, Francja! * Freddy Rory* Brick podniósł ospale rękę i wskazał na ciemną smugę wybrzeża rozciągającą się przed nimi.

Lord podniósł worek z wymiocinami ponad drewnianą osłonę stanowiska dowodzenia łodzi i wylał jego zawartość na zewnątrz, wprost na pechowego sierżanta* łącznościowca, który przykucnął po drugiej stronie osłony. Lord popatrzył na ciemną ścianę wybrzeża Francji, cichą i groźną. Poczł, jak krew szybciej płynie mu w żyłach, jak zawsze, gdy zaczynała się nowa akcja.

* Musisz zawsze być tak oficjalnie nadęty, Freddy? * warknął, próbując trochę zmniejszyć emocje. *

Lądujemy na wybrzeżu wroga, a wszystko, co możesz powiedzieć, to: „Tam jest! Ona, Francja!”. Nie ma w tobie żadnych uczuć?

* Nigdy tak o tym nie myślałem, sir.

* Nie wiem, Freddy * westchnął lord i próbował wyjąć trochę morskiej wody z przemoczonego kiltu. *

Czym zasłużyłem, że muszę znosić takiego cymbała jak ty.

Freddy uśmiechnął się leniwie.

* Chyba jednak mam jakieś zalety, sir?

Kolejne kilka minut upłynęło bez wydarzeń. Za ich plecami osiemnastu komandosów po raz ostatni sprawdzało broń. Sierżant* sygnalista przygotowywał swój sprzęt. Mocno pochylony,

osiemnastoletni zastępca szypra o gładkiej twarzy przymierzał się do otwarcia wrót, co pozwoli im ruszyć w kierunku klifu, gdy spód łodzi zacznie trzed o kamieniste dno przy brzegu. Lord zrobił krótki przegląd swych ludzi i był wyraźnie zadowolony z tego, co zobaczył. Jego kłusownicy i drobni przestępcy wyglądali na gotowych i nieustępliwych. Oni go nie zawiodą.

* Która godzina, Freddy?

* Prawie czwarta, sir.

* Dobrze, zostało jeszcze pół godziny.

Nie rozlegały się żadne dźwięki poza stałym warkotem silników oraz delikatnymi uderzeniami zielonych fal o tępe dzioby łodzi desantowych. Dowódca oddziału zaczął jedną ręką delikatnie ostrzyd klingę sztyletu, który wyciągnął zza ściągacza getrów. Nie mógł jednak pozbyd się nerwowego tik

wykrzywającego mu prawy policzek. Freddy Rory* Brick zauważył ten skurcz i tłumaczył go sobie tym, że dowódca chce się wprowadzid w swój bojowy szal * jakiś szkop będzie biedny dzisiejszego poranka.

Była czwarta piętnaście. Wyraźnie już widzieli szare masy klifowego wybrzeża. Tu i tam komandosi szturchnięciami pobudzali do życia zaspanych kolegów i pokazywali surowy brzeg, na którym dostrzegli samotny dom znany im z okresu treningów. Wszędzie panowała cisza. Francja nadal spała.

Lord wsunął sztylet w getry i podniósł karabin.

* W porządku, chłopcy * oznajmił radośnie.

* Podróż do przystani jest zakooczona. Przygotowad się!

Spojrzał na pobladłe twarze podwładnych.

* Smarkacze, gdy kanonierki skręcą w prawo, chcę...

Pocisk rozświetlający eksplodował z przerażającą gwałtownością dokładnie nad niewielkim konwojem.

Strumienie srebrnego światła rozbłysły na niebie i zalały wszystko poniżej trupioblada poświata.

* Szkopy * szepnął sierżant* sygnalista.

* Tam, po lewej.

Dwaj oficerowie obrócili się we wskazanym kierunku i zobaczyli okręty patrolowe, które zbliżały się z prędkością czterdziestu węzłów. Ich wielolufowe działka zaszczekały szaleoczno. Płynące na czele konwoju kanonierki otworzyły ogieo. Niemieckie patrolowce tylko zwiększyły prędkość.

* Torpeda! * krzyknął lord.

* I jeszcze jedna! * dodał Freddy, gdy drugi bulgoczący ślad naznaczył powierzchnię wody.

Kanonierki rozpaczliwie próbowały uniknąć śmiertelnych pocisków, ale pierwszy z nich trafił dokładnie w śródokręcie. Okręt obrócił się, jakby został ugodzony olbrzymią pięścią. Słup szkarłatnego ognia wyskoczył na sto metrów w górę. Druga kanonierka zatrzymała się i niebezpiecznie przechyliła na bok, ale nie przerywała ostrzału. Trafiona Eureka zatoczyła się pod wpływem ognia niemieckiego.

Wszędzie fruwały drewniane drzazgi z rozbitych burt, a silnik łodzi krztusił się gęstymi kłębamii czarnego dymu. Niebieskie płomienie zaczęły lizad drewnianą burtę, a silnik zadrżał i zamilkł.

Patrolowce otoczyły łódź desantową jak stado wygłodniałych wilków.

* Moi biedni chłopcy! * jęczał lord. * Gdzie są te cholerne niszczyciele! Przecież to rzeź!

* Tak * oznajmił, spokojny jak zawsze, Fred* dy. * Boję się, że dopadli nas i trzymają krótko za pysk.

Podniósł karabin i zaczął strzelać w kierunku najbliższego patrolowca wroga.

* Pieprzyd taką hecę! * ryczał lord, przejmując dowództwo w tym chaosie. * Ty, smarkaczu! * krzyknął w kierunku pobladłego ze strachu pomocnika szypra. * Nie stój jak zapasowy fiut na weselu, tylko chwytaj za ster i płyj zakosami do brzegu.

Obrócił się na pięcie.

* Sygnalista! Ręczne sygnały, jeśli dasz radę w tym świetle.

* Spróbuję, sir! * odkrzyknął sierżant, który podskoczył gwałtownie, gdy w ich kierunku pomknęła pierwsza seria pocisków.

* Sygnał rozproszenia i zasłony dymnej. Każdy statek radzi sobie sam!

Utrzymując zręcznie równowagę na rozkołysanym pokładzie, sierżant próbował dać sygnały. Ale było już za późno. Patrolowce wdarły się w formację łodzi desantowych, rozproszyły ją i eliminowały jedną jednostkę po drugiej w wielkich gejzerach wody.

Sygnalista odwrócił się i złapał za twarz. Rozpalony odłamek pocisku urwał mu nos, pozostawiając na jego miejscu wielką dziurę.

Lord pochylił się w jego stronę.

* Nie martw się, Jock, wszystko będzie w porządku.

Ale chłopak już nie żył.

* Freddy! * wrzasnął pułkownik, przekrzykując niemiecką kanonadę i wycie syren okrętów patrolowych.

* Na rany Chrystusa! Postawcie zasłonę dymną, inaczej nie będziemy mieli szans!

Freddy ruszył z zaskakującą prędkością. Skoczył do wyrzutni przyczepionej do dziobu łodzi. Pociski smugowe fruwały wokół niego, ale zdołał chwycić za spust pierwszej wyrzutni i mocno nacisnął. Długi zbiornik wystrzelił w powietrze.

Dymiący pojemnik opadł na morze, pokrywając ochronnym całunem błyszczące łodzie. Młody szyper rozpaczliwie kręcił kołem sterowym, aby znaleźć się w zbawczej osłonie. Za nim płynęły dwie następne Eureka. Jeden z niemieckich okrętów ruszył za nimi, aby je wykończyć. Ale tuż przed ścianą dymu zwolnił i zawrócił.

Pułkownik odetchnął z wielką ulgą.

* Ten wszarz bał się za nami popłynął, bo obawiał się kolizji! * krzyknął do swoich ludzi. * Myślę, że...

* Uwaga! * krzyknął jeden z żołnierzy. * Odpalają torpedę!

Lord odwrócił się, aby zobaczyć, jak ze smukłego dziobu niemieckiego patrolowca odrywa się dwutonowe szare cygaro. Szyper ledwo zdążył obrócić Eureka w odpowiednią stronę. Śmiercionośny pocisk przepłynął z bulgotem dosłownie o centymetry od ich łodzi.

* Hurra! * zaczęli spontanicznie krzyczeć ocaleni komandosi, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Ale zaraz umilkli, bo torpeda zbliżała się do łodzi ich towarzyszy. Rozległa się eksplozja, podmuch zakołysał ich łodzią jak papierowym statkiem na sadzawce. Huk zdawał się trwać wiecznie. Lord skulił

się, jak reszta jego ludzi, przyciskając dłonie do uszu w obawie o bębni. Starał się złapać oddech, płuca miał wypełnione drażniącym dymem.

Potem wszystko się skończyło. Pułkownik wystawił ostrożnie głowę ponad burtę. Druga Eureka zniknęła, pozostały po niej tylko wielkie kręgi wzburzonej wody, które rozchodziły się koncentrycznie od miejsca zatonięcia. Gdy otoczył ich dym, a ryk i warkot silników niemieckich patrolowców stopniowo zamarł, lord Aber* nockie i Dearth zdał sobie sprawę, że ocalała

tylko ich łódź. Miał ledwie osiemnastu ludzi, wliczając samego siebie, aby przejąć baterię Go* ebbelsa.

Załamany, ledwo rozpoznając swój głos, powiedział miękko:

* Dobra, smarkacze, ruszcie się. Idziemy do natarcia!

TRZY

* O co chodzi, Tschapperl? * wybełkotał zaspany Adolf Hitler.

Tego pogardliwego, bawarskiego określenia używał w stosunku do swej kochanki, gdy był w złym humorze. Ewa Braun odrzuciła do tyłu gęsty lok ciemnoblonde włosów, który spadał na jej pucołowatą twarz.

* Adolf, chcę z tobą rozmawiać przez telefon. To pilne. Linge już czeka za drzwiami. (Osobisty kamerdyner Hitlera.)

Hitler zmrużył oczy, gdy zabłysło jasne światło, usiadł z cichym jękiem i poprawił zmierzwiłone po spaniu, farbowane włosy. W swej bawarskiej fortecy zmuszał całe otoczenie, aby siedziało z nim do drugiej nad ranem i oglądało filmy rewiowe, z tego powodu był teraz potwornie zmęczony.

* Ale on wie, że wydałem rozkazy, aby mi nie przeszkadzano przed dziesiątą rano * powiedział zrzędlawie. * Powinien wiedzieć, że potrzebuję trochę odpoczynku, gdy nie jestem na linii frontu. Jak inaczej bym to wszystko zniósł?

* Tak, tak, mój mały gepardziku * Ewa Braun próbowała poprawić mu humor i potarła wydatnymi piersiami o jego ponurą twarz.

* Ale chodzi o Francję. Coś się dzieje w miejscowości o nazwie Dieppe... Ty wiesz, Adolf, że nie rozumiem, o co chodzi w połowie tych rzeczy * powiedziała ze zwycięskim uśmiechem.

Ospałość Hitlera natychmiast zniknęła.

* Coś ty powiedziała?! Co to było, kobieto?!

* krzyknął.

Ewa Braun zakryła piersi dłońmi i lekko się nadaśała.

* Dieppe, Linge tak powiedział. A ty nie musisz krzyknąć na mnie w ten sposób.

* Z drogi! * Hitler odtrącił ją na bok i szybko wyskoczył z łóżka.

Przywdział absurdalnie staromodną koszulę nocną, którą pomimo protestów Ewy upierał się nosić, i podbiegł do telefonu szyfrowego, po czym szybko szczerknął.

* Tu Fuhrer!

* Połączenie błyskawiczne * wysapał nieznaną operator.

Potem rozległo się kilka delikatnych pstryknięć i kliknięć, a chwilę później w słuchawce rozległ się serdecznie znienawidzony głos.

* Heil Hitler!

* Co jest, Rundstedt?

* Jak przewidzieliśmy, mein Fuhrer, Anglicy lądują w Dieppe. Zaczęli desant o czwartej nad ranem.

* Szczegóły * ponaglał Hitler.

Za jego plecami Ewa Braun ziewnęła leniwie i włożyła do ust czekoladkę, którą wyjęła z pudełeczka stojącego zawsze obok łóżka.

* Według zebranych informacji dwa główne konwoje grupami szturmowymi wylądowały w rejonie Varengville* Quiberville, na zachód od Dieppe.

* Bateria Hessa?

* Wszystko przygotowane! * I oni nacierają?

* Tak. Załoga baterii ma rozkaz nie stawiać zbyt silnego oporu. I oczywiście nie wysyłamy wzmocnień.

Nim zaczniemy masakrę, musimy pozwolić odnieść Brytyjczykom małą Wiktorię!

Hitler zmarszczył czoło.

* Nie musisz mówić takich rzeczy, Rund* stedt. Anglicy to wielki naród. I wielkim smutkiem napawa mnie to, że tak wielu z nich będziemy musieli zabić. Gdyby tylko ten pijany plutokrata, żydowski kapitalista Churchill poszedł po rozum do głowy, już dawno byśmy walczyli razem przeciwko

bolszewikom!

* Rozumiem, mein Fuhrer * odpowiedział z respektem feldmarszałek.

Wiedział, że „czeski kapral”, jak pogardliwie nazywał Hitlera, podziwiał jego zdolności dowódcze.

Wiedział też jednak, że wódz nie zawaha się złamać jego kariery, jak to zrobił już z wieloma innymi wysokimi dowódcami Wehr* machtu. Von Rundstedt zdawał sobie sprawę z tego, że nie może pozwolić sobie na poważną wpadkę.

* A co z baterią Goebbelsa?

* Szczegóły są na razie niejasne, mein Fuhrer. Kutry torpedowe, które wysłaliśmy, aby przechwycić alianckie konwoje, jeszcze nie złożyły przez radio pełnych meldunków. Ale z tego, co mi wiadomo

od wywiadu w St. Germain, wynika, że zniszczyliśmy większość jednostek transportowych wroga w rejonie Berneval.

* Wspaniale! * zawołał Hitler, a Ewa Braun patrzyła rozbawiona, jak jej kochanek stuka z radości bosą stopą w podłogę. Ten gest wyglądał imponująco, gdy wódz wykonywał go w mundurze i oficerskich butach, i absurdalnie, gdy zastępowały je koszula nocna i gołe pięty.

* Ale muszę ci przypomnieć, Rundstedt, że ta bateria nie może upaść. To jest kluczowe dla naszego planu.

* I nie upadnie, mein Führer! * odpowiedział feldmarszałek z pewnością, jaką dawało mu pięćdziesiąt lat służby w armii. * Dzisiaj w nocy niech wolno mi będzie zadzwonić do pana, mein Führer, i zameldować, że na ziemi francuskiej nie ma już ani jednego żywego Anglika.

* Niech i tak będzie, mój drogi feldmarszałku. Pozwólmy umierać Anglikom tysiącami na francuskich plażach, jeśli to zadowoli bolszewicką bestię. To będzie wielkie zwycięstwo dla pana i dla Rzeszy.

Hitler odłożył słuchawkę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze stojącym naprzeciwko łóżka.

* Kochanie * zagruchała Ewa Braun, wchłonęła kolejną czekoladkę i wyciągnęła pulchne ręce w stronę najukochańszego wodza * chodź do łóżka. Zaraz pomogę ci usnąć.

Wyprężyła całym zgrabnym, opalonym brzuchem i rozchyliła prowokacyjnie nogi.

Hitler jak zawsze był zauroczony i zawstydzony jej wdziękiem. Zrzucił koszulę nocną, ukazując swoje zmniejszone genitalia. W głowie buzowały mu nowe pomysły. Churchill przyjechał do Moskwy dwanaście dni temu i przebywał tam prawie tydzień. Hitler mógł być pewien, że kiedy atak na Dieppe zostanie odparty, Goebbels ogłosi tę operację desperacką próbą stworzenia drugiego frontu w Europie.

Próba, którą Stalin wymusił na Churchillu w Moskwie.

Führer zmarszczył ponownie czoło i zastanawiał się, czy mógł zrobić coś jeszcze, poza uprawianiem propagandy sukcesu. Wiedział, że ten pijaczyna Churchill był takim samym dyktatorem jak on. Tyle tylko, że brytyjski premier musiał się nadal liczyć z parlamentem, w którym zasiadało jego wielu śmiertelnych wrogów. Czy był jakiś sposób, aby porażką Anglików w Dieppe sprowokować atak wrogów na premiera w parlamencie i uwolnić się od tego grubasa?

Wciągnął na siebie brudną koszulę, a potem założył czarne bryczesy. W łóżku Ewa Braun, rozciągnięta na jedwabnej pościeli, pobudzona i opuszczona, pałaszowała czekoladkę za czekoladką. Przed nią rysował się kolejny długi, bezcelowy dzień spędzony na rozmowach ze służbą * rozmowach, które cichły, gdy przybywał do Berghofu jakiś ważny gość, aby nie zdradzić światu zewnętrznemu, że samotny, olimpijskim bogom podobny wódz ma kochankę.

Hitler wstrzymał na chwilę ubieranie się, gdy straszna myśl pojawiła się w jego głowie. A jeśli Brytyjczycy w jakiś niepojęty sposób zdobędą baterię Goebbelsa? Zadrżał, wciągnął bryczesy i podszedł powoli do wielkiego, panoramicznego okna. Za Alpami powoli podnosiło się słońce,

krwistoczerwona kula barwiła poranne niebo na różowo, podczas gdy pokryte śniegiem szczyty rysowały niebo jeszcze ciemnymi szpicami. Hitler patrzył na lodowato piękną scenerię, którą kochał za tę okrutną, niemiecką wzniosłość.

* Co będzie, jeśli mój Batalion Wotan nie dotrze na czas do baterii? * spytał, jakby zwracał się do gór.

Jedyną odpowiedzią był jęk zimnego wiatru.

CZTERY

* Umieram * jęczał Rzeźnik. * Łatwo wam rehotad na mój widok.

Spojrzał na nich ze swojej dobrze oheblowa* nej, prywatnej deski umocowanej w kiblu podoficerskim.

Spojrzał ponownie i boleśnie jęknął. Jego duża, okrągła twarz była zielona i spocona z wysiłku.

Na zewnątrz dudniły działa okrętowe Anglików, bez przerwy obrzucające wybrzeże ogromną liczbą pocisków. Rzeźnik był śmiertelnie przestraszony, jak zawsze, gdy czekała go akcja bojowa. Nawet nie próbował ruszyć się z wychodka.

* Dlaczego mi przeszkadzasz, Schulze? Nie widzisz, że jestem chory? Do pioruna, zaraz rozerwie mi tyłek!

Schulze i Matz bez sympatii patrzyli na skrzywionego z bólu starszego sierżanta.

* Rozumiem * próbował wyjaśnić sytuację Schulze. * Nie muszę wiedzieć, co ci dolega, wystarczy powąchać. Opary, które wypuszczasz, już spowodowały, że włosy Matza, o ile jakiegokolwiek posiada, poskręcały się w małe kędziorki.

* Oszczędź mi tych dowcipów, Schulze * powiedział słabym głosem Metzger, wycierając wielką łapą pot z czoła. * Taki wielki tępak z Hamburga jak ty nie może zrozumieć, jakie katusze znoszę.

Sierżant ledwo powstrzymał się, aby dać złośliwą odpowiedź.

* Słuchaj, Metzger * warknął. * Coś się stało z batalionem w Belleville. Tam lata w powietrzu kupa gówna i nawet stąd widać, że chałupy Francuzów się palą. Myślę, że Wotan wpakował się w niezłą kabałę!

* I co mam według was zrobić?

* Pozwolid wyjechać twoim PzKpfw IV poza koszary.

* Tak, wyślij je na drogę, i to szybko * dodał od siebie Matz. * Kilka armat siedemdziesiąt pięć milimetrów mogłoby przywrócić porządek.

Rzeźnik rozłożył szeroko ręce i urwał wielki kawałek papieru toaletowego, jakby chciał nim wyczyścić całą podoficerską latrynę.

* Piekło, dupa i szpagat, ludzie! * krzyczał. * Nie widzicie, że zaraz mogę wykitować? Wydaje mi się, że mam w kiszkiach granat ręczny, który zaraz wybuchnie!

* Nie mogło trafić na miłszego faceta * skomentował szeptem Matz, kuśtykając obok przyjaciela. *

Mam nadzieję, że urwie mu wszystkie uszczelki.

Metzger nie chciał ich słuchać.

* Słuchajcie, nie mogę wypuścić tych czołgów do walki z dwóch powodów. Po pierwsze, dowódca powiedział, że nie mogą ruszyć bez jego osobistego rozkazu. Po drugie, ta banda kotów, która ma stanowić ich załogę, jest wyszkolona jak kutas w dupie pedała. Szybciej pozabijają się między sobą, niż dojadą do Anglików!

* Ależ panie sierżancie! * zaprotestował gorąco Matz. * Może Sęp jest w takiej sytuacji, że nie może wezwać posiłków. Przecież wszyscy wiemy, że mógł wsadzić swój wielki dziób w jakieś gówno w Belleville!

Rzeźnik pierdnął, a przez jego brzuch przetoczył się taki łomot, jakby był to początek trzeciego aktu Gotterdammerung.

* Zostawcie mnie, czuję, że nadchodzi kolejny atak.

Chwycił się kurczowo drewnianych poręczy obok dziury klozetowej. Wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować. Żyłki na skroniach spurpu* rowiały mu wysiłku i nabrzmiały do ogromnych rozmiarów.

Schulze zauważył, jak pod przepoconą koszulą mięśnie brzucha Metzgera wykonują mimowolne, kontrujące skurcze.

* Na święte sianko * wy sapał z podziwem Matz. * Panie sierżancie, widzę, że za chwilę coś pan urodzi!

* Gdybym tylko mógł dopaść tego zabojadę, który nawarzył piwa na naszą imprezę * jęczał

starszy sierżant Metzger, a pot płynął strumieniami po jego szerokiej twarzy. * Rozwaliłbym mu łeb butelką jego własnego piwa!

* Metzger * przerwał mu Schulze. * Sukinsyn będzie miał jeszcze szansę spotkać się z tobą. A teraz słuchaj: to prawda, że te kocie ogony nadal nie potrafią stłuc jajka łyżką. Ale jest jeszcze nas trzech, doświadczonych czołgistów. Możemy im szybko pokazać podstawy.

Pochylił się zapalczywie w stronę sierżanta walczącego z rozwolnieniem.

* Wyobraź sobie, Metzger: zapiszesz się głęboko w historię Batalionu Wotan. Starszy sierżant Metzger, który o mało co nie utopił się we własnym gównie, rzucił się bez lęku w wir bitwy o Dieppe. Kiedy urwało mu nogę...

* Zaczął wywijad nią jak maczugą * włączył się Matz * i wtargnął bez trwogi w szeregi ko* ziozębnych Tommies.

* A kiedy w koocu urwali mu ten rudawy łeb, wsadził go pod pachę i stanął na baczność.

* Gdzie jego cierpiąca głowa wykrzykiwała „Heil Hitler!”, nim wreszcie wywrócił się i padł martwy jako jedyny zwycięzca.

* Chodź, bohaterze, chcesz żyć wiecznie? Ale Rzeźnikowi nie można było niczego wyperswadować.

* Możecie gadać, aż dostaniecie przepukliny * powiedział. * Ale nie pozwolę użyć żadnego z PzKpfw IV, dopóki nie dostanę rozkazu od dowódcy, i koniec!

W koocu musieli zrezygnować. Schulze spojrzał na przyjaciela.

* Tak to nie pójdzie, Matzi. Wyośmy się stąd, zanim ten żółty bękart zatruje nas tymi smrodliwymi bąkami.

Wycofali się z latryny. Schulze zatrzymał się i spojrzał na wybrzeże morskie. Słooce już zaczęło wschodzić, oświetlając niebo ciepłym różem. Na jego tle wyraźnie odznaczały się dwa słupy czarnego dymu, które pojawiły się nad Belleville. Za nimi, daleko na linii horyzontu, rysowały się niewyraźne sylwetki okrętów wojennych. Było oczywiste, że Anglicy lądowali w sporej sile, a Wotan nie zdołał jeszcze dotrzeć do baterii na wybrzeżu.

* Matzi, wiesz, jak Goethe definiował gwałt? * Co?

* Kiedy baba z zadartą kiecką ucieka szybciej niż facet z gaciami opuszczonymi do kostek.

* Naprawdę? Goethe tak powiedział?

* Jasne, że nie, głupku, ty głupia małpia kupo!

* No to po co o tym mówisz?

* Bo to daje nam przewagę.

Matz potrząsnął zadziwiony głową.

* Wiesz co, Schulzi, czasami myślę, że ty masz tutaj małego ptaszka * stuknął się palcem w skroo * który robi cały czas „dwir, dwir”.

Sierżant nie zwracał uwagi na kumpla.

* Spójrz na to tak. Jeśli przejmujemy komendę nad czołgami i młodymi kotami, to kto nas zatrzyma?

* Rzeźnik.

* Racja, ale gdzie on teraz jest?

* Rozwala kibiel pierdnięciami.

* A jak szybko jest w stanie tu dotrzeć z pan* talonami opuszczonymi do kostek? Co, tępaku?

Po skrzywionej twarzy Matza przebiegł złośliwy uśmiech. Mrugnął konspiracyjnie jednym okiem.

* Mam cię! Dobrze, ruszamy. Na co czekasz, ty wielki hamburski jebako?

Szybkim krokiem ruszyli w stronę pięciu czołgów PzKpfw IV dokładnie okrytych siatkami kamuflującymi *

jedynych wozów bojowych, które ocalały z kampanii w Rosji. Wokół nich stały młode załogi w czarnych mundurach, czekając w połowie z obawą, w połowie z niecierpliwością na rozkaz wyruszenia do akcji przeciwko armadzie ukazującej się na horyzoncie.

* Uwaga, bando tandeciarzy! Będę do was przemawiał! * krzyknął Schulze nie swoim głosem.

Młodzi czołgiści patrzyli z ciekawością na pancerny czołg na dwóch cudaków. Jeden miał drewnianą protezę, a drugi niesamowicie pomarszczone, blade ręce.

* Wszyscy mnie znacie, jestem Schulze z Pierwszej Kompanii, policjant od higieny i syfa.

Rozległo się kilka niemrawych śmiechów.

* Tak jest dobrze * powiedział pospiesznie Schulze. * Nie nadwyrężajcie za bardzo tych

swoich suchotniczych klatek piersiowych, bo może śmiejecie się dzisiaj po raz ostatni! Wszyscy jesteście głównianymi sierściuchami, chociaż myślicie, że jesteście takimi samymi żołnierzami jak my, starzy wyjadacze. Nie jesteście. Ale dzisiaj wyświadczę wam przysługę. Dni, kiedy byliście choinkowymi żołnierzami, skooczyły się.

Postukał obrzydliwym paluchem w klatkę piersiową ozdobioną medalami zdobytymi przez trzy lata wojny.

* Sierżant Schulze zrobi z was prawdziwych żołnierzy, i to za darmo!

Teraz rozległy się śmiechy jeszcze skromniejsze. Ale Schulze z radością zauważył determinację w oczach młodych ludzi.

* Potraficie jeździć i strzelać z dział kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów, to wszystko. Jednak nie macie pojęcia o taktyce walki czołgowej i nie wiecie, jak walczyć w PzKpfw IV. Musicie to pojąć od razu.

Matz przeprowadzi z wami krótki kurs, prawda, kapralu?

Matz nie wahał się ani chwili. Pokuśtykał do przodu i stanął obok wielkiego kumpla.

* No dobrze, młode koty. Powiem to tylko jeden, jedyny raz. Za drugim razem będziecie już oglądać ziemniaki od strony korzeni. Zaczynamy. W sprawie walk ulicznych przeciwko piechocie musicie

zapamiętał trzy rzeczy. Pierwsza: musicie mieć dupę swego PzKpfw IV bez przerwy schowaną, inaczej paskudni Tommies wpakują wam w nią pocisk z bazooki, i to bez wazeliny. Druga * tu strzelił palcami *

trzymajcie odpowiedni dystans na drodze, najlepiej dwieście metrów. Jeśli od razu to pojmiecie, zawsze będziecie mogli wykonać taktyczny odwrót.

Matz potoczył swoimi złośliwymi oczami po napiętych, smukłych twarzach czołgistów i zastanawiał się przez chwilę, ilu z nich przeżyje dzisiejszy dzień.

* Trzecia sprawa: uważajcie na pobocza dróg i wszystko, co się wokół was dzieje. Oni mogą z drogą zrobić tak * tu znowu ostro strzelił palcami * i droga rozpadnie się pod ciężarem waszego PzKpfw IV. A wtedy banda takich tępaków jak wy nie dostanie drugiej szansy w piekle. Będziecie dla angielskiej piechoty jak kaczkę do odstrzału. Oni kochają smażyć wasze jajka za pomocą miotaczy płomieni, aż zrobią się ładne i chrupiące jak czarna dupa szatana!

* Wystarczy * przerwał mu Schulze. * Tyle wystarczy w tym krótkim kursie, kapralu Matz. Nie chcecie chyba, aby ci mili chłopcy posikali się w majtki, nim zobaczą Angoli, prawda?

Spojrzał na młodziutkiego starszego kaprała, blondyna z mocno zarysowaną szczęką, który stał na pancerzu najbliższego czołgu.

* Hej, chłopczyku, mam zamiar zająć twój czołg jako wóz dowodzenia. Jasne?

* Tak jest, panie sierzancie! * szczechnął wojak i wyprężył się, jakby przemawiał do niego sam Sęp.

* Reszta z was urządzi procesję w kierunku Belleville, trzymajcie odstęp, jakie opisał kapral Matz.

Działonowi mają wypatrywać Angoli. Jeśli zobaczycie, że niosą jakąś długą rzecz, to możecie być pewni, że to nie ich fiuty czy skrzynka z kanapkami, tylko cholerna bazooka. Nie wahajcie się, walcie w nich od razu, nim zdążą się zorientować. Wezmę wóz dowodzenia i spróbuję zabezpieczyć prawą flankę. To jest ta bliżej morza, skąd nadejdą Tommies. Grunt jest tam dosyć grząski, ale pokładam nadzieję w talentach kaprała Matza. Chociaż jest kaleką, przeprowadzi nas tam bezpiecznie. Bo jeśli nie * dodał z groźbą w głosie * osobiście oddam go w ręce Anglików, a oni na pewno zaaplikują mu coś specjalnego. Dość już tego... Zaatakujemy wioskę. Poproszę batalion o osłonę piechoty, wtedy ruszymy i damy naprawdę silnego kopa w te kościste, srające angielską herbatą tyłki. Czy to jasne?

* Tak jest, panie sierzancie! * rozległ się jednoczesny krzyk z wielu gardeł.

Schulze popatrzył przez moment na sylwetki rysujące się ponad nim na tle wschodzącego słońca i jego twarz złagodniała.

* Nie martwcie się, chłopcy. Stary Schulze nigdy was nie zostawi * powiedział z uśmiechem.

Potem jego głos znowu stwardniał.

* Załogi do wozów!

Żołnierze zaczęli gramolić się do czołgów. Kierowcy i działonowi wchodzili indywidualnymi włazami.

Dowódcy poszczególnych pojazdów, siedzący już w wieżyczkach, zakładali na uszy słuchawki radiotelefonów. Schulze przepchnął się obok młodziutkiego kaprała. Niżej Matz już naciskał czerwony przycisk start* ra. Czterystukonny silnik zakaszłał nerwowo, jak stary palacz na zimnym powietrzu. Nic.

Kaprał ponownie przycisnął guzik. Tylko słaby warkot. Coś zachręściło.

* Dawaj, Matzi! * poganiał go niecierpliwie Schulze. * Bo Angole zdążą wrócić do siebie na herbatę, nim ruszymy z miejsca.

Kaprał walnął w star ter trzeci raz. Potężny silnik obudził się z ogłuszającym grzmotem i wielkie, stalowe pudło czołgu całe zadrżało. Matz zwiększył obroty. Schulze za pomocą komunikatora sprawdził, czy pozostałe czołgi też są w rozruchu. Potem zakręcił ręką nad głową.

* Przetoczmy się po nich, chłopcy! * darł się, przekrzykując ryk silników. * Jedziemy złożymy wizytę angielskim dżentelmenom!

Daleko za nimi starszy sierżant Metzger wytoczył się z latryny, trzymając w dłoniach rozpięte spodnie.

* Stad! * krzyczał rozpaczliwie. * Nie możecie tak po prostu odjechać!

Próbował niezdarnie podbiec, by zatrzymać Schulzego, ale spodnie opadły mu do kolan. Zatokczył się, próbując uniknąć upadku, mimo to wyrzucił o ziemię całym ciałem, wzbijając tuman kurzu. Tylko jego tyłek sterczał wyzywająco ku niebu.

* Czy cuda nigdy nie przestaną się zdarzać?

* zarechotał Schulze uradowany tym widokiem.

* Księżyc już pojawił się na niebie!

PIĘD

* Strasznie ładnie ze strony starego Huna, prawda, sir? * zauważył beztrosko Freddy, mierząc wzrokiem wąwóz otoczony wysoką ścianą z drutu kolczastego, który prowadził z wybrzeża w górę klifu. *

Naprawdę ładne powitanie.

* To nie był dobry dowcip, Freddy * odparł lord, stając na cichej, wyludnionej plaży. Za jego plecami przesuwiała się zasłona z mgły i dymu. Było jasne, że tylko jedna Eureka * ta, która przewoziła Siódme Komando * przetrwała atak torpedowców. W ciągu kilku minut na darmo zginęło

prawie czterystu ludzi.

Zostali zabici, nim zdążyli spojrzeć na Niemców.

* Wygląda na to, Freddy * skonkludował pułkownik * że przynajmniej nas nie zauważyli.

Szkocki gwardzista pokiwał głową.

* Ale niedaleko stąd ktoś narobił niezłej ka* szany * powiedział i wskazał trzcinką w kierunku, z którego dolatywał ciągły jazgot ręcznej broni maszynowej.

* To chyba chłopcy z ruchu oporu żaboja* dów. Załatwił ich dla nas szef operacji, lord Lo* uis. Dobrze, chodźmy do zasieków.

Ostatnie słowa skierował do komandosów przykucniętych wokół niego z odbezpieczoną bronią. Na pociągłych twarzach szkockich górali malowało się napięcie.

* Zobaczcie, chłopaki. Nie chcę was czarowad, jesteśmy jak w łódce bez wiosła na górskim potoku. Ale bywaliśmy już w gorszych opałach. Przypomnijcie sobie na przykład krwawą jatkę w Vaagso.

* Ma pan rację, panie pułkowniku * doleciały zewsząd pomruki potwierdzające słowa lorda.

Mały dowódca westchnął z ulgą i podziękował Bogu za spokój jego Szkotów. Cockneye z Londynu na pewno inaczej by reagowali w takiej sytuacji.

* Dobra, chłopcy, musimy rozwalid tę baterię. Jest nas tylko osiemnastu i nie wierzę, aby udało nam się zrealizowad pierwotny plan. Ale wierzę, że i tak potrafimy się do niej dobrad.

Spojrzał na ogorzałe od wiatru i słooca twarze podwładnych.

* Wiem, co wszyscy myślicie * powiedział ostrożnie. * Sądzicie, że nie wyjdziemy z tego bajzlu żywi, co?

Ludzie spuścili oczy, a pułkownik pospiesznie dodał:

* Nie mogę niczego gwarantowad. Ale powiem wam, że życie Kanadyjczyków zależy od nas. I jeśli nie rozwalimy tej baterii, to będziemy spierdalad stąd jak smarkacze w małej żaglówce, prawda, Snotty?

* Tak jest panie pułkowniku... to znaczy... ay, ay, sir * odpowiedział młodziutki porucznik.

* Tu cię mam * błysnął okiem dowódca. * Jeśli taki mały koleś, wyciągnięty przez Kanadyjczyków z kołyski i wsadzony przez Anglików do łodzi, jest gotów tutaj dotrzed, to co może napędzid stracha takim owłosionym szkockim dupom jak my? W porządku, za mną, wy połcie mięsa!

Bez dalszych ceregieli przesunął karabin na ramię, aby było mu wygodnie, podniósł kilt do góry i chwycił

pierwszą strunę drutu kolczastego przymocowanego do białej skały dwoma kołkami. Ostre zadziory boleśnie wbiły się w dłoń, ale oficer powstrzymał się od krzyku. Gdy drut był maksymalnie naprężony, nacisnął na niego całym ciężarem ciała.

* Zaufajcie staremu szkopowi * powiedział przez zaciśnięte zęby. * Jeśli wykonuje swoją robotę, robi to porządnie. A my możemy przejść przez to gówno jak po drabinie, dzięki grzeczności starego Adolfa.

* Dobrze. Freddy, podnieś z drugiego kooca i niech chłopaki przechodzą. Jeśli jakiś kanciasty łeb pokaże się ponad klifem, masz moją zgodę na odstrzelenie go!

* Dziękuję, sir. Ale co ze mną? Nie mogę iść z wami, sir? Byłem podporucznikiem marynarki wojennej *

spojrzał błagalnie na małego pułkownika.

* Lepiej zostaw brudną robotę nam, jesteśmy do niej wyszkoleni * zaczął lord, ale nagle zmienił zdanie. *

W porządku, chłopie, możesz iść z nami, jeśli chcesz zarobić na Victoria Cross.

Wspinaczka okazała się piekłem. Nie mieli ani jednej pary nożyc do przecinania drutów, więc musieli zatrzymać się co jakiś czas, aby pokonać sprytnie zamontowane zwoje drutu kolczastego, który miał

powstrzymać właśnie takich amatorów wspinaczek jak oni. Za każdym razem, gdy lord wisiał na jednej poranionej, zakrwawionej ręce, drugą przetykał przez zwoje drutu grubą linę. Chwytał kooce liny, ścisnął

zwój i włożył w powstałą w zasiekach lukę, dziko powiewając kiltiem. Ruszał do kolejnej kolczastej bariery, wspinał się, a serce biło mu jak młot, gdy zabierał się do następnego zwoju drutów.

Lordowi wydawało się, że hałas, jaki wywołują jego ludzie, pobudzi Niemców nawet w Berlinie.

Przedzierając się z bólem przez zasieki, czuł się jak robak nadziany na koniec szpilki. Wystawiony na łaskę snajperów.

W koocu udało mu się dotrzeć na szczyt skały. Przez moment klęczał z wysiłku. Cały kilt miał w strzępach, a na rękach i gołych kolanach zamiast skóry widoczne były strzępy mięsa. Płuca rzeziły mu jak para pękniętych dzwonów. Zebrał się w sobie, uniósł głowę i ostrożnie wyjrzał za krawędź klifu.

Po prawej stronie leżała wioska Berneval, zasnuta całunem dymu rozrywanego błyskami wystrzałów karabinowych. Dalej zaczynał się

zalesiony teren ciągnący się aż do baterii. Pułkownik, dzięki tygodniom treningów przy makielicie zrobionej z mokrego piasku, od razu rozpoznał położenie dział. Każde ze stanowisk karabinów maszynowych osłaniających baterię wyraźnie rysowało się na tle karmazynowego nieba. Za nimi

można było dostrzec czarne pudła wież artyleryjskich, z których wystawały długie lufy skierowane w stronę morza. Czekały na nadpływającą flotę, aby zadać jej morderczy cios.

* Do pioruna! * zaklął lord, gdy następny człowiek, dysząc z wysiłku, przykucnął obok niego.

Pułkownik wiedział, że mogą czekać w nieskończoność na klifie i nikt ich nie zauważy. Ale jak dostać się pod osłonę lasu, aby nie dostrzegli ich obserwatorzy z gniazd karabinów maszynowych?

I wtedy Siódme Komando, pechowe od czasu, gdy jego żołnierze opuścili Anglię, po raz pierwszy spotkało szczęście.

Od strony morza gnał, dudniąc z prędkością prawie trzystu mil na godzinę, dwusilnikowy Boston. Silniki ryczały, przerywając ciszę, a maszyna zeszła lotem nurkowym z wybrzeża nad szczyty drzew. Łuk płytkiej zatoki zamienił się w ogień piekielny. Baterie wielolufowych działek przeciwlotniczych strzelały jak oszalałe. Czerwone, białe i zielone smugi pocisków przecinały zaróżowione niebo. Pierwsze

Bostony wypuszczały bomby. Lord nie miał nawet czasu, by zerknąć, czy trafiły w przewidziane cele. Ten atak powietrzny był osłoną, jakiej potrzebował.

* Podajcie dalej * krzyczał, chcąc przebić się przez jazgot działek przeciwlotniczych, który brzmiał jak walenie metalowym prętem w szynę kolejową * że jak tylko wejdą na górę, mają natychmiast biec w stronę lasu. No dobrze, ja ruszam!

Trzymając w dłoniach karabin, z zakasany nad kolana kiltem, pułkownik rzucił się do przodu i pomknął dzikim kłusem w kierunku zbawczych sosen. Kolejna eskadra Bostonów przemknęła nad

brzegiem morza. Strzelcy działek wielolufowych błyskawicznie zmieniali kierunek ostrzału. Powietrze wypełniały stal i ołów, kolejne bomby leciały w dół. Lord, niedostrzeżony przez obronę, gnał pod osłonę drzew, za nim pędził sierżant i jakiś inny żołnierz. Wreszcie minęli szczyt klifu i dotarli do zagajnika.

Pułkownik rzucił się ciałem na leśną ściółkę, nie zważając na gałęzie rozrywające mu skórę. Z

westchnieniem ulgi zanurzył gorącą z wysiłku, spoconą twarz we wciąż wilgotne podłoże. Kolejni żołnierze dopadali do drzew i kryli się przed wzrokiem wroga z wyjątkową wprawą. Lord nawet nie sprawdzał, jak im poszło. Był zbyt zmęczony piekielną wspinaczką i szaleoczym biegiem. Po chwili rozległ

się głos Freddy'ego. Trochę mniej pogodny niż zazwyczaj.

* Okazuje się, że udało nam się to zrobić i nie zostaliśmy zauważeni, co?

Lord ostatnim wysiłkiem woli zmusił się, aby coś powiedzieć.

* Dobrze, chłopcy... bardzo dobrze. Pokancerowaną dłonią starł pot zalewający

mu oczy i spojrzął na zaczerwienione z wysiłku twarze komandosów.

* Pierwsza runda dla nas, chłopaki. Teraz, kompanio braci, jeszcze raz w wyłom, jak mówią nieśmiertelni bardowie. Chłopaki, od tej pory musimy improwizować. Możemy zająć czymś te robaki, jeśli tylko przejmemy stanowiska karabinów maszynowych.

Drżącym palcem wskazał trzy gniazda ka* emów znajdujące się na lewo od baterii.

* Przy odrobinie szczęścia żabojady przetrzymają szkopów z dala od nas, więc możemy je zdobyć.

Najpierw zajmiemy stanowiska broni maszynowej, broń i obsługę.

Prychnął pogardliwie nosem.

* Wiemy przecież wszyscy, że kaczka w ciąży jest tak samo dobra jak przeciętny artylerzysta* sta, prawda?

Dookoła rozległ się delikatny pomruk rozbawienia.

* Większość tych ciot zakłada piżamy do łóżka, wszyscy o tym wiemy. Podzielimy się na trzy sześciuosobowe grupy * ty pójdiesz za mną, Snotty, jako mój zastępca. Gdy już wyjdziemy spoza drzew, musimy przebyć około dwustu jardów otwartej przestrzeni, nim uderzymy na stanowiska kaemów. Freddy, ty przejmujesz grupę numer jeden. Sierżant Gelles * tu zwrócił się do najstarszego podoficera, który był

kiedyś łowczym w jego posiadłości * weźmie drugą grupę. I pamiętajcie, sierżancie, trzymajcie swój czerwony od whisky kinol blisko ziemi, inaczej będzie widoczny jak zapalona latarnia morska.

Ludzie wybuchli śmiechem, ale sierżant Gelles odpowiedział bardzo poważnie:

* Wbiłem sobie do głowy, sir!

* Ja zabieram trzecią grupę. Czołgamy się całą drogę i biedny będzie ten, kto zostanie dostrzeżony, nim podejmiemy odpowiednio blisko. Jak wrócimy do kraju, załatwię mu oskarżenie szybciej niż błyskawica.

Gdy zajmiemy odpowiednie pozycje, dam sygnał gwizdkiem i wtedy ruszymy na nich * zamilkł na chwilę, próbując wygrzebać spod resztek ubrania sztylet * z zimną stałą!

Młody marynarz z ocalałej Eureka, siedzący za nim, lekko zadrżał.

* Znowu lecą chłopcy z Brylcreem! * zawołał jeden z żołnierzy, gdy kolejna eskadra bombowców przemknęła ponad drzewami.

Wokół samolotów eksplodowały różnokolorowe pociski przeciwlotnicze. Lord nie pozwolił dłużej czekać.

* Naprzód, chłopcy! Rozproszyd się i ruszamy. Potem puścił oko do Freddy'ego i poruszając

bezgłownie ustami, powiedział:

* Dużo szczęścia, ty długi strumieniu sików!

Freddy zaśmiał się, a potem wszyscy ruszyli przez las. Hałas, jaki czynili, skutecznie zagłuszały odgłosy nalotu: ryk silników, huk wybuchów i broni przeciwlotniczej. Komandosi ruszyli w kierunku niespodziewających się niczego gniazd broni maszynowej.

* Stój! * rozkazał lord.

Garstka ludzi wokół niego zamarła.

* Co jest, sir? * spytał Snotty głosem pełnym niepokoju.

* Druty.

* Nie mamy nożyc.

Pułkownik nie zwracał na niego uwagi.

* Curtis i Menzies * rozkazał.

Dwóch szeregowców podczołgało się szybko do dowódcy. Bez dalszych wyjaśnień zaczęli pełznąć na plecach w niewysokiej, mokrej trawie, po czym chwycili najniższy zwój drutu kolczastego i spracowanymi rękami naciągnęli go jak strunę. Wspólnym wysiłkiem podnieśli go na stopę ponad poziom gruntu. Pot płynął strumieniami z ich twarzy.

* Dobrze, idę!

Pułkownik podczołgał się szybko, ostrożnie przeciskając chude ciało, aby podarty kilt nie zahaczył o druty rozciągniętych zasieków.

* Teraz Collins i Mackenzie.

Ruszyło dwóch następnych komandosów i przejęło naciągnięte druty od towarzyszy. Jeden po drugim przechodzili przez przeszkodę i gromadzili się wokół dowódcy. Ten skinął głową z zadowoleniem.

* W porządku, chłopcy. Bardzo dobrze. A teraz nisko i powoli. Nie chcemy wpaść w pułapki minowe szkopów.

Byli już nie dalej niż dwadzieścia pięć jardów od celu. Wyraźnie słyszeli podniecone głosy załóg karabinów maszynowych, gdy te zmieniały taśmy z nabojami. Pułkownik wyciągnął sztylet i ostrożnie uniósł głowę. Mógł policzyć szkopów w hełmach przypominających kosze na węgiel.

* Czterech * wyszeptał. * Na Chrystusa, mamy przewagę. Dobrze. Rozproszyc się: wy czterej na lewo. Ja i ta ważna osoba z marynarki pójdziemy na prawo. Gdy zobaczę, że jesteście pięć jardów od tych karaluchów, głośno gwizdnę. Ruszajcie się!

Zgodnie z rozkazem czterech ludzi odczołgało się szybko na lewo. Lord popatrzył na pobladłego Snotty'ego i puścił do niego oko.

* Nie martw się, chłopie, będzie jak na dwiczeniach. Chodź.

Szybko zaczął pełzną naprzód, w zębach trzymał nóż, a kilt na jego pośladkach podrygiwał rytmicznie z jednego boku na drugi tuż przez nosem Snotty'ego. Można było wyczuć zapach Niemców, osobliwą woń serży, z której

uszyte były ich mundury, oraz ersatzu mydła wszechobecnego w czasie tych strasznych lat wojny.

Pułkownik szybko pomodlił się o zwycięstwo oraz o to by druga grupa była już na pozycjach, przełożył

niewielki nóż do prawej ręki i wsadził gwizdek w usta. Wziął głęboki wdech i dmuchnął.

Wściekły, ochryply okrzyk Szkotów tylko nieznacznie wyprzedził alarm, jaki podnieśli Niemcy. Zakurzeni i w podartych mundurach komandosi runęli na wrogów.

Ktoś z załogi próbował obrócić karabin maszynowy, ale na jego twarzy od razu pojawiła się szaleocza panika. Curtis, łamiąc rozkazy, strzelił do niego z biodra. Niemiec wydał przenikliwy okrzyk bólu i opadł

na kaem. Lord momentalnie rzucił się na żołnierza, który próbował zająć miejsce trafionego strzelca, i rozplątał mu brzuch. Obok niego rozpaczliwie walczył Snotty, próbując unikać ciosów pięścią, jakie kolejny Niemiec skierował w jego twarz.

Lord skoczył na plecy przeklinającego szkopa niczym małpa ubrana w kraciatą spódniczkę. Jedną ręką chwycił przeciwnika za gardło, a drugą, uzbrojoną w ostry jak brzytwa nóż, przeciągnął po jego odsłoniętym, białym gardle.

Dokładnie minutę później ostatni członek obsługi karabinu maszynowego konał na dnie gniazda obronnego. Z jego piersi wystawała rękojeść bagnetu. Pięć minut później, gdy młody

marynarz jeszcze lkał nad ciałem zabitego, do dołu wpadł Freddy, tym razem pozbawiony wełnianej czapki.

* Mamy je, sir, dwa pozostałe gniazda karabinów maszynowych. I niech pan zgadnie, sir, co znaleźliśmy w jednym z nich.

* Shirley Tempie? * zaryzykował pułkownik. Bardzo zadowolony z dotychczasowego przebiegu operacji wycierał skrwawione ostrze sztyletu o wełniany kilt.

* Nie, trzycalowy mózdzierz. Nieźle, co?

* Nieźle, Freddy * stwierdził lord, a serce aż mu podskoczyło.

Teraz byli już naprawdę zaangażowani w akcję. Mieli nie tylko trzy stanowiska z karabinami maszynowymi, ale również mózdzierz. Jego pociski prawdopodobnie będą odbijały się od żelbetowych osłon ciężkich dział jak piłki pingpongowe, ale Niemcy dzięki temu będą siedzieli cicho i zważali na to, co robią.

* Jakieś straty?

* Żadnych. Chociaż... straciłem czapkę z odznakami pułkowymi, sir.

Lord Abernockie i Dearth zaśmiał się serdecznie.

* Ty stary głupku * powiedział z sympatią. * W porządku, Freddy. Skocz z powrotem do swoich chłopaków i powiedz po drodze sierżantowi Gellesowi, co chcemy zrobić. Daję ci dwie minuty, by wywalid stąd wszystkich umrzyków, a wtedy dokopiemy szkopom wszystkim, co

mamy. Celujcie w otwory strzelnicze i wyloty kanałów wentylacyjnych. Na rany Chrystusa, Freddy, ty stary przyku, te buraki muszą myśleć, że zaatakowało ich całe wielkie Siódme Komando! Nim dzieo się skooczy, chłopcy, którzy chowają się za tymi betonowymi ścianami, muszą mied w portkach mokro ze strachu!

SZESC

Przysadzista sylwetka czołgu jadącego na przedzie, wyraźnie rysująca się na tle nieba, toczyła się powoli w stronę ogarniętej walką wsi Belleville. Pozostałe PzKpfw IV jechały w odległości zarządzanej przez Matza. Ich siedemdziesiąt* siedemdziesiąt* milimetrowe armaty obracały się z jednej strony na drugą jak pyski wielkich drapieżników poszukujących łupów.

Obserwując z boku ich przejazd, Schulze skinął głową z aprobatą. Przycisnął mikrofon do krtani i spytał:

* Jak im idzie, Matzi?

* Trochę niepewnie * głos Matza dobiegł z siedzenia kierowcy, nieco nierealny i zniekształcony przez wewnętrzny komunikator.

* Wszędzie są te cholerne połączenia słonych bagien. Wpadnij w jedną i wylądujemy w błocie po pachy.

* Ciężka sprawa * odparł obojętnie sierżant.

* Ale staraj się, aby wszystko dobrze poszło, a jeszcze doczekasz się wojennego Krzyża Zasługi czwartej klasy!

Matz wycofał się na dno czołgu, mruczając pod nosem obsceniczne przekleństwa.

* Tak, i twoja matka też! * zgrzytnął Schulze i odpiął mikrofon z krtani, po czym warknął do chłopaka o surowych rysach twarzy, siedzącego obok niego: * Kapralu!

* Tak jest!

* Patrzcie, co się dzieje przed nami. Jeśli zobaczycie coś, co przypomina trawę bagienną, dajcie mi natychmiast znać.

* Tak jest, panie sierżancie!

Schulze pociągnął nosem i skierował swoją uwagę na zadymioną wioskę, która leżała kilometr przed nimi. Przygryzł nerwowo dolną wargę. Nie miał żadnych wątpliwości. Mógł wyraźnie rozróżnić wysokie dźwięki wystrzałów z esesmaoskich karabinów szturmowych i basowe tony serii z pistoletów

maszynowych. Wotan wszedł do akcji, ale Angole złapali go krótko za pysk.

Wyrzucił z głowy ponure myśli i zaczął rozważać, jak wprowadzić swój kiepsko wyszkolony oddział do akcji. Kiedy już dotrą do wioski, zdecydował, rozkaże im przejechać wzdłuż głównej ulicy, a on objedzie swym czołgiem wokół niej. Przy odrobinie szczęścia wyciągnie stamtąd Anglików. Piechota przeważnie robi w majtki ze strachu, gdy widzi czołgi, szczególnie gdy szybko się poruszają. Jedyne

problem tkwił w tym, czy Anglicy mieli granatniki przeciwpancerne. W tym wypadku jego czołgi byłyby jak kaczkki na stawie w sezonie łowieckim. W wąskich wiejskich alejkach nie mieliby możliwości żadnego manewru.

* Panie sierżancie! * okrzyk kaprała przerwał gwałtownie jego myśli.

* Co? * odezwał się Schulze.

Chłopak wpatrywał się w ciemną sylwetkę, która poderwała się z wypalanej słoocem trawy rosnącej na poboczu drogi, zaraz za prowadzącym czołgiem. Człowiek miał w dłoniach dziwny pakunek przypominający kształtem dzwon.

* Co z tym zrobid, panie sierżancie? Co to jest?

* Schowaj swoje dupsko do wieżyczki! * krzyknął Schulze i wcisnął go w głąb pojazdu.

Gdy człowiek biegł w kierunku tyłu wolno poruszającego się PzKpfw IV, sierżant szybko obracał w jego kierunku dziesięcotonową wieżę pancerną. Jednocześnie przekładał karabin maszynowy, przygotowując go do natychmiastowej akcji. Celował z niego gorączkowo, dopóki sylwetka biegnącego nie znalazła się dokładnie pośrodku widełek celownika. Nacisnął spust. Czteryście metrów od pojazdu człowiek zatrzymał

się w pół kroku, wygiął kręgosłup i wznosił ręce do nieba. Wyglądało, jakby wzywał pomocy z niebios.

Potem dzwonowaty pakunek wysunął się z jego bezwładnych rąk, a on sam schował się w mokrej trawie.

Schulze odetchnął z ulgą.

* Chryste na krzyżu! Naprawdę było blisko!

* Co to było, panie sierżancie?

* Bomba stykowa. Magnetyczna, przyczepia się do pancerza * wyrzucił z siebie gwałtownie.

Następna sylwetka wyłoniła się z trawy i pomknęła do drogi z bombą w rękach.

* Oddział samobójców! * ryknął Schulze i posłał kolejną serię pocisków w stronę biegnącego wroga.

Człowiek wpadł na drogę. Gdy sierżant strzelał do niego z kaemu, pierwszy partyzant podbiegł do jednego z czołgów i przyczepił do jego pancerza ładunek wybuchowy. Nawet z tej odległości słychać było szcęk magnesu chwytającego metal.

* Na święte sianko! * jęczał Schulze. * Obudźcie się, tanie jebaki! Nie słyszycie, że ktoś wpycha

wam w dupę kukułkaże jajo!

PzKpfw IV toczył się dalej, zastrzelony partyzant został za nim i chwilę później rozległa się astmatyczna eksplozja. Czołg stanął dęba, cofnął się jak wierzgający koo. Potem opadł na ziemię, a z jego wnętrza gwałtownie buchnęły płomienie.

* Wyłazid! No szybciej, wyłazcie! * wrzeszczał Schulze z rozpaczą w głosie, waląc bezsilnie pięścią w pancerz czołgu. * Zróbcie to, chłopaki!

Ale nikt nie wydostał się z płonącego wraku, a po chwili cud było słodkawego odór palącego się mięsa.

Młody kaprał, siedzący w wieżyczce obok Schulza, zaczął wymiotować.

Nie było już czasu zajmować się spaloną załogą pojazdu, bo w odległości dwustu metrów pojawił się kolejny czołg. Jego dowódca zatrzymał wóz, widząc, jaki los spotkał jego poprzednika. Schulze przycisnął

do gardła mikrofon.

* Obród się, ty sukinsynu! * darł się gorączkowo.

Dowódca czołgu najwyraźniej nie miał włączonego nasłuchu. Nic nie słyszał.

Spanikowany widokiem płonącego czołgu, który był wyraźnie widoczny na lekko wznoszącej się drodze, skierował swój pojazd na pobocze, prosto w trawę.

* Nie! * krzyczał desperacko Schulze. * Nie!

Ale dowódca czołgu nie słyszał jego krzyków * kierowca skierował trzydziestotonowe monstrum na strome pobocze. Matz przewidział, co się stanie * pobocze zacznie się osuwać. Zdjęty grozą Schulze obserwował, jak piaszczyste podłoże poddaje się naciskowi gąsienic. W szalonym odruchu kierowca zwiększył obroty silnika, próbując wydostać czołg ze śliskiej pułapki, jednak powoli w nieunikniony sposób PzKpfw IV ześlizgiwał się do rowu.

Nieprzyjacielski oddział nie potrzebował dodatkowego zaproszenia. Partyzanci, osłonięci przed ostrzałem Schulzego przez płonący wrak pierwszego czołgu, ruszyli grupą, aby przyczepić bomby i zniszczyć kolejny pojazd.

Nieco dalej strzelec z trzeciego czołgu próbował odrzucić partyzantów od zakopanego

wozu towarzyszy. Jeden po drugim samobójcy padali, ale i tak musiało stać się to, co nieuniknione.

Chwilę później kolejny PzKpfw IV wyleciał w powietrze. Dziesięcotonowa wieżyczka pofrunęła w górę jak piłka tenisowa. Wybuchające pociski śmigły we wszystkich kierunkach. Jeden z członków załogi wydostał się z wraku i próbował iść, zostawiając za sobą krwawy ślad. Otrzymał kilka postrzałów, nim udało mu się chwiejnym krokiem przejść chodby dziesięć kroków.

Schulze ponownie przycisnął mikrofon do krtani.

* Wycofał się, wy kurwie łby! * ryczał. * Wracał na drogę!

Tym razem dowódca czołgu posłuchał rozkazu sierżanta i jego kierowca skierował pojazd na drogę, osłaniając swój odwrót granatami dymnymi.

* Dobrze... właśnie tak * wykrztusił z siebie Schulze. * Ty i czołg za tobą macie wycofać się do tamtych drzew... właśnie tak. Kiedy tam dotrzecie, każdy ma wyjść na pancernik z bronią ręczną gotową do walki i załatwić każdego z tych pieprzonych samobójców. Nasłuchujcie radia, zawołam was, gdy droga będzie oczyszczona... Koniec nadawania, wyłączcie z wozu!

Odsunął mikrofon od krtani.

* W porządku. Co teraz, pułkowniku Schulze? * doleciał z dołu głos Matza. * Jeśli dalsze

wydawanie rozkazów pójdzie ci równie dobrze, wkrótce przejmiesz dowodzenie od Sępa!

* Idź sobie naszczad w kamasze * warknął Schulze. * Też mógłbyś wydać tym żółtodziobom takie rozkazy.

* Będziesz jeszcze pudrować ich słodkie, małe tyłeczki, Schulze!

* Wsadź sobie własnego fiuta w tyłek i miej trochę rozkoszy * parsknął sierżant.

Ale nie było mu wcale wesoło. Wiedział, że batalion będzie potrzebował ocalałych czołgów, jeśli ma się wydostać ze zdradzieckiej wioski. Jednak dwa czołgi ukryte w tej chwili w lesie nie mogły przebyć kilometra dzielącego je od Belleville, jeśli nie pozbędą się samobójców z bombami, kryjących się po rowach. Najpierw trzeba ich zlikwidować i to było zadanie dla Schulzego.

* Słuchaj, Matz * spytał * dasz radę przejechać w poprzek tej drogi?

* Z zamkniętymi oczami.

* Ale pobocza są zdradzieckie.

* Małe piwko * stwierdził lekceważąco Matz. * Czy nie przejechałem przez Przesmyk Perekop* ski, chociaż błoto miałem po dziurki w nosie?

* W porządku, w porządku, bo zaraz dostaniesz orgazmu. Wiemy wszyscy, że jesteś najlepszym kierowcą w batalionie. A teraz powiem ci, co chcę zrobić. Przetniemy drogę pięćdziesiąt metrów dalej. Mam nadzieję, że te bydlaki z oddziału samobójców pomyślą, że ich atakujemy.

Ale my zawrócimy i przetoczmy się po nich. Wiesz, co mam na myśli, Matzi?

Matz wiedział. Gdziekolwiek ukryliby się partyzanci, mogą ich zmiażdżyć, jeśli będą zataczać coraz mniejsze koła, aż rozjadą krawędzie okopu i czołg całą masą wjedzie w ukrytych w nim ludzi.

* Hej! * zaprotestował jednak. * Sami możemy wpaść w gówno. Jeśli zaczniemy nasze pas de deux w podmokłym terenie, możemy zakopać się głębiej, niż chcemy.

* Wiem o tym, ty płaski mózdzku. Już o tym pomyślałem. Zrobimy to w ten sposób...

Schulze odrzucił drewniany młotek, zadowolony z pracy, jaką wykonał przy rurze wydechowej.

* W porządku * skinął głową w stronę młodego kaprała z pistoletem maszynowym, który ubezpieczał go przy pracy.

* Matzi, odpal jeszcze raz machineę!

Chłopak krzyknął coś w głąb wieżyczki. Kierowca nacisnął starter. Wielki silnik powrócił do życia za pierwszym razem. Jednonogi kaprał lekko nacisnął pedał gazu. Gruby strumień duszących spalin trysnął

w kierunku ziemi, tak jak planował Schulze.

* Powiedz im, że działa! * krzyknął do chłopaka na wieżycze, starając się przebid przez ryk silnika.

* A po co to, panie sierżancie?

* Zobaczysz na trasie. A teraz uważaj na tył naszego pojazdu bojowego, ja będę kontrolował przód. Jeśli pokaże się jakiś bękart z miną magnetyczną, natychmiast go zabij. Jasne?

* Tak jest, panie sierżancie!

Schulze wiedział, że teraz wszystko zależy od Matza. Jedna fałszywa zmiana biegów, moment zawahania czy źle dobrana prędkość i zostaną unieruchomieni jak drugi ze zniszczonych czołgów.

Nadeszła chwila Matza. Kaprał prowadził czołg z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę.

Popatrywał to na teren przed czołgiem, to na pobocze, aby znaleźć miejsce, gdzie może wskoczyć na drogę.

Trzysta metrów... czterysta... pięćset. Wtedy Matzi trafił. Nieznaczne wcięcie w pobocze drogi może dać punkt podparcia dla gąsienicy.

Kaprał obliznął spierzchnięte usta i zlustrował poład stabilniejszego gruntu. Musiał zrobić wszystko dość sprawnie, a w połowie podjazdu podwójnie zredukował bieg, i to szybko jak diabli, ściągnął prawy lewar do spodu i kooczył wszystko na najniższym biegu. Gdy będzie już prawie na drodze, musi ponownie zwiększyć obroty, przeskoczyć przez dwadzieścia parę biegów PzKpfw IV i przejechać szybko na drugą stronę drogi, nim miękki grunt rozsypie się pod ciężarem czołgu.

* Schulze?

* Co jest, małpi trutniu?

* Tam to zrobimy, na godzinie drugiej. Jedziemy!

Matz pchnął drążek na wyższy bieg i zwiększył obroty. Czołg zaczął nabierać prędkości, a jego pancierz wpadł w szaleńcze drganie. Na szczycie wieżyczki młody kapral i Schulze trzymali się kurczowo pokryw wjazdu i patrzyli na pobocze drogi.

* Jeśli wierzysz w tego Wielkiego Pana, który w białej koszuli siedzi na chmurze, to lepiej, żebyś zaczął się do Niego modlić * szepnął Schulze, ale w jego oczach nie było wesołości. Wiedział, co się stanie, jeśli Matzowi nie powie mu się manewr.

Czołg uderzył w pobocze. Przekładnia biegów trzęsa się straszliwie, gdy gaśienice wgrzyzały się w pochyłość. Drgania wzrosły tak bardzo, iż wydawało się, że rozniosą skrzynię biegów. Kierowca wytarł

pot z czoła i powoli policzył do pięciu. Silnik wył już resztkami mocy. Matz pochylił się do przodu, chwytając drążek spoconą dłonią. Nacisnął wielkie, metalowe sprzęgło raz, drugi, trzeci. Stękając, pociągnął przekładnię biegów na najniższe przełożenie.

Przez przerażającą chwilę nic się nie działo. Czołg chwiał się cicho, Matz mógł usłyszeć nawet swój szorstki, niespokojny oddech. Potem silnik ryknął całą mocą, gaśienice chwyciły podłoże i pojazd odzyskał manewrowość. Ruszyli dalej.

* Tak jest, ty sukinsynu! * zawołał Matz, a jego pomarszczoną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. * No chodź, weź to... weź to!

Czołg pochylił się na krawędzi drogi. Matz wrzucił wyższy bieg, prześlizgując się bez wysiłku przez kolejne przełożenia, i natychmiast wcisnął pedał gazu. Gdy wystrzelił do przodu, odezwały się karabiny maszynowe. Pociski zaczęły uderzać w pancierz, ale kierowca zupełnie się tym nie przejmował.

* Tak jest, ty sukinsynu! * ryknął Schulze, rozpoznając od razu odpowiedni grunt. * No to jedziemy.

Lepiej dla ciebie, abyś nas stąd wywiózł, albo wsadzę ci czubek mojego buta prosto w tyłek.

Nagle czołg niepokojąco pochylił się do przodu. Przekładnia biegów znowu zaczęła szaleńczo drzeć.

Czarna koszula spoconego ze strachu Matza przypominała moką ścierkę. Dreszcz strachu ściągnął

kapralowi skórę na plecach, bo pojazd zaczął się ześlizgiwać. Czuł się teraz jak na huśtawce, wiedział, że czołg traci przyczepność.

* Ty dziwko! * darł się. * Stara ruro z rozepchaną cipą... proszę, jedź, jedź!

Bardzo delikatnie odpuścił prawy drążek sterowniczy, niczym lekarz badający kobiece piersi. Słyszał, jak na zewnątrz ślizga się prawa gaśienica, i zdał sobie sprawę, że definitywnie się staczają.

Przez usta przelatywały Matzowi same przekleństwa. Naciskał delikatnie drążek hamujący gaśienicę,

zmuszając czołg do obrotu w prawo i w lewo. Nadal nic nie skutkowało. Popuścił trochę sprzęgło. To był

niebezpieczny ruch, mógł przynieść katastrofę. Ale Matz nie miał zamiaru dać się wciągnąć do rowu bez walki. Nacisnął trochę mocniej na drążek sterowniczy.

Wydawało się to niemal cudem, ale czołg odpowiedział na ten ruch i prawa gąsienica ponownie uchwyciła podłoże. Matz zmniejszył trochę nacisk i PzKpfw IV potoczył się naprzód, łatwo pokonując zdradzieckie pobocze.

* Co ty wyprawiasz tam na dole, ty tępą kulasie?! * Schulze zalał go potokiem słów. * Przez ciebie mam całą koszulę moką ze strachu. Chłopak obok mnie niemal się zesrał!

* Idź i wyszczaj się w rękawy * warknął Matz, ponownie wrzucając wyższy bieg, dzięki czemu zaczęli jechać trochę szybciej.

Pierwszy wykop pokonali bez kłopotów. Oddział samobójców, zamiast szukać bezpiecznego wyjścia z sytuacji, zdecydował się zostać w okopie i poczekać, aż czołg przetoczy się nad nimi. Była to typowa postawa piechurów, którzy mieli zamiar zaatakować pojazd pancerny. Francuzi nie wiedzieli jednak, że mają do czynienia z weteranami z Wotana, wydłuzonymi w brutalnej i bezlitosnej wojnie na froncie wschodnim. Zamiast przejechać nad wykopem,

Matz szarpnął lewym drążkiem sterowniczym do tyłu i czołg stanął na krawędzi sprytnie ukrytego dołu.

Można sobie wyobrazić, co czuli ludzie w nim ukryci, gdy ich płuca zaczęły wypełniać spaliny z silnika, bębniaki w uszach pękały od ryku maszyny, a w twarze uderzył palący podmuch. Partyzanci odruchowo zamykali oczy. Nie było tu miejsca na ucieczkę i litość. Kierowca obrócił czołg i zakołysał nim jeszcze raz, aż krawędź okopu zaczęła się osuwać i zasypywać ziemią przerażonych ludzi. PzKpfw IV szarpnął

gąsienicą raz jeszcze, mieląc ciała i ziemię pod sobą na krwawą papkę.

Grupa Maquis próbowała się wymknąć. Karabin maszynowy Schulzego zagrzecotał. Stalowy potwór przetoczył się bez litości po drgających jeszcze ciałach.

* Uważaj! * krzyknął nagle Matz.

* Co jest, Matzi?

* Na godzinie trzeciej, obok drzewa, jest dół z zabojadami.

* Widzę, Matzi * odparł Schulze, odnajdując wzrokiem wykop w środku bagiennej trawy. * Zostawiam ich tobie. Niech te bydlaki zobaczą, jak robisz z nich miazgę.

Kierowca ostrożnie skierował pojazd w stronę okopu. Pobledli ze strachu partyzanci, zdając sobie sprawę, jaki rodzaj śmierci zbliża się do nich, desperacko ostrzeliwali czołg. Schulze i młodzieńcy

kapral schowali się wewnątrz wieżyczki i słuchali, jak pociski odbijają się od pancerza. Nagle ostrzał zamarł.

Przestraszeni Francuzi zanurkowali na ziemię, gdy stalowe monstrum znalazło się nad nimi. Przysadzista sylwetka zasłoniła całkowicie wschodzące słońce i wypełniła wszystko oślepiającymi i duszącymi spalinami.

Matz ustawił czołg dokładnie ponad wykopem. Tym razem nie rzucał pojazdem na boki, aby brzegi wykopu się zapadły. Zamiast tego upewnił się, że gąsienice mocno trzymają się na gruncie, i zdjął nogę ze sprzęgła, przez co pojazd zaczął się powoli cofać.

* Co on robi? * spytał zaskoczony kapral.

* Jesteś ze wsi?

* Tak, z Bawarii.

* Co robisz, prostaczku, kiedy chcesz uwolnić swoje gospodarstwo od szczurów? * szczekał Schulze, gdy Matz dodał gazu.

* Duszę je!

* No właśnie * na twarzy sierżanta pojawił się szeroki uśmiech na myśl o tym, co spotkało ludzi pod czołgiem.

* Jezusie, Mario i Józefie! * wykrztusił chłopak, żegnając się na bawarską modłę, gdy zdał sobie sprawę, że rura spalinowa skierowana jest do dołu.

Pięć minut później oczyścili ostatni okop, pozostawiając resztę rozproszonych, śmiertelnie przerażonych partyzantów w spokoju. Większość z nich była sparaliżowana strachem, twarze mieli trupieblade, a usta pełne wymiocin.

Teraz dwóm pozostałym czołgom, ukrytym wśród drzew, można było dać znak, że droga do Belleville w końcu stanęła otworem!

* Co teraz, panie sierżancie? * spytał młody kapral, bojąc się spojrzeć za siebie, na ludzi, którzy zginęli w strasznych mękach.

* Nie będziemy ryzykować jazdy drogą i tymi poboczami * powiedział stanowczo Schulze. * Zostawimy ją dla tamtych dwóch czołgów.

Spojrzał przymrużonymi oczami na zasnutą dymem wioskę.

* Widzisz tamtą dróżkę? * Tak.

* Tam pojedziemy. Wygląda na to, że jest równoległa do naszej drogi głównej.

* A potem?

* Potem, chłopcze * odpowiedział Schulze z większym przekonaniem, niż czuł * odszukamy majora von Dodenburga i te kocie ogony z Pierwszej Kompanii!

SIEDEM

Major von Dodenburg, bez hełmu, z twarzą pokrytą potem i kurzem, kipiał z wściekłości. Połowa kompanii ochotników z Hitlerjugend leżała na pokrwawionym bruku ulicy. Był pozbawiony

jakiegokolwiek kontaktu z Sępem. A przestraszeni, ocalali żołnierze nie śmieli nawet stanąć na środku najniższego piętra, bo obawiali się, że partyzanci siedzący wyżej będą do nich strzelać przez cienki strop między kondygnacjami.

Major poszukiwał rozpaczliwie wyjścia z sytuacji, przyciskając plecy do brudnej kuchennej ściany. Nie można było ruszyć do ataku po prymitywnych drewnianych schodach, które prowadziły na piętro wypełnione francuskimi strzelcami. Ci ostatni byli świetnie zabarykadowani i bez litości zastrzelą każdego, kto postawi nogę chod na pierwszym stopniu schodów. Nie można było również próbować ataku z zewnątrz. Co jakiś czas Maquis omiatali ulicę seriami z angielskich stenów i każdy atak musiał

ściągnąć cały ogień wroga.

W koocu von Dodenburg zdał sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób wydostania się z pułapki, w którą wpadli * muszą zastosować normalną taktykę walk ulicznych i to pomimo tego, że rekruci zupełnie jej nie znali.

Pochylił się do przodu i powiedział z udawaną pewnością:

* Słuchajcie, herosi z Hitlerjugend, wdepnęliśmy w niezły bajzel. Ale wyrwiemy się z niego, jeśli będziecie mieć głowy na karku i zaczniecie działać systematycznie. Zrozumiano?

Po chwili wahania pokiwali głowami, a w oczach niektórych zapaliła się iskierka nadziei.

* Jesteśmy w ostatnim domu w tym szeregu i za ścianą na zewnątrz nie ma wrogów. Inaczej mówiąc, jest to martwa strefa ostrzału, tak im się przynajmniej wydaje * kłamał z pełnym przekonaniem. *

Rozumiecie?

Ponownie pokiwali głowami.

* Użyjemy tego terenu do przygotowania ataku. Mamy zamiar przedostać się przez tę ścianę. Jeśli w ścianie następnego domu nie będzie okna, musimy się przebić przez dach. Zdejmujemy kilka dachówek i zajdziemy ich od góry. Wtedy role się odwrócą.

* I to my będziemy na nich sikad, a nie oni na nas * wtrącił jeden z chłopaków.

* Dokładnie. A jak oczyścimy jeden dom ze szczurów, przejdziemy na dach następnego i zrobimy to samo. To będzie diabelnie zakręcona zabawa, jednak innego sposobu nie ma. Jesteście ze mną?

* Tak jest, panie majorze! * odpowiedział chór przejętych głosów.

* W porządku, ludzie po tej stronie muru mają wziąć sprzęt do kopania okopów i zacząć robotę. Reszta z was ma strzelać w sufity, aby zagłuszyć odgłosy kucia w murze. Nie chcę, żeby żabojady zorientowały się zbyt szybko. Niech sobie myślą, że siedzimy grzecznie w pułapce, dopóki nie zajmiemy lepszych pozycji, a wtedy sprawimy im taki ból głowy, jakiego w życiu nie mieli.

Von Dodenburg przedostał się ostrożnie przez wyburzony fragment muru i stanął na nogach z pistoletem maszynowym w dłoni. Za jego plecami Maquis nadal ostrzeliwali główną ulicę, która teraz wydała się całkowicie opuszczona.

Spojrzał na dom obok i głęboko odetchnął z ulgą. Ściana była pozbawiona okien. Szybko zarzucił empi na szyję.

* Tak cicho, jak tylko potraficie * wyszeptał do ludzi stojących za nim w pokoju pełnym kwaśnego dymu i czekających w napięciu na dalsze rozkazy. Ich kurtki mundurowe pokryte były kawałkami tynku, który spadł z podziurawionego kulami sufitu.

* Idę na górę, wy za mną. Jak tam wejdziemy, będzie po sprawie.

Major wyciągnął się do góry, aby uchwycić belkę, która wystawała z białego kamiennego muru. Ledwie śmiać oddychać, podciągnął się w stronę dachu. Przez chwilę balansował w powietrzu, by wreszcie przycisnąć smukłe ciało do zewnętrznej ściany wyższej kondygnacji. Teraz tylko ta ściana oddzielała go od partyzantów. Jeśli go usłyszą, nic ich nie powstrzyma przed rozerwaniem go seriami z pistoletów maszynowych.

Jeszcze raz podciągnął się do góry, chwytając okap do suszenia tytoniu. W ręku został mu kawałek spróchniałego drewna. Przez chwilę miał wrażenie, że cała drewniana konstrukcja suszarni rozpadnie się na kawałki z wielkim hukiem. Wyczuwał gorzki zapach suszonego tytoniu. Podciągnął się na szczyt suszarni i wdrapał na dach pokryty ceramicznymi dachówkami.

Przez moment leżał na rozgrzanym porannym słońcem dachu, starając się złapać oddech, i sprawdzał, czy ktoś zauważył go z dołu. Ściągnął buty i w samych skarpetkach podczołgał się do komina, by tam zostawić obuwie.

Pierwszy człowiek ukazał się ponad dachem suszarni. Major pomógł mu dostać się na dach i na migi pokazał, aby zdjął buty.

Gdy tylko zebrało się ich czterech na dachu, von Dodenburg zdjął jedną dachówkę i odłożył ją na bok.

Usunęli tyle dachówek, że powstał

otwór metr na metr. W nozdrza uderzyła ich stęchlizna od stu lat niesprzątanego strychu.

Major z obrzydzeniem pokręcił nosem, pochylił głowę i zajrzał ostrożnie na dół. Mógł ujrzeć poczerńiałe połączenia dachu i krokwi, a pod nimi cienki tynk sufitu, na którym wyraźnie odznaczały się drewniane belki podtrzymujące konstrukcję. Były stare i kruche, jednym kopnięciem można je było połamad i zarwad cały sufit.

Pokazał ludziom, aby zbliżyli się do niego, po czym wyszeptał:

* Weźcie granaty, zrobię dziurę w suficie, a wy je tam wrzucicie. Potem policzycie do czterech i zaczniecie strzelać.

Von Dodenburg wiedział, jakie niebezpieczeństwo niesie tego rodzaju działanie, jeśli wykonują je niewyszkoleni ludzie, ale nie miał innego wyboru.

* Upewnijcie się * dodał ostrzegawczo * że wszyscy stoimy plecami do pleców. W ten sposób * zmusił się do uśmiechu * będziemy strzelać do zabójców, a nie do siebie!

* W porządku, cofnijcie się * nakazał i kopnął obcasem pomiędzy belkami stropu.

Konstrukcja rozpadła się tak łatwo, że stracił równowagę i niemal wpadł do środka. Pokazała się spora dziura.

* Hunowie! * rozległ się okrzyk zaskoczonych ludzi poniżej.

Jeden z chłopaków wrzucił ostrożnie w otwór granat trzonkowy. Potem wspólnie policzyli do czterech. Pokój poniżej rozdarła silna eksplozja. Siła podmuchu uderzyła majora w twarz z wielką mocą.

Chwilę później cała czwórka skoczyła w dół i zaczęła strzelać z dziką zapalczywością. Wnętrze pokoju zamieniło się w nieprawdopodobny chaos. Zabici i umierający Maquis leżeli wszędzie. Zostali kompletnie zaskoczeni. Jeden z nich próbował wstać, ściskając w pokrzwawionych rękach stena. Z prawie beztróską brutalnością major trzasnął go kolbą pistoletu maszynowego w usta. Stojący obok von Dodenburga chłopak, ten, który wrzucił granat, przyłożył lufę karabinu do czaszki leżącego Francuza i pociągnął za spust.

* Dość, już wystarczy * rozkazał szorstko von Dodenburg, obracając ciało najbliższego zabitego czubkiem buta.

Większość twarzy ofiary została urwana siłą wybuchu granatu. Był martwy, tak jak reszta Francuzów leżących w krwawej mazi.

* Ty * rozkazał major chłopakowi * idź po nasze buty. Reszta pomoże usunąć barykadę.

Pochylił się i chwycił drewniany pniak, który klinował starą chłopską skrzynię blokującą wejście na schody.

* Niech reszta ludzi szybko tu przyjdzie. Mamy piekielnie dużo roboty, jeśli chcemy oczyścić ulicę, a potem ruszyć w stronę baterii.

Ale von Dodenburg się mylił. Dziesięć minut później, po oczyszczeniu kolejnego domu, gdy robił

rozpoznanie na dachu trzeciego budynku, usłyszał trudny do pomylenia chrzęst czołgowych gąsienic.

Uniósł się ostrożnie i spojrzął. Serce podskoczyło mu z radości, gdy rozpoznał przysadzistą sylwetkę PzKpfw IV. Patrzył przez chwilę na czołg, który zbliżał się ostrożnie do wsi polną drogą. Partyzanci też zauważyli nowego wroga i zaczęli go natychmiast ostrzeliwać, jednak pociski karabinowe odbijały się bezradnie od grubych, pancernych płyt jak piłeczki pingpongowe.

Major przygryzł dolną wargę, próbując przeanalizować sytuację. Chociaż czołg włączył się do akcji, a on nie widział załogi, instynktownie czuł, że tylko dwóch ludzi mogło przedrzeć się przez pułapki Maquis rozmieszczone na trasie przemarszu Niemców. Był to z pewnością ten duży hamburczyk Schulze i jego mały kumpel Matz. Zakrwawioną i pokrytą kurzem twarz oficera rozjaśnił uśmiech, jakby zobaczył całą dywizję Leibstandarte pod dowództwem samego Seppa Dietricha, idącą mu na pomoc.

Położył się na plecach i wy dostał pistolet sygnałowy. Szybko go załadował i posłał w powietrze dwa szybkie strzały. Pierwsza flara rozświetliła teren chaotycznych walk trupią zielenią. Po chwili eksplozja drugiego pocisku

pokryła okolicę srebrną poświatą. Czołg natychmiast zmienił kierunek jazdy, a von Dodenburg musiał

gwałtownie chować się pod osłonę domu, bo rozwścieczeni partyzanci skierowali w jego stronę serie z broni maszynowej. Dachówki wokół niego dosłownie wystrzeliwały w powietrze, wybijane pociskami.

* Jest Pierwsza! * zawołał podekscytowany Schulze, rozpoznając zieloną i srebrną flarę sygnałową von Dodenburga. * Tam, na lewo!

Potem przejechał kilkoma seriami z czołgowego karabinu maszynowego po otaczających ich szopach, w których kryli się partyzanci.

* Wiem, wiem! * zawołał gniewnie Matz. * Przecież, kurwa, nie jestem ślepy!

Ściągnął lewy drążek sterowniczy, zmuszając czołg do obrotu w miejscu. Ruch był na tyle gwałtowny, że Schulze wyrzucił głowę o pancerz. Zaraz poczuł w ustach słonawy smak krwi.

* Na wielką dziwkę Batszebę! * ryknął Schulze. * Uważaj, co robisz, ty zboczony lacho* ciągu, albo wyrwę ci ten drewniany kikut i zrobię z twojego mózgu budyo!

Matz zupełnie go nie słuchał. Dwieście metrów przed nimi jeden z Maquis wyskoczył na ścieżkę z jakimś ogórkowatym kształtem na ramieniu.

* Co on targa, Schulzi? * zapał.

* To Piat, brytyjski Tommy Piat! * ryknął sierżant, rozpoznając od razu prymitywną angielską bazookę. *

Jak nam go wsadzi w gacie, na pewno stracimy dziewictwo!

Szybko skierował lufę armaty na samotny cel. Dwa trójkąty celownika spotkały się na sylwetce strzelca.

Nacisnął pedał spustowy. Armata kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów ryknęła ogłuszająco. Wystrzał

cofnął lufę, z zamka której buchnęły do wnętrza zamkniętej wieżyczki gorące, kwaśne opary. Pocisk rozprysko* wy uderzył w ziemię tuż przed odważnym Francuzem. Gdy dym się rozwiął, po strzelcu pozostała tylko wielka dziura w ziemi.

* Co ty wyczyniasz, Schulze? * rechotał Matz. * Strzelasz do pojedynczego piechura z działa czołgowego?

Czy ty nie wiesz, że taki pocisk kosztuje ze dwadzieścia marek?

* Skoncentruj się na prowadzeniu tego wózka dziecięcego albo wsadzę ci następny taki pocisk w dupę!

Grupka partyzantów wyskoczyła z szop z minami magnetycznymi w rękach. Schulze natychmiast posłał w ich stronę serie ze sprzężonych karabinów maszynowych. Przy ośmiuset nabojach na minutę ci ludzie nie mieli szans dotarcia do niemieckiego czołgu. Chwilę później stalowy kolos przetoczył się po leżących ciałach, zamieniając je w papkę złożoną z ziemi, krwi i porąbanego niczym wołowina mięsa.

Matz skierował czołg w równoległą uliczkę i aż jęknął, gdy zobaczył, że była ona zasłana ciałami żołnierzy Pierwszej Kompanii, ubranymi w charakterystyczne kurtki maskujące. Wyglądało to, jakby szalenciec pomalował dywan w jaskrawe wzory.

* Jezusie i Mario * wykrztusił kapral. * Pierwsza Kompania jest w cholernych opałach!

Schulze potaknął posępnie, ale zaraz twarz mu się rozjaśniła. Jakies pięćdziesiąt metrów przed nimi wyskoczyła z okna pierwszego piętra znajoma sylwetka. Był to von Dodenburg, który machał gorączkowo pistoletem maszynowym w stronę domu.

Matz zorientował się, o co chodzi. Obrócił wóz, pchnął dźwignię zmiany biegów przez cały zakres przesuwu. Z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę wyrznął całą mocą w parter chałupy. Cegły i belki spadały z wyższych pięter, a kawałki tynku pokryły pancierz jak ciężki deszcz. Czołg się zatrzymał, silnik zaczął chodzić na jałowym biegu, po czym zgasł. Pokryta kurzem i kawałkami tynku lufa czołgowa spoglądała złowieszczo na ulicę przez coś, co jeszcze niedawno było oknem.

* W imię trzech diabłów! Cieszę się, że was widzę! * radował się major von Dodenburg, gdy czołgiści otworzyli klapy włazów.

* Wpadliście w niezły bałagan, prawda, panie majorze? * spytał Schulze. * Niektórym ludziom nie powinno się pozwalać na działanie na własną rękę!

* To prawda. Oj, jakaż prawda! * potwierdził oficer, a jego uśmiech zniknął. * Wpakowaliśmy się w

niezły bajzeł. Musicie zająd się pierwszym piętem każdego budynku po drugiej stronie ulicy, ale uważajcie, bo z kolei nasi chłopcy są na parterze większości domów.

* Będziemy tak ostrożni, jakbyśmy sikali z daleka do wiadra * powiedział pewny siebie Schulze, klepiąc lufę armaty czołgowej. * Dobra wasza, zabojady! * ryknął, gdy młodziutki kapral ładował pierwszy pocisk do komory zamkowej. * Przygotujcie się na wizytę w waszym głównianym raj!

* I pospieszcie się! * krzyknął major, gdy Schulze obracał wieżyczkę czołgu. * Chcę mieć tę ulicę oczyszczoną w pół godziny!

Dalsze słowa zagłuszył wystrzał z armaty, która w ten sposób powróciła do życia. Pocisk uderzył w najdalszy dom, zamieniając go w kupę gruzu. Gdy ściany rozpadły się, oszołomieni Ma* quis wypełzali na ulicę, gdzie natychmiast dopadały ich serie z broni maszynowej żądnych zemsty esesmanów.

Piętnaście minut później Schulze wystawił spoconą, roześmianą twarz ponad otwór wjazdu i, parodiując salut, zwrócił się do von Doden* burga.

* Czy pan major pozwoli sobie zameldowad, że ulica jest oczyszczona?

* Spierdalaj! * powiedział major, a resztko ocalałych piechurów chroniła się pod osłoną pancerza samotnego czołgu.

Droga do baterii Goebbelsa znowu stała otworem.

OSIEM

Było gorąco jak w piecu. Nad spokojnym morzem rozpościerało się niebo zasnuwane dymem, przez który przeświecała tarcza słońca wyglądająca jak miedziana moneta.

Na wybrzeżu niemiecka piechota nasłuchiwała warkotu i ryku silników nieprzyjacielskich samolotów.

Wszyscy żołnierze wpatrywali się w przestrzeń przed sobą, czekając na nadejście wroga.

Wszystko było przygotowane na jego przyjęcie. Wzdłuż kilometrowej linii umocniono przebiegały dwa pasy zasieków z drutu kolczastego, z których drugi był wysoki na dwa metry. Wysunięci obserwatorzy artyleryjscy lustrowali spokojne, zielone morze za pomocą lornetek. Za linią zasieków, w

przedwojennych domach i hotelach, utworzono punkty oporu. Piechurzy w napięciu zaciskali dłonie na karabinach i pistoletach maszynowych, czekając na rozkaz otwarcia ognia, który miał nadejść z punktu dowodzenia umieszczonego w byłym kasynie.

Trzy mile w głąb morza wielkie zbiorowisko niewielkich statków ustawionych w olbrzymie półkole płynęło majestatycznie z prędkością dziesięciu węzłów ku swemu przeznaczeniu. Pięć tysięcy ludzi czuło nadchodzący przełom. Dla tego dnia przebyli długą drogę * z zimnych, anonimowych ulic kanadyjskich miast wschodniego wybrzeża, ze spalonych letnim słońcem prowincji zachodnich, z nad wielkich jezior pustych i bezimiennych jak dzieło ich powstania. Wielu z nich czekało na ten dzień od trzech lat. W koocu dotarli tutaj i nagle cała dywizja została pochwycona w kleszcze niepokoju. Napięcie było znacznie większe niż normalnie, gdy pierwszy raz idzie się do walki. Żołnierzom wydawało się, że ten uścisk chwycił ich lodowatymi palcami i unieruchomił, czuli tylko bicie serca jak ludzie czekający na okazję i wiedzący, że będzie ona pierwszą i ostatnią. Szli na spotkanie śmierci, każdy oddzielnie i wszyscy razem.

Naraz jakby niewidzialna ręka przełączyła gigantyczny kontakt. Błysk światła rozdarł niebo i rozpoczęło się wielkie bombardowanie. Działa okrętowe ryczały, mózdzierze głucho mlaskały, w niebo pomknęły rakiety, znacząc swój szlak snopami iskier. Czerwone, zielone i białe smugi pocisków przesywały spokojną wodę. Ze wszystkich statków wystrzeliły w powietrze flary oświetleniowe. Wydawało się, że bóg wojny wciągnął pierwszy, płomienisty oddech.

* Achtung! * krzyčili podnieceni niemieccy podoficerowie.

Żołnierze zaczęli celować. Oficerowie dmuchnęli w gwizdki, gdy pierwsze barki desantowe wyłoniły się z dymu, a obserwatorzy artyleryjscy wrzeszczeli rozpaczliwie w słuchawki telefonów:

* Feuer!

Rampy desantowe uderzyły z chrzęstem w kamienne podłoże, a postacie w mundurach khaki zaczęły przemykać po żwirowej stromiźnie* nie. Snajperzy otworzyli ogień, starannie dobierając cele.

Oficerowie, łącznościowcy i podoficerowie zaczęli padać jak muchy na kamienistą plażę. W ciągu kilku minut połowa oficerów Royal Regiment of Canada została zabita lub umierała ledwie kilka metrów od statków desantowych.

The Royal Hamiltons doszli do pierwszej linii zasieków. Nowe uderzenie ognia maszynowego kosiło żołnierzy, odrzucając ich w śmiertelną pułapkę drutu kolczastego. Ich bezbronne ciała drgały bezładnie niczym strachy na wróble, trafiane kolejnymi kulami. Piechurzy z The Royal Highland Light Infantry of Canada szarżowali prosto w deszcz śmierci. Ich szeregi, uderzane ze wszystkich stron przez świszczące pociski, desperacko wyrąbywały sobie drogę przez plażę. W ciągu kilku minut dwie kompanie z tego pułku zostały zredukowane do małych grup okaleczonych i roztrzęsionych żołnierzy. Wszyscy oficerowie i podoficerowie zginęli, więc dowództwo przejmowali przypadkowi ludzie.

Według planu w pierwszej fali desantu miały wylądować cztery grupy czołgów Churchill. Ale jak tylko z dymu wyłonił się szósty statek desantowy, obrońcy skoncentrowali na jego kadłubie ogień całej artylerii, jakby wiedzieli

o śmiertelnie groźnym ładunku, który przewoził. Na pokładzie okrętu strzelcy z Toronto Scot* tish poświęcali nadaremnie swe życie, próbując swymi żalosnymi karabinami maszynowymi Vickersa powstrzymać ostrzał wroga. Statek kołysał się i obracał pod wpływem kolejnych trafień, a stosy ciał Kanadyjczyków rosły na pokładzie niczym worki piasku.

Przewożący czołgi statek desantowy numer 145, podziurawiony jak sito, z płonąca maszynownią, dotarł

do plaży. Udało się z niego wylądować tylko trzy Churchille, nim zatonął. Statek numer 127 płonął od dziobu do rufy. Cała załoga została zabita. Porzucając ster, dwóch ocalałych kanonierów z Toronto Scottish broniło się

i czyniło, co mogło, aby wylądować sprzęt. Czołgi zaczęły z chrzęstem wyjeżdżać z płonącego wraku.

Podpułkownik John Andrews, dowódca Calgary Highlanders, obserwował rzeź swego batalionu z twarzą szarą jak popiół i szeroko otwartymi oczami. Wiedział jednak, że nie ma czasu na rozpacz. Jego własna barka desantowa numer 125 skupiła na sobie całą furję ostrzału

Niemców. Płynąca obok barka numer 214 została ponownie trafiona i zaczęła dryfować. Statek Andrews został dzięki temu osłonięty przez łódź, na pokładzie której dowódca brygady, brygadier Lett, leżał poważnie ranny, a obok niego umierał pułkownik Parks* Smith.

Andrews ostatni raz spojrzął w niebo oraz na wojowniczo powiewający proporzec bitewny, a potem zatrzasnął wodoszczelny właz czołgu, dzięki któremu pojazd mógł pokonać wodę głęboką na sześć stóp.

Jak tylko wpłynął w obszar strasznego wybrzeża, podpułkownik będzie mógł wydać rozkaz

„Naprzód”.

Trafiany raz po raz statek zadrżał. Churchill* lew szarpnęło do przodu. Uderzony pociskiem, który przebił

pomost desantowy, czołg zanurkował w wodę o głębokości ośmiu stóp. To był szalony moment paniki, gdy woda zalewała zielone wnętrze pojazdu.

* Uwaga, wszyscy na zewnątrz! * rzucił krótko Andrews.

Członkowie załogi szybko otworzyli luki ewakuacyjne i tak, jak marynarze opuszczający tonący okręt podwodny wypłynęli na powierzchnię i popłynęli w stronę brzegu. Andrews wychodził ostatni.

* Wyskakuj! * krzyknął i skoczył w spienioną gejzerami wybuchów wodę.

Szalupa okrętowa ruszyła w jego kierunku, jej działka błyskały ogniem wystrzałów. Krztuszący się i przemoczony podpułkownik został

wciągnięty na pokład. Łódka wykonała dziki zakręt, zalewana potokiem pocisków. Chwilę potem, ogarnięta płomieniami, osiadła na przybrzeżnej mieliźnie. Wszyscy, którzy znajdowali się na jej pokładzie, zginęli. Kilka jardów dalej wyzywający, jasny proporzec nadal zawadiacko powiewał na wietrze z wieżyczki czołgu. Gdy nadszedł odpływ, pojazd wyłonił się z wody i schnął na wilgotnym piasku jak szyderczy symbol bezsensowności całej akcji.

Nie wszystkie Churchillle z Calgary Highlan* ders przepadły na morderczej plaży. Ociekając wodą i błyskając wystrzałami z luf karabinów maszynowych, część z nich przedarła się przez kamienistą plażę oraz zasieki z drutu kolczastego i z grzechotem gąsienic wjechała na nadbrzeżną promenadę. Pojazd jadący na czele otrzymał bezpośrednie trafienie i tylko podskoczył w miejscu, zatrzymał się, a biały dym zaczął gwałtownie wydobywać się z jego silnika.

Następująca za nim pojedyncza tankietka zwiadowcza zahamowała, a kolejny czołg wjechał na nią, niszcząc tylny zderzak. Tankietka zadrżała i została pchnięta do przodu, a jej załoga, ratując życie, pospiesznie skierowała wóz na bulwar marszałka Focha. Churchill ruszył za nią, rozbijając niemiecką obronę. Posyłał pocisk za pociskiem w okoliczne domy i hotele. Za nim podążało kilka następnych pojazdów. Kiedy ponura rzeź na plaży trwała w najlepsze, pojazd zwiadowczy w towarzystwie trzech czołgów z powiewającymi proporczykami szwadronu C Cal* gary Highlanders z chrzęstem minął kasyno i ruszył na północ, w kierunku baterii Goebbelsa.

DZIEWIĘD

* Co nowego, Mountbatten? * Churchill nalał sobie drugą poranną whisky i spojrzał z zawadiacko wysuniętą dolną szczęką na admirała.

Na zewnątrz cichło wycie syren, a stukot działek przeciwlotniczych wyraźnie rozległ się w okolicy Regent's Park.

* Źle, sir * odpowiedział lord, siadając na zaoferowanym mu krześle.

* Jak bardzo?

Mountbatten rozłożył plik papierów, który przyniósł ze swego sztabu.

* Calpe donosi, że na plaży Niebieskiej, Puys, nie zanotowano żadnego postępu. The Royal Regiment of Canada w zasadzie nie istnieje. (Okręt, na którym znajdowało się dowództwo całej operacji * HMS

Calpe.)

Admirał zawahał się, ale Churchill zaraz mruknął.

* Dalej, Mountbatten, mów wszystko!

* Sir! W samym Dieppe oraz na plażach Czerwonej i Białej, Essex Scottish i Royal Hamilton

Light Infantry walczą rozpaczliwie o utrzymanie się przy życiu pod wzrastającym ostrzałem

nieprzyjaciela. Rzuciliśmy do walki wszystkie rezerwy * Fusiliers Mont Royal i Royal Marine Commando *

i obydwa oddziały poniosły bardzo ciężkie straty. Jediną dobrą informacją jest to, że Czwarte Komando Lovata, przy względnie niedużych stratach, zniszczyło baterię Hessa i jest już w drodze powrotnej do Anglii.

(Lord Lovat był dowódcą Czwartego Komanda.)

Churchill wlał w gardło whisky. Niemal automatycznie napełnił szklankę kolejną porcją alkoholu z butelki stojącej na biurku i rozcieoczył ją wodą sodową. Nie proponował napitku Mountbattenowi, bo wiedział, że admirał tak czy inaczej odmówi * była dopiero jedenasta przed południem.

Premier ogrzewał przez chwilę szklankę pulchnymi dłońmi, po czym spytał:

* A co z baterią Goebbelsa?

Mountbatten podniósł nieco głos, chcąc przebić się przez grzechot artylerii przeciwlotniczej strzelającej do szybkich niemieckich bombowców.

* Tam również jest źle. Mamy szczątkowe informacje, ale na Calpe uważają, że komando wpadło na łódzie patrolowe. Obawiam się, że musieli ponieść ciężkie straty. Krótko mówiąc, sytuacja gwałtownie się pogarsza. Przyznajmy, że wkrótce te siły musimy... * wzdrygnął się i nie skooczył wypowiedzi.

* Wycofad?

Admirał z przygnębieniem pokiwał głową.

* A jaka jest twoja ocena strat?

* Obecnie mamy tylko przybliżone wyliczenia. Ale dwie godziny temu dywizja kanadyjska miała połowę zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Myślę, że jakieś cztery do pięciu tysięcy ludzi.

Premier powoli skinął głową. Na zewnątrz ostatnie samoloty niemieckie znikły z nieba. Armaty w Regent's Park powoli milkły. Wszystko wracało do porządku, a Churchill mógł się swobodnie przejść po swojej siedzibie.

* W porządku, Mountbatten * powiedział powoli * możesz ich wycofać. Rozpocznij operację Vanquish, już dość się nacierpieli. (Kryptonim operacji wycofania się z Dieppe.)

* Po co to zrobili? * pytał retorycznie Hitler, patrząc na bladą, chytrą twarz Jodla. * Dlaczego na początek lądowali w Dieppe?

Generał* pułkownik Jodl, szef sztabu armii Hitlera, otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale wódz mu to uniemożliwił.

* Ponieważ, mój drogi Jodl, ten stary lis Churchill chciał, aby doszło do rzezi. Pragnął ułagodzić Rosjan i pokazać temu Żydowi Roose*veltowi, że nic więcej nie mógł zrobić. Popatrz na te śmiecie.

Podniósł okulary w stalowych oprawkach i szybko przeczytał przechwyconą w Berlinie informację z rozgłośni BBC.

* „Dzisiaj w godzinach rannych został przeprowadzony najazd na Dieppe, na terenie okupowanej Francji.

Operacja rozwija się, a dalsze komunikaty zostaną podane, gdy dotrą do nas pełniejsze informacje. W międzyczasie przekazano Francuzom zamieszkującym okoliczne tereny, że to jeszcze nie jest inwazja".

Nabrał więcej powietrza.

* Cóż za żalostny styl! Pochylił ponownie głowę.

* Albo to, komunikat numer dwa: „Oddziały biorące udział w operacji wylądowały we wszystkich wyselekcjonowanych punktach. W wielu miejscach został przełamany silny opór. Na lewym skrzydle nasze oddziały zostały początkowo odparte, ale po przegrupowaniu podjęły kolejny atak na plażę.

Oddziały na prawym skrzydle zdołały zdobyć wyznaczone cele, wśród których znajdowała się sześciolufowa bateria dział i magazyny amunicyjne. Obecnie powracają na okręty desantowe. W centrum, gdzie wylądowały jednostki pancerne, trwają ciężkie walki..." * tu przerwał i rzucił pogardliwie depezę na ziemię.

Jodl pochylił się i podniósł ją; był z natury pedantyczny.

* Jakie to dziecinne! * krzyczał Hitler. * Czy Anglicy naprawdę wysłali dywizję piechoty,

by wysadzić w powietrze tuzin dział? I dlaczego w tym rajdzie wziął udział cały batalion ich najnowszych czołgów? Pytam cię, Jodl! Nie, Churchill został do tego zmuszony. Od początku tak zaplanował tę operację, aby zakończyła się klęską. Przecież ludzie Canarisa już w maju bez problemu zdobyli w Anglii informacje o tej operacji.

Przerwał na chwilę, by ochłonąć.

* Mój Boże * westchnął. * Mój Boże!

* O co chodzi, wodzu?

* Myślisz, że tak mogło być? Nie, to nie jest możliwe. Nawet ten żłopiący whisky cynik nie mógł być tak zimnokrwisty!

* Zimnokrwisty, żeby co? * spytał Jodl.

* Tak zimnokrwisty * w głosie Hitlera dało się wyczuć niezwykły podziw * żeby od samego początku z rozmysłem ujawniał nam informacje o całej operacji!

DZIESIĘD

Niemieckie pozycje rysowały się wyraziście na tle czerwonej tarczy słońca. Tu i tam szkarłatne języki ognia przebijały blaknącą czerń. Nawet po godzinie ostrzału z kaemów i sporadycznego ognia z moździerzy Niemcy w baterii Goebbelsa nadal nie mogli się zorientować, z którego kierunku są atakowani przez komandosów.

Lord strzelił ponownie i poczuł z satysfakcją kopnięcie kolby karabinu. Obserwował, jak kawałek betonu odskakuje koło wrogiej strzelnicy, wyrwany uderzeniem pocisku.

* Kiepsko.

* Bez przesady * skomentował jeden z ludzi. * Niewiele więcej można wystrzelać na tym dystansie.

Pułkownik roześmiał się.

* Myślę, że masz rację, Curtis. Ale oni nadal mają schowane mózgownice w kanciastych łbach i wcale nie strzelają z tych swoich pieprzonych dział.

* Ciekawe dlaczego... * zastanawiał się Snot* ty, kryjąc się w dole obok dowódcy.

* Nie wiem dokładnie, chłopcze. Jednak mogę zgadywać.

* Tak?

* Coś poszło nie tak z operacją na morzu i okręty nie podpłynęły tak blisko brzegu, jak przewidywano *

odpowiedział lord, strzelając od czasu do czasu w białą plamę twarzy, która co jakiś czas ukazywała się w okienku strzelnicy.

Twarz zniknęła, a Curtis krzyknął:

* Oko po byku, sir!

* Tak * zgodził się dowódca. * Nieźle, jak na takiego małego gościa jak ja, muszę to przyznać.

* W takim razie dlaczego tu siedzimy, sir? * dalej dopytywał się Snotty. * Niech pan nie myśli, że jestem zestrachany, sir, albo coś podobnego. Tylko jestem ciekaw, co mamy tutaj do zrobienia, jeśli ta bateria nie strzela do naszych ludzi.

* Wiem, że się nie boisz, a nawet gdyby tak było, wszyscy się boimy. Wiesz, że ewakuacja jest przewidziana dopiero na godzinę trzynastą. Ok, wtedy Royal Navy rzeczywiście podejdzie bliżej wybrzeża i chyba sobie nie wyobrażasz, że szkopy mogą spudłować z tych dział na tak krótki dystans.

Wzruszył spokojnie ramionami i zaraz potem oddał strzał.

* Wydaje mi się, że wtedy możemy być bardzo przydatni.

* Ale co potem? * naciskał dalej chłopak.

* Brr, nie będziesz nawet w połowie tak zmartwiony jak teraz. Co będzie potem... może ktoś zgadnie.

Wiesz, jak to się mówi * gdyby ciotka Fanny miała wąsy, to by była wujkiem Joe. Będziemy się martwić, gdy nadejdzie na to czas.

Lecz ten czas już nadszedł. Ledwie lord skooczył mówić, na wysokości drzew pojawił się Spitfire lecący zygzakiem z szybkością czterystu kilometrów na godzinę. Latał w tę i z powrotem nad wybrzeżem, na lewo od komandosów, z jego smukłego kadłuba w wielkim nieładzie wylatywały kanistry. Niemal natychmiast ku niebu wniosła się wielka zasłona białego dymu. Kula słoneczna zniknęła z pola widzenia, a cała bateria została zasłana całunem dymu.

Wydawało się, że właśnie na to czekali niemieccy artylerzyści. Cynkowe światło błysnęło z najdalszej wieży artyleryjskiej. Pomarańczowy błysk i wielki obłok czarnego dymu. Szaleoczy huk rozdarł powietrze.

* O to bydlakom chodziło! * zawołał lord i odruchowo otworzył usta, gdy uderzył go w twarz podmuch gorącego powietrza. * Chodźcie, chłopaki, zobaczmy, co możemy zdziać. Celujcie dokładnie, jak powiedziała pewna kurtyzana do biskupa.

Wzięli się ochoczo do roboty i zaczęli strzelać ze wszystkiego, co mieli, w kierunku stanowisk artyleryjskich. Wszędzie w powietrzu fruwały kawałki betonu, naboje żałośnie jęczały. Dochodziły

do nich regularne tąpnięcia wystrzałów

moździerzowych, granaty mknęły w kierunku kolejnej wieży, odrywając od niej wielkie kawały żelbetu.

Pułkownik pochylił karabin.

* Pieprzyd taką robotę. Tak nic nie zdziałamy.

Kucnął chwilę na piętach, Curtis bez przerwy posyłał serie pocisków z kaemu w kierunku niemieckich pozycji. Wreszcie lord podjął decyzję.

* Snotty, przejmujesz na razie dowództwo. Ja muszę naradzić się ze swoim zastępcą.

Nie czekając na reakcję młodego porucznika, chwycił karabin za lufę i pomknął chyłkiem w kierunku okopu, w którym tkwił Freddy Rory* Brick i jego ludzie.

* Freddy * wysapał, przykucając obok pozbawionego czapki majora. * To tylko zwykła heca, robimy tyle dobrego, co goście czekający na łyk octu.

* Co?! * zawołał Freddy, próbując przekrzyczeć huk wystrzałów.

* Do diabła, czy nie mówię po angielsku? Cholernie dobrze marnujemy nasz czas! Dobrze, że trzymamy ich w wieżach, ale nie możemy powstrzymać ich ostrzału!

* Zgadzą się! Ale co pan proponuje?

* Koncentrację i atak na jedną z wież. Wszystko albo nic. Jeśli zdobędziemy jedną z nich, wracamy do gry. Możemy skierować jej działa przeciwko drugiej wieży.

* Ryzyko, sir?

* Oczywiście, że to ryzykowne. Tak samo jak ryzykowne jest przechodzenie przez skrzyżowanie w Londynie. Ryzykowne jest pochylenie się i podniesienie piórka z ziemi, bo możesz dostać kopa w tyłek.

No i co z tego? Chyba nie chcesz żyć wiecznie, Freddy, prawda?

Potem dał majorowi przyjacielskiego kuksaoca.

* No, co?

* Jestem z panem, sir! * uśmiechnął się oficer.

* W porządku, nie ma czasu na zabawę w taktykę. Idziemy z trzech stron. Jeśli nam się poszczęści, będą tak zajęci swoimi lufami, że nas nie zauważą. Jeżeli nie będziemy mieli szczęścia, zrobią z nas ślicznych nieboszczyków. Nadążasz?

* Oczywiście, sir!

Pięć minut później grupa komandosów była gotowa do akcji. Lord czekał w napięciu, dopóki nie zobaczył, że w wieżach uniosły się lufy dział, aby ponownie wystrzelić w kierunku niewidocznych statków.

* Przygotowad się! * ryknął.

Ludzie jeszcze mocniej ścisnęli broo mokrymi od potu dłoomi. Lord podniósł się na kolana, a jego podarty kilt wyglądał jak zakurzona szmata.

Działa zagrzmiały.

* Teraz! * zawołał mały pułkownik, przekrzykując huk wystrzałów.

Komandosi runęli do przodu, strzelając z biodra w kierunku kanonierów bezpiecznie

rozłokowanych za żelbetową osłoną grubości trzydziestu centymetrów. Błyskawicznie zlikwidowali straż artylerzystów. Nim ci ostatni zdążyli zareagowad, komandosi już byli w obrębie betonowej kopuły wieży.

* Padnij! * krzyknął lord, starając się przekrzyczed grzechot broni zaskoczonych Niemców. * Padnij! Na plecy!

Szkoci błyskawicznie padli na ziemię poniżej poziomu otworów strzelniczych i ruszyli za nim na drugą stronę wieży. Zatrzymały ich dopiero grube, stalowe drzwi. Lord chwycił za klamkę i otworzył je gwałtownym szarpnięciem. Menzies, który stał tuż za nim, był dobrze wytrenowany i wiedział bez słów, co zrobid. Wrzucił do środka swój ostatni granat, a pułkownik zatrasnął drzwi. Rozległ się tępy, przytłumiony wybuch i z najbliższego otworu strzelniczego wydostał się biały dym. Słyszeli też wyraźnie brzęk tłuczonego szkła.

Lord spojrzzał za siebie. Freddy był gotów do dalszej akcji, trzymał pistolet maszynowy lufą w stronę drzwi.

* Teraz! * krzyknął dowódca i szybko otworzył drzwi na oścież.

Nisko pochylony, z rozkraczonymi nogami, Freddy posłał w dymiącą czero serię pocisków. Poranieni artylerzyści, krzyczący w przerażeniu, z twarzami poczerniałymi od dymu, wpadli wprost pod deszcz kul.

Komandosi przeskakiwali zręcznie nad ich konwulsyjnie drgającymi ciałami. Cały bunkier śmierdział

potem i tanim tytoniem, nawet kwaśny odór kordytu nie mógł zwalczyd tego smrodu. Na chwilę się zatrzymali, otoczeni półmrokiem, wahając się, które przejście wybrad.

* Prosto * radził Freddy.

* No jasne * potwierdził lord i wyciągnął cieniutki sztylet. * Chodźcie, chłopaki! Ruszamy dalej!

W drzwiach po prawej pojawił się żołnierz w podkoszulku. Miał pistolet w prawej ręce, jednak nie zdołał

go użyć. Niewielki nóż świsnął w powietrzu i wbił się w pierś zaskoczonego Niemca. Kolana ugięły się pod nim i padł na podłogę. Menzies dla pewności kopnął go jeszcze w twarz i pobiegł dalej.

Lord otworzył kolejne metalowe drzwi, które stanęły mu na drodze. Jasne strumienie światła, padające z obudowanych żarówek, oświetlały błyszczący zamek działa i nagie, spocone plecy kanonierów, którzy pochylali się nad ciężkim pociskiem właśnie ładowanym do komory zamkowej.

Komandosi zaczęli strzelać niemal równocześnie, wypełniając niewielką salę rozrywającym uszy hukiem wystrzałów. Artylerzyści nie mieli szans. Ich półnagie ciała zostały podziurawione jak rzeszoto. Niczym snopki zboża padali na betonową podłogę wokół olbrzymiego działa.

* Uwaga! * krzyknął szaleoczo Curtis.

Freddy Rory* Brick otrzymał postrzał w brzuch. Przy takim dystansie pęd kuli obrócił nim jak tancerzem w piruecie. Podparł się dłonią o mur, by nie upadł na beton, ale postrzał i tak go powalił. Osuwał się powoli, drapiąc paznokciami ścianę i zostawiając na niej krwawy ślad.

* Kamerad!... Bitte, Kamerad! * wolał kanonier w okularach, który z ukrycia w kącie sali postrzelił majora.

Teraz odrzucił pistolet maszynowy na ziemię, jakby parzył go w dłonie.

* Pierdolę twoje Kamerad * syknął rozwścieczony do białości lord.

Podniósł z ziemi peem, który wypadł wcześniej z bezwładnych dłoni Freddy'ego i posłał w stronę wystraszonego Niemca długą serię pocisków.

W końcu, gdy artylerzyści byli już tylko stertą okaleczonych zwłok, pułkownik odrzucił tommy guna i skierował się do majora. Snotty pomógł rannemu oprzeć się o ścianę, podczas gdy reszta komandosów uprzątała ciała zabitych Niemców.

* Obawiam się... * wysapał Freddy, krzywiąc się z bólu, jego twarz przybierała barwę gliny, a nozdrza napięły się w wysiłku. * Dostałem... i to chyba paskudnie...

* Brednie * zaprzeczył gniewnie pułkownik * nie opowiadaj takich dyrdymałów.

Szybko klęknął i rozerwał bluzę na piersi rannego żołnierza. Potem rozpiął przesiąkniętą

krwią jedwabną koszulę koloru khaki i zobaczył porozrywaną kulami pierś podwładnego. Przez rozległy otwór mógł zobaczyć kawałki zdruzgotanych kości żeber, otoczonych czerwoną masą, i jasnoszarą płataninę wnętrza. Wzdrygnął się, nie umiejąc ukryć swojego przerażenia.

* Tak źle? * spytał słabym, lecz spokojnym głosem oficer.

* Oczywiście, że nie, Freddy.

Pułkownik rozerwał swój opatrunek osobisty i przyłożył go na olbrzymią ranę towarzysza. Jednak było to daremne. Żółta maź zaczęła niemal natychmiast przeciekać przez gazę. Lord patrzył bezradnie w dół.

* Pozdrów moją żonę i syna * powiedział niewyraźnie major, a powieki zaczęły mu gwałtownie drgać.

* W dupę kaczkę, Freddy, przeżyjesz i sam ich pozdrowisz! * zawołał ze łzami w oczach lord.

* Czy naprawdę sądzisz, że... * głowa majora Fredericka Rory'ego* Bricka opadła na bok, usta pozostały otwarte.

Nie żył.

W tym samym momencie Curtis, wyglądający przez jedną ze szczelin obserwacyjnych, krzyknął podekscytowany:

* Czołgi, sir! Nasze czołgi, Churchille!

JEDENAŚCIE

Oddział C z Calgary Highlanders wpadł na ocalałe Trzecią i Czwartą Kompanię Batalionu Wotan, jak tylko Niemcy zaczęli marsz z Belleuil* le pod osłoną swoich dwóch czołgów PzKpfw IV, które pomogły im wydostać się z pułapki. W jednej chwili ponad setka trzęsących się, młodych chłopaków, poganiana zjadliwym krzykiem Sępa i kopniakami podoficerów, została zagoniona w mrok zasłony dymnej, aby uniknąć przerażającej konfrontacji z trzema Churchillami.

Kanadyjczycy byli tak samo zaskoczeni jak esesmani. Oni również po raz pierwszy kosztowali walki, lecz mieli za sobą trzy lata szkolenia, zareagowali więc szybciej niż załogi czołgów Wotana.

Natychmiast ustawili się frontem do przeciwnika. Czołgiści z SS działali tak jak wszystkie niedoświadczone załogi. Przekonani o przewadze armat kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów nad brytyjskimi sześćofuntówkami obrócili tylko wieże, wystawiając na ostrzał całą długość dużo słabszego pancerza bocznego.

* Kretyni! * wściekał się Sęp, gdy wszyscy wokół niego szukali schronienia. * Pokażcie im przód!

Rozwścieczony nieumiejętnym sposobem podejścia do zbliżającej się walki uderzał nerwowo szpicrutą w cholewki butów.

* Wielkie pierdoły choinkowe! Pokażcie im pancerz czołowy!

Ale młodzi czołgiści, podnieceni wizją walki, nie mogli usłyszeć jego rad.

* No to zginiecie, idioci! * warczał dowódca, rzucając z rezygnacją szpicrutę na ziemię.

Dwa PzKpfw IV oddały pierwszą salwę. Długie lufy bluznęły ogniem. Obydwa pociski trafiły w lekki wóz zwiadowczy, gdy ten szukał kryjówki. Pojazd poślizgnął się i zatrzymał, po czym natychmiast utonął w ogniu.

* Mój Boże * westchnął Sęp, ledwo wierząc w głupotę swoich ludzi.

Użyli pocisków burzących zamiast przeciwpancernych, jedynych skutecznych w walkach czołgowych.

* Przeciwpancerne! * krzyczał i robił się coraz bardziej purpurowy na twarzy. * Weźcie przeciwpancerne!

Wyciągnął pistolet i zaczął z furią strzelać w tył jednego z PzKpfw IV.

Było już za późno. Gdy niedoświadczeni działonowi kręcili chaotycznie lufami armat, aby nakierować je na czołgi wroga, Kanadyjczycy wystrzelili.

Najbliższy PzKpfw IV stanął dęba, jakby był żywy, gdy pocisk ugodził jego pancerz. Zaraz potem

trafił

drugi pocisk. Cały pojazd zadrżał jak struna. Czołgiści, ogarnięci paniką, zaczęli wyskakiwać na zewnątrz, chcąc uciec, nim pojazd ogarną płomienie.

Kanadyjczycy raz jeszcze pokazali większe doświadczenie. Czekali na ten ruch. Trzy karabiny maszynowe Besa skoncentrowały swój ogień na trafionym PzKpfw IV. Kierowca dostał pełną serię w pierś i wpadł z powrotem do wnętrza. Dowódca i działonowy wyskoczyli z wieżyczki, ale nim dotknęli płyt pancerza, już byli martwi.

Sęp tylko chrząknął.

* Zasłużyliście na to, głupcy * stwierdził i patrzył na drugi czołg, który kołysał się jak statek w czasie sztormu, trafiany kolejnymi pociskami.

Opanowany strachem kierowca ruszył ostro do przodu i wjechał w płonącego towarzysza. Głębokie szczeliny, wyłobione przez pociski przeciwpancerne wroga, jarzyły się krwawymi płomieniami. Tylko chwili było trzeba, aby ogień przerzucił się z jednego czołgu na drugi. Dłoo człowieka, próbującego wydostać się na zewnątrz, szybko zamieniła się w skwierczące, poczerniałe mięso. Po chwili przypominała poczerniałą kość wyciągniętą w stronę nieba w niemym błaganiu o litość. Ale dla uwięzionej załogi litości nie było. Czołg eksplodował jasnym, przesyconym olejem płomieniem.

Sęp rzucił się na ziemię, gdy okaleczone ciało przeleciało mu nad głową. Po chwili ponownie podniósł

głowę * z PzKpfw IV nie pozostało nic, poza płachtami popalonej ziemi.

Sęp nie przejmował się losem niedoświadczonych czołgistów. Jego uwaga była teraz skupiona na trzech Churchillach, które zniknęły za zasłoną dymu. Klął jak szewc, gdy podnosił się z ziemi, bo czuł

instynktownie, dokąd zmierzały. Miał teraz między baterią Goebbelsa i swoim oddziałem trzy przeklęte, alianckie czołgi.

DWANAŚCIE

Ostrzeliwani z broni maszynowej przez triumfujących Niemców i osłaniani przez nisko latające nad płonącym miastem Spitfire'y i Hurricane'y, ocalali Kanadyjczycy zaczęli wycofywać się z długiej na milę, wygiętej niczym bułat, kamienistej plaży. Na morzu niewielkie stateczki desantowe starały się dopchać jak najbliżej brzegu. Oerlikony bez przerwy ostrzeliwały przemykające po niebie od strony lądu Focke

Wolfy. Za statkami desantowymi cisnęły się niszczyciele próbujące podejść tak blisko plaży, jak tylko pozwalała na to odwaga ich kapitanów, i posyłały salwa za salwą na skraj miasta, gdzie * jak przypuszczano * znajdowały się pozycje niemieckie.

Sama plaża nadal przypominała piekło. Wszędzie zalegały porozrywane szczątki trafionych czołgów i wypalone kadłuby łodzi desantowych, za którymi ci, którzy przeżyli, ranni i zdrowi, kryli się przed

wciąż powracającym ostrzałem wroga. Za nimi woda pełna była szczątków sprzętu i ludzi. Część ciał unosiła się na falach twarzą w dół, chod jeszcze tliło się w nich życie.

Na domiar złego rozpoczął się odpływ. A to oznaczało, że wycofujący się żołnierze będą musieli przebyć dodatkowe dwieście metrów po odsłoniętym przez morze, morderczym terenie i brodzid dalsze

pięddziesiąt metrów przez mielizny, aby dotrzeć do jednostek ewakuacyjnych. I to wszystko pod ciągłym ostrzałem Niemców. Dowództwo z HMS Calpe rozkazało podejść niszczycielom jak najbliżej brzegu.

Niemieckie bombowce natychmiast zwietryły swoją szansę. Przebijając się przez dym unoszący się z pola bitwy, trzy Dorniere zaatakowały niszczyciel Berkeley. Smukły, dziarsko wyglądający okręt zawdzięczał swoją nazwę admirałowi Berkeleyowi, który dwieście pięddziesiąt lat wcześniej zamienił

Dieppe w stertę popiołu za pomocą dowodzonej przez siebie floty. Teraz nadszedł czas, aby okręt noszący imię dumnego admirała zakosztował podobnego losu.

Spitfire zygzakiem przeciął niebo. Zagrzecotało osiem karabinów maszynowych. Jeden z cienkich jak ołówek, dwusilnikowych Dornie* rów zanurkował ostro w dół, wyrzucając bezradnie cały ładunek bomb wiele metrów od niszczyciela. Ale dwa pozostałe bombowce nie* zrażone kontynuowały atak. Ich pociski trafiły w śródkręcie, niszcząc całkowicie mostek kapitaoski. Podpułkownik lotnictwa Skinner, oficjalny przedstawiciel RAF, obserwujący przez

lornetkę początek operacji, zginął na miejscu. Jego towarzysz z lotnictwa USA, podpułkownik Hillsinger, został zmieciony z mostka na pokład dziobowy, gdzie patrzył ze zdziwieniem i strachem na krwawy kikut, który przed momentem był jego prawą stopą.

Kilka minut później HMS Berkeley zniknął pod wodą.

Broniący się żołnierze zaczęli się wycofywad, coraz mocniej naciskani przez Niemców. Garstka Rangersów, przyłączona do oddziału komandosów, poddała się. Ale Amerykanie byli nadal zuchwali.

Niemcy, podnieceni schwytaniem mieszkaoców Ameryki, których widzieli po raz pierwszy, zaczęli wypytywad jeoców pozbawionych nakryd głów.

* Ilu jeszcze żołnierzy amerykańskich jest w Anglii?

Amerykanin spojrział pogardliwie na zwycięzców i wyseplenił teksaskim akcentem:

* Trzy miliony. I są tak samo wielcy jak ja. Kurwa, trzymają ich za drutem kolczastym, aby za szybko nie przepłynęli kanału i was nie dorwali!

Inna grupa, francuskojęzycznych Kanadyjczyków pod dowództwem sierżanta, podstawa ocalałej

kompanii z Fusiliers Mont Royal, także się poddała. Niemcy rozbroili ich i zmusili do rozebrania aż do bielizny i butów. Potem kazali im ustawid się twarzą do muru z podniesionymi rękami. Ich dowódca, sierżant Dubec, złapał od czasu porannych walk drugi wiatr w żagle.

Ostrożnie starał się sprawdzid, jak wielu Niemców, którzy wzięli ich do niewoli, odeszło w głąb Dieppe. W

koocu ocenił, że są pilnowani zaledwie przez jednego żołnierza.

Dubec pochylił głowę na bok, jakby był kompletnie wyczerpany i zniechęcony. Z ukosa obserwował samotnego strażnika, który wprawdzie skierował lufę karabinu w plecy jeoców, ale jego przymrużone oczy wpatrzone były w płonący front.

Sierżant jęknął miękko i wydawało się, że zaraz upadnie obok muru. Gdy podchodzący do niego strażnik potknął się, ręce Dubeca chwyciły Niemca za gardło i udusiły. Sierżant podniósł się z ziemi i głęboko odetchnął. Jednak gdy przemówił, w jego głosie czuło się spokój.

* Ruszad * rozkazał po francusku * z powrotem na plażę. Niech każdy radzi sobie sam.

Jego ludzie zniknęli w masie dymu spowijającej boczne uliczki. Biegli truchtem w koszulkach i szortach podobni do grupy biegaczy długodystansowych, przypadkiem zaplątanej w środek wojny.

Dubec samotnie dotarł do płonącej plaży. Odnalazł leżącego na plaży rannego pułkownika. Po złożeniu raportu i wyjaśnieniu swego dziwnego stroju wziął dowódcę pod ramiona i rozpoczął ryzykowną wędrówkę w stronę oczekujących na żołnierzy łodzi.

Essex Scottish wycofywali się jako zwarta formacja. Rzucili ostatnie granaty dymne ponad esplanadę umocnieo, aby osłonił sobie odwrót, zebrali rannych i odważnie ruszyli przez dwieście metrów piekła.

Jak szare duchy przemykali przez przerażającą plażę, ponosząc cały czas straty z powodu niemieckiego ostrzału. W biegu ocierali się o ciała towarzyszy wiszących na zasiekach z drutu kolczastego niczym kawałki mokrych szmat, by dotrzeć szczęśliwie do wraków rozbitych czołgów, które wyłoniły się nagle z całunu dymu. Niektórzy dotarli nawet do wody. Brodzili przez mielizny, pokonywali zielone morskie fale i cały czas przed oczami mieli pogubiony ekwipunek, wymiociny, ciała zabitych, pourywane koocyny. Lecz tak naprawdę wypatrywali tylko jednego * statków.

Część ludzi dotarła do łodzi desantowych i gubiła się w ogólnym bałaganie. Żywi i zabici bez ładu i składu byli umieszczani na pokładach. Leżeli jeden obok drugiego, drżący ludzie o poczerniałych twarzach i mundurach przesiąkniętych olejem, z oczami pełnymi szaleostwa z powodu szybkiej porażki i nagłego ratunku. Marynarze pomagali im wyrzygad z siebie oleiste paliwo i dym. Ciężko ranni wzywali na pomoc zabieganych lekarzy i sanitariuszy, którzy sami potrzebowali wsparcia. Zmarłych odsuwano na bok jak drewniane pniaki, robiono miejsce dla coraz większej liczby rannych. A nad tym przerażającym chaosem unosił się smród kordy* tu, ropy i krwi.

Kanadyjskie dowództwo wycofało się z kasyna, jego odwrót na plażę osłaniano najlepiej, jak to było

możliwe. Najstarszy z ocalałych oficerów kanadyjskich, brygadier Southam, odmówił zgody na ewakuację. Przekazał przez radio na pokład HMS Calpe, że jest zdecydowany ratować każdego żołnierza.

Kuląc się za kamiennym murkiem na szczycie plaży, zorganizował nowy punkt dowodzenia, cały czas ostrzeliwany przez Niemców. Jego komendy zagłuszał ryk i warkot dzikiej walki, jaką nad zniszczoną plażą toczyli w powietrzu lotnicy z RAF* u i Luftwaffe.

Do tej chwili około tysiąca żołnierzy (z czego połowa to ranni) zostało ewakuowanych z tej rzezi. Niemcy zbliżali się ze wszystkich stron i dowódca morskiej armady, kapitan komandor Hughes* Hallett, przebywający na HMS Calpe, wiedział, że wkrótce niemieckie lotnictwo i bateria Goebbelsa skoncentrują swoją uwagę na jego okrętach. Poza tym dzięki informacjom radiowym od Southama zdawał sobie sprawę, że Royal Hamiltons nadal walczą w Pourville na plaży Niebieskiej i że grupa Kanadyjczyków w sile kompanii wciąż przeciwstawia się naporowi Niemców, którzy okrążyli ich wzdłuż ogarniętej walką plaży.

Czas mijał nieubłaganie. Musiał podjąć decyzję. Wezwał komandora McClintocka nadzorującego ewakuację, aby osobiście przeprowadził rekonesans.

Dwadzieścia minut po dwunastej komandor doniósł dowódcy:

* Nie ma już możliwości ewakuacji!

Sztab Kanadyjczyków, który przebywał na okręcie flagowym, błagał o jeszcze trochę czasu. Dwie brygady z kanadyjskiej dywizji zostały rozbite, wszyscy oficerowie zginęli. Nie mogli się przenieść do opuszczonego Dieppe ani pozostawić pozbawionych dowództwa żołnierzy swojemu losowi. Ale kapitan Hughes* Hallett pozostał nieugięty. Niechętnie zasygnalizował McClintockowi:

* Jeśli nie ma możliwości ewakuacji, zarządzam odwrot!

Flota ewakuacyjna zaczęła się szybko gromadzić pod osłoną dymu i parasola myśliwców chroniących ją przed niemieckimi bombowcami. W tym czasie Hughes* Hallett jeszcze raz spróbował osobiście ocenić sytuację.

Dokładnie za dziesięć pierwsza HMS Calpe wyszedł spoza zasłony dymnej i ostro tnąc dziobem morskie fale, otworzył ogień ze wszystkich czterocalowych dział, jakby chciał rzucić wyzwanie całej niemieckiej machinie wojennej. Przeciwnik natychmiast odpowiedział na prowokację. Całe płonące wybrzeże rozbłysło od niemieckich wystrzałów, a woda wokół dzielnego okrętu zagotowała się od wybuchów, zmywając do czysta cały pokład.

Plaża stała się obrazem całkowitego zniszczenia * wyglądała, jakby spadały na nią

wszystkie żywioły, wykopywały olbrzymie jamy i wymiatały z nich stalowe zabawki stworzone przez ludzi. Podrzucały ludzkie ciała w powietrze i miażdżyły je o kamieniste podłoże, odbierając im resztkę życia.

Kapitan Hughes* Hallett potrząsnął smutno głową. Jego okręt zawrócił. Śruby okrętowe pracowały szaleoczo, pokieroszowany kadłub ponownie chował się za ścianą dymu.

Dziesięć minut później, gdy nadzieja umarła, brygadier Southam wysłał ostatni komunikat. Coraz więcej oddziałów niemieckich przybywało ze stacji kolejowej w Dieppe. Pierwsi Kanadyjczycy zaczęli się poddawać.

TRZYNAŚCIE

Trzy Churchille ze szwadronu C Calgary High* landers z triumfalnym chrzęstem kierowały się w stronę baterii Goebbelsa, jednak ich załogi były nieświadome, że cały wysiłek jest bezcekn wy. Przez przerwę w zasłonie dymnej dowódca szwadronu rozpoznał, że jedna z wież baterii strzela w pozostałe. Od razu pojął, co się dzieje.

* Słuchajcie, chłopcy! * podniecony krzyczał przez radio w stronę pozostałych załóg. * Komandosi zdobyli jedną ze szkopskich wież. Jedźmy podad im rękę!

Von Dodenburg ostrożnie prowadził oddział przez kłęby dymu, krocząc za PzKpfw IV dowodzonym przez Schulzego. To on pierwszy usłyszał nadjeżdżające czołgi wroga.

* Padnij! * rozkazał krótko, gdy zgrzyt gąsienic rozbrzmiewał coraz głośniej. Cała kompania rzuciła się błyskawicznie do rowu melioracyjnego, który biegł wzdłuż drogi prowadzącej do

baterii Goebbelsa. Major po chwili ruszył pospiesznie naprzód i chwycił hak holowniczy PzKpfw IV, dzięki czemu dostał się na pancierz czołgu. Zaraz potem zastukał w wieżyczkę.

* Pali się, panie majorze? * spytał słodkim głosem Schulze, patrząc na pokrytą kurzem twarz oficera, widoczną we włazie wieżyczki czołgowej.

* Wrogie czołgi * wysapał major. * Popatrz! Wskazał ręką na wyłaniające się z dymu przysadziste pojazdy.

* Och, na moje obolałe jaja! * zawołał Schulze. * Trzech bękartów.

Szybko przycisnął mikrofon do krtani.

* Matzi, łbem na godzinę drugą. Ruszaj i zakładaj łyżwy!

Potem stuknął łokciem młodego kaprala, gdy czołg zwiększył szybkość.

* No dobrze, bohaterze z Hitlerjugend, zapakuj swój ładniutki tyłeczek na siedzenie działa* nowego.

Sierżant Schulze chce pomóc ci dzisiaj zdobyć Krzyż Żelazny trzeciej klasy!

Schulze obrócił się i spojrzał podejrzliwie w stronę oficera. Pomimo zmęczenia i gniewu von Dodenburg się roześmiał.

* W porządku, nadbrzeżna różyczko, ty dowodzisz! Zamykaj włącz i naprzód, ja zmykam

* powiedział, zeskakując z krawędzi pancerza.

* I bądźcie ostrożni. Nie dajcie sobie odstrzelid makówek.

Potem odskoczył lekko na bok.

* Niech pan się nie martwi, majorze * krzyknął za nim Schulze, gdy czołg wtaczał się na niewielkie wzgórze. * Ukochany syn pani Schulze zrobi tym koziołębym Brytyjczykom wybuchową lewatywę w ich miłujących pokój tyłkach!

* Kierowca, stad! * krzyknął dowódca kanadyjskiego czołgu, gdy tylko dostrzegł poprzez zalegający dym i mgłę niemiecki PzKpfw IV ustawiony w pozycji bojowej na niewielkim pagórku. Długa lufa pojazdu skierowana była dokładnie w kierunku nadjeżdżającej grupy.

* Trawerssem w lewo... dwieście jardów

* rozkazał. * Niemiecki czołg... ognia!

Churchillem aż szarpnęło. Potem zatrząsało nim, gdy sześćofuntowa armata wypluła pocisk. Dym prochowy rozwiął się i Kanadyjczyk mógł śledzić, jak jarzący się białym światłem granat przeciwpancerny leci delikatnym łukiem i uderza w pancerz wrogiego czołgu. Na prawo od wieżyczki niemieckiego pojazdu rozbłysło mętne czerwone światło.

* Jezu Chryste! Trafiłeś go, Charley! * darł się żywiółowo dowódca czołgu.

* Bękart już więcej nie nawarzy nam piwa

* odkrzyknął spocony kanonier, regulując ostrość w soczewkach. * Spróbuję jeszcze dołożyć mu w połączenie pomiędzy wieżą...

Niemiecka armata rzygnęła ogniem. Chur* chiil cały się zatrząsał. Fala gorącego, kwaśnego podmuchu rzuciła kanoniera i dowódcę na ścianę. Ten ostatni potrzasał głową, po czym cofnął się przerażony. Pod jego nogami, wśród szczątków ekwipunku, leżała głowa Murzyna.

Leżący obok niego Charley chichotał histerycznie.

* Rod * miał na myśli kierowcę, którego bezgłowe ciało nadal spoczywało na siedzeniu kierowcy, a dłonie dzierżyły drążki kierownicze * wygląda dokładnie tak samo jak ten cholerny Al Jonson!

Dowódca czołgu wziął się w garść. Z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem kopnął głowę na dno wozu, gdzie niewielkie płomyki ognia już lizały chciwie kosz z amunicją.

* Ewakuacja, Charley! * krzyknął gorączkowo. * Na miłość boską! Wynoś się!

Dwóch czołgistów wyskoczyło pospiesznie z płonącej wieżyczki. Krztusząc się z wysiłku,

odskoczyli w bok, wprost pod kule wystrzelone przez majora von Dodenburga. Zginęli, nie wiedząc nawet, kto ich zabił.

* Teraz następny burak! * zawołał podniecony Schulze.

Kapral, krwawiący z rany na policzku, patrzył tępo, jak sierżant wpycha kolejny pocisk do komory zamka.

* Co jest? * spytał ciężko.

Schulze ponownie szturchnął go w żebra.

* Załadowane * syknął i zatrzasnął rygiel zamka.

* Gotowe * odparł kapral. Obserwował przez soczewki, jak Churchill

powoli ukazuje się w krzyżu celownika.

* Ognia! * zakomenderował Schulze.

Kanonier nacisnął na drążek spustowy. Siedzący obok sierżant, który obserwował wszystko przez peryskop, odruchowo otworzył usta, aby ciśnienie fali dźwiękowej nie uszkodziło mu bębenków usznych.

Czołgiem szarpnęło do tyłu, aż stanął dęba. Kwaśny smród kordytu wypełnił wieżyczkę. Gorący podmuch gazów prochowych uderzył Schulzega w twarz. Zamrugał powiekami. Słyszał, jak wyrzucona łuska spada na metalową podłogę i toczy się gorąca i dymiąca.

Dwieście metrów dalej kolejny Churchill został zatrzymany bezpośrednim trafieniem, a na jego burcie pojawiła się błyszcząca, poszarpana dziura.

Schulze wsunął następny pocisk i zatrzasnął zamek.

* Załadowane * rzucił krótko.

* Gotowe!

* Tym razem zabij bydlaka, ognia!

Kapral wcisnął drążek spustowy i armata wystrzeliła. Pocisk trafił dokładnie w zapasowy zbiornik paliwa.

Tylko jeden Kanadyjczyk wyskoczył z wieżyczki, otoczony niebieskimi płomieniami. Znowu zaszczekał

pistolet maszynowy von Dodenburga. Czołgista szarpnęła się konwulsyjnie i zaraz potem znieruchomiała.

Po chwili płomienie zaczęły pożerać jego ciało.

Trzeci z kanadyjskich czołgów zawrócił, próbując schować się w dymnej zasłonie, jego dowódca rozrzucał

z wieżyczki dodatkowe granaty dymne. Ale Schulze, w którym krew już się grzała, nie miał zamiaru tak łatwo rezygnować z łupu.

* Matzi!

* Wiem! * odkrzyknął jednonogi kierowca, ściągając drążek na jak najniższy bieg.

Stalowy kolos ruszył w mlecznobiały dym za uciekającym Churchillem. Jego długa armata szerokim, wahadłowym ruchem cięła przestrzeń przed sobą, chciwie poszukując ofiary.

K

Jakieś sto jardów dalej dowódca alianckiego czołgu gwałtownie przeklinał wystraszonego kierowcę.

* Ty kazirodczy, kaczy kutasie! * darł się wściekły, gdy rozpędzony Churchill chwiał się na boki, pokonując nierówny teren. * Co, do kurwy nędzy, chcesz zrobić i dokąd jechać? Mogliśmy już załatwić tego fiuta!

Ale kierowca zupełnie nie słuchał. Krople potu zastygły na jego skamieniałej twarzy.

Wzrok wbił w dym rozpościerający się za czołgiem w obawie, że za chwilę pojawi się niemiecki czołg i rozstrzela ich tak jak resztę oddziału.

* Rozkazuję ci zatrzymać się i walczyć!

* wrzeszczał dowódca, wychodząc z siebie z wściekłości.

* Tak, na rany Chrystusa, ty luźna dupo!

* dodał działonowy. * Rozwalid ich! Mogę dać im po uszach tą sześćofuntówką.

* Tam jedzie! * zawołał kierowca. * Po lewej!

Dowódca przycisnął oczy do peryskopu i zobaczył, jak PzKpfw IV wyłania się z dymu nie dalej niż siedemdziesiąt pięć metrów od nich, z lufą skierowaną w przeciwną stronę niż ich pozycja. Niemcy jeszcze nie dostrzegli samotnego Churchilla.

* Kierowca, stad!

Rozkaz został zignorowany. Czołg nadal podskakiwał na nierównym grzbiecie klifu.

* Joe, na wszystkie niebiosy, strzelaj! * krzyczał dowódca z rozpaczą, wyciągając z kieszeni rewolwer kalibru 38. * Nim ten bydlak nas zobaczy!

Działonowy z furią obrócił wieżyczkę. Czołg wroga pokazał się w celowniku, zakrywając całe pole widzenia. Widad było wyraźnie wielki czarno* biały krzyż, błyszczący srebrem otwór po trafieniu, każdy nit i wysmarowany olejem sworzeo. Wstrzymując nieświadomie oddech, działonowy kręcił kołem dalmierza, aż ten zatrzymał się na odczycie stu jardów.

* Ognia! * rzucił krótko.

* Joe, rozkazałem ci zatrzymać się! * wył jak zwierzę dowódca, kierując lufę pistoletu w dół, między stopy kierowcy. * Albo, klnę się na Boga, rozwalę ci na kawałki ten głupi, blond łeb!

Głośno odbezpieczył broo.

* Szybciej! * poganiał gorączkowo działono* wy. * Jeszcze nas nie dostrzegli!

Nadal brak jakiegokolwiek reakcji kierowcy.

* No to się, bękarcie, doigrałeś! * krzyknął dowódca, naciskając spust rewolweru.

W ograniczonej przestrzeni stalowego wnętrza czołgu wystrzał zabrzmiał jak huk pioruna. Działonowy instynktownie pociągnął za spust armaty. Niczego się nie spodziewający PzKpfw IV zniknął z pola widzenia celownika, jakby przesunięty w bok niewidzialną dłonią, a chwilę później pocisk z kanadyjskiego działa nieszkodliwie przemknął ze świstem ponad wieżyczką niemieckiego pojazdu. Zabity kierowca wciąż naciskał na pedał gazu i Churchill zawisł w powietrzu ponad krawędzią klifu. Jego załoga wrzeszczała bezradnie, gdy kilkadziesiąt ton stali wpadało do morza z wysokości ponad stu metrów.

* Na oskubany członek Wielkiego Rabina! * odetchnął z wielką, radosną ulgą Matz, gdy pocisk wystrzelony przez ostatni z kanadyjskich

czołgów gwizdnął obok nich i eksplodował gdzieś w okolicy baterii. * Niemal zrobili nam przedziałek na głowie.

* Nie mogę się ruszyć ze strachu * zgodził się Schulze. * Gdybym to zrobił, zmoczyłbym spodnie!

Za nimi, w mrocznym dymie, von Doden* burg poderwał się na nogi i niskim, ciężkim ze zmęczenia głosem rzucił rozkaz:

* W porządku, wstawad i naprzód! Jesteśmy prawie u celu.

CZTERNAŚCIE

Lord ze smutkiem obserwował, jak ostatni Churchill znika w dymie, pozostawiając za sobą spalone wraki dwóch towarzyszy. Pułkownik instynktownie czuł, że nie będzie kolejnej próby przełamania frontu na ich odcinku. Cała operacja prawdopodobnie okazała się fiaskiem. Samoloty RAF* u zniknęły z pola walki, a od strony Dieppe dochodziły coraz cichsze odgłosy strzelaniny.

Usiadł na podłodze obok reszty żołnierzy i wmawiał sobie, że resztki Siódmego Komanda wykonały swoje zadanie. Chociaż pociski, które wystrzelili do czasu przybycia Chur* chilli, przenosiły ponad wrogimi wieżami, ponieważ nie można było niżej opuścić luf dział, to przynajmniej w decydującym momencie uniemożliwiły Niemcom efektywny ostrzał floty inwazyjnej.

Pułkownik czuł się wyczerpany. Walczyli już przecież od dwunastu godzin. Wszyscy śmierdzieli potem i kordytem. Minęły ponad trzy godziny od ostatniego posiłku * kawałka

gorzkiej czekolady i garści rodzynek pochodzących z żelaznych racji. Pozostały jedynie resztki wody, które komandosi chciwie spijali z manierek. Lord wiedział, że koniec nie jest już daleki.

* O czym pan myśli, sir? * spytał Snotty. Lord obrócił się powoli i starł spodem rękawa grubą warstwę potu z czoła.

* Zwykle pierdoły, chłopcze * odpowiedział niewyraźnie zakurczonymi ustami.

* Myśli pan, że z tego wyjdziemy? * Nie.

* A co, jeśli...

* Nie poddamy się. Spójrz na nich * zatoczył ręką półkole, wskazując na żołnierzy przyczajonych w ciemnym bunkrze. * To są moi ludzie, całe życie spędzili na otwartej przestrzeni, na bagnach, wzgórzach i polach. Jak myślisz, co z nich zrobi kilka lat za drutami? Poza tym * w jego głosie zabrzmiała determinacja

* tak długo, jak trzymamy tę baterię, powstrzymujemy ją od strzelania do chłopców z naszej marynarki.

* Rozumiem * powiedział Snotty, wiedząc, że słowa pułkownika właśnie przesądziły o ich losie.

Lord już miał otworzyć usta, aby powiedzieć mu coś na pocieszenie, ale zmienił zdanie. Zapadli w milczenie i pułkownik ponownie oddał się swoim rozmyśleniom.

Nie powiedział oczywiście chłopakowi całej prawdy. Nie chodziło tylko o działa, ale przede wszystkim o zmasakrowane komando. Nie chciał wracać do Anglii i odbudowywać oddziału. Trzy lata wojny go wypaliły; nie chciał ponownie stawiać twarzą w twarz z młodymi żołtodziobami przysłanymi z biur rekrutacyjnych i szkolid ich na twardych wojaków. Oprócz tego po zabitych w Dieppe, którzy poprzednio żyli i pracowali w jego posiadłości w Dearth, pozostały żony i dzieci. Jeśli przeżyje wojnę, będzie musiał stawiać przed nimi każdego poranka ze świadomością, że jest odpowiedzialny za śmierć ich mężów i ojców. Nie mógł znieść takiej perspektywy.

* Sir... * Curtis przywołał go do rzeczywistości.

* Tak?

* Nadchodzą Niemcy.

Zmęczeni ludzie podnieśli się z podłogi i podeszli do szczelin obserwacyjnych.

Pułkownik wyteżył wzrok. Rzadka tyraliera żołnierzy w mundurach maskujących przesuwiała się po wypalanej trawie w stronę wież baterii. Broo trzymali w pogotowiu, a oczy wbite mieli w ziemię, jakby czegoś szukali.

* Chłopcy z SS * oznajmił dowódca.

* Och, sir * warknął Menzies. * Możemy stąd umyć im te tępe głowy. Albo załatwić ich z jedną ręką związaną za plecami.

* Możemy, sir * dodał Curtis. * My chowamy się za betonem grubym na stopę, a oni mają tylko kępki trawy.

Szczupła twarz pułkownika rozchmurzyła się.

* Jest całkiem dobrze, Szkoci! Chodźcie, rzeź* nicy! Pokażemy, jak chłopcy z naszej bandy potrafią narozrabiad!

Starannie wycelował i nacisnął spust.

* Ruszad się! * krzyczał von Dodenburg, przekrzykując basowy stukot broni maszynowej dochodzący z wieży artyleryjskiej. * Naprzód!

Jeden czy dwóch ochotników z Hitlerjugend, którzy do tej pory kryli się w trawie, poderwało się na równe nogi i dołączyło do tyraliery.

* Właśnie tak, chłopcy! * zawołał z aprobatą major. * Dopóki idziecie, jesteście bezpieczni.

Pocisk gwizdnął niepokojąco blisko jego głowy, więc oficer na chwilę się zająknął.

* Kiedy się zatrzymujecie, od razu się zamieniacie w znakomity cel! Dlatego ruszad się!

Przyspieszył kroku. Jeśli Angole mają na wieży karabin maszynowy, to zaraz otworzą ogień i będzie po całym natarciu, musi zatem zbliżyć się ze swymi żołnierzami na tyle blisko bunkra, by móc osłonić Schulzego i Matza, gdy ci pojawią się na scenie z czołgiem.

* Szybciej! * zawołał, gdy tylko spostrzegł, że z jednej ze szczelin obserwacyjnych wysuwa się długa lufa.

Cała kompania zaczęła biec niezgrabnym truchtem. Żołnierz obok von Dodenburga zakochał się szaleoczo, krzyknął, a z gardła wytrysnęła mu fontanna krwi. Major poczuł, jak koszulę zalewa mu ciepła i lepka ciecz.

* Dalej, wy tchórze! * krzyczał w desperacji. * Za niebios a i piekło, biegnijcie!

Jednak jego ludzie kryli się już, gdzie popadnie. Wielu z nich schroniło się w płytkim rowie biegnącym pięćdziesiąt metrów od wieży. Żołnierze dopadali go, łkając, krzyząc ze strachu, wściekłości i zwykłego zmęczenia.

* Wy zasrane bękarty! * przeklinał z rozpaczony von Dodenburg, gdy zobaczył, że cała kompania jakby zapadła się pod ziemię.

Zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji jest całkowicie bezradny. Przypadł do ziemi całkowicie pogiębiony i wiedział już, że Schulze i Matz będą musieli poradzić sobie sami.

Szulze odczołgał się od osłanianego przez niewielki pagórek PzKpfw IV i dołączył do Mat* za, który delectował się zagrabionym kanadyjskim papierosem.

* Gówno * oznajmił, wyciągając niedopałek z ust. * Palenie tego tytoniu jest tak samo przyjemne, jak strzelanie z twojego działa. Jesteśmy nie w tej armii, co trzeba!

* To pułapka * przerwał mu szybko przyjaciel. * Major nie da rady. Te kocie ogony dotarły tylko na pięddziesiąt metrów i zsikały się w majtki. Pochowali się.

Matz zaczął smakować kolejnego papierosa, znaleziony w kieszeni zabitego kanadyjskiego czołgisty.

* Więc?

* Musimy sami sobie poradzić z tym gów* nianym, wielkim działem.

Matz skinął potakująco głową. Wiedział, o co chodzi. Kiedy dowódca planował atak, zakładał, że piechota będzie w stanie rozbudzić wielkie działło, aby czołg mógł bezpiecznie rozbudzić bunkier. Kapral rzucił

niedopałek na ziemię i przygniół go obcasem. Potem wypuścił nosem niebieski dym.

* Co w takim razie zrobimy, Schulzi?

* Przejdziemy tam z prawej flanki i wystrzelimy, jak tylko znajdziemy się po drugiej stronie grzbietu.

* Dlaczego nie wyślemy im wcześniej zawiadomienia na piśmie, że właśnie nadjeżdżamy? Przecież zauważą nas od razu!

* Dokładnie tak, ty smętny, małpi wypierd* ku. Tego właśnie chcę! Aby zauważyli, że tam jesteśmy.

Kiedy już nas dostrzegą, szybko wycofamy się na wstecznym biegu, co znakomicie potrafisz, bo lubisz nadstawiać tyłek!

* To mnie obraża * zaprotestował gorąco Matz.

Schulze odpowiedział mu, co może zrobić ze swoimi pretensjami, i Matz ponownie się uśmiechnął.

* Nie mogę, Schulzi! Mam już tam piętrowy autobus!

* Potem postawimy zasłonę dymną, oślepi* my tych hodowców baranów i wyskoczymy niespodziewanie jak nietoperz z piekła, by przemknąć do martwej strefy ostrzału. Nadążasz, pacanie?

* No pewnie! * odpowiedział lekceważąco Matz. * Czy mogę wcześniej wyciąć moim nożem dwa drewniane krzyże na nasze groby?

* Za chwilę wytnę krzyż na twoim tępym łbie. Możemy to zrobić, jeśli będziemy mieli tylko odrobinę szczęścia. I udowodnisz, że potrafisz kierować nie tylko pałą między nogami. A ty * zwrócił się do młodego kaprala, którego śmiertelnie pobiła twarz pokryta była zaschniętą krwią * walniesz z naszej armatki, jak tylko przejdziemy przez pagórek. Ja zajmę się granatami dymnymi. Jasne? No, to ruszamy!

* Szwabski czołg! * zawołał wystraszony Snotty, gdy zza szczytu wyłonił się PzKpfw IV rozrzucający gąsienicami grudki ziemi i kępki trawy.

* W sam raz dla tego działa, cudownie * lord zareagował natychmiast. * Curtis, Menzies!

Żołnierzy nie trzeba było poganiad. Chwila szalonej krzątaniny i po chwili długa lufa zaczęła się obracać.

Dwieście metrów dalej czołg zjeżdżał ze wzniesienia z gotową do strzału armatą.

Curtis rzucił się na siedzenie ładowniczego. Nie miał czasu na celowanie, czołg był ledwie sto pięćdziesiąt metrów od bunkra. Pociągnął za linkę spustową. Olbrzymie działo ryknęło ogłuszająco. Gorący podmuch smagnął twarze komandosów, a wieżę wypełnił żółty dym. Lord, krztusząc się, doczłapał do najbliższej szczeliny obserwacyjnej. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą był czołg, znajdował się wielki lej w dymiącej ziemi, nad którym wznosił się szybko obłok białego dymu.

* Dostał? * spytał podniecony Snotty, stając obok dowódcy.

Jego strach ustąpił teraz zapałowi bojowemu. Lord potarł zaczerwienione ze zmęczenia oczy.

* Tak na pewno to nie wiem, chłopcze, ale wygląda, że dostał. W porządku? * a potem rozkazał głosem, w którym cud było przywróconą pewnością siebie. * Obserwujcie ten teren. Curtis i Menzies, nie chcę, aby kolejny bydlak się do nas podczołgał jak ten przed chwilą. Bo jeśli przedrą się w martwą strefę ostrzału, załatwią nas z broni krótkiej. A jeżeli będzie to czołg, rozwałą bunkier kawałek po kawałku.

Mieście oczy szeroko otwarte!

* Wyszczad się żwirem * wściekał się Matz, a jego głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka. * Nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego, Schulzi, albo wsadzę ci w dupę tę blaszkę, którą nosisz na szyi! I to w poprzek!

Dziko ściągnął drążek zmiany biegów i czołg z grzechotem potoczył się po nierównym gruncie, jakby ścigał go sam diabeł.

Szulze klepnął dłonią po uszach. Ledwo rozpoznawał słowa Matza, ogłuszony hukiem eksplozji wielkokalibrowego pocisku, która zatrzęsała czołgiem jak dziecięcą zabawką. Siedzący obok niego kanonier zapomniał otworzyć usta, gdy dopadła go fala uderzeniowa. Teraz z nosa i uszu ciekła mu krew.

Sierżant wystawił ostrożnie głowę z wieżyczki i starał się ustalić pozycję czołgu w kłębach gęstego dymu, który przypominał mu mgłę nadciągającą od morza w jego rodzinnym Hamburgu.

* No i jak? * rozległo się w słuchawkach pytanie Matza.

* Nie denerwuj mnie, małpi trutniu. Trzymaj nogę na gazie i wyciśnij wszystkie soki z tej maszyny.

* Panie sierżancie, uwaga! * krzyknął gwałtownie młody kapral.

* O Jezu na krzyżu! Wyjeżdżamy z dymu! Nagły podmuch nadmorskiej bryzy zepchnął

zasłonę dymną na lewo od nich. Jechali odsłoniętym terenem z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę.

* Matz, uważaj!

Ale jednonogi kierowca już dawno zauważył niebezpieczeństwo i błyskawicznie ściągał lewy drążek zwrotnicy, aby obrócić czołg w kierunku zasłony. Było jednak za późno. Znaleźli się na szczycie klifu zalany promieniami słońca.

* O mamusku! * jęknął Schulze, gdy lufa wielkiego działa zaczęła kierować się w ich stronę. * Więc to tutaj powąchamy kwiatki od dołu!

* Słodki Jezu, obróćcie tę wielką sukę! * krzyczał histerycznie pułkownik, gdy dwaj komandosi zmieniali położenie lufy. * Reszta niech przyjdzie tutaj, nie stójcie jak sztuczne penisy na konwencie zakonnicy, pomóżcie chod trochę!

Curtis wskoczył na siedzenie celowniczego, pozostawiając reszcie żołnierzy pchanie działa. Mniejszą jedną wolną ręką zatrzasnął rygiel zamka.

* Spadad! * krzyknął, gdy lufa znalazła się w maksymalnym wychyleniu.

Curtis przycisnął oko do gumowej osłony celownika. Czołg znajdował się dokładnie w środku czarnego krzyża podziałki optycznej.

* Mam zamiar strzelać * zakomunikował i chwycił za linkę spustu.

Za sekundę PzKpfw IV miał się znaleźć w martwej strefie.

* Strzelaj, na miłość boską! * wrzeszczał przestraszony lord z irytacją. * Ognia!

Curtis szarpnął linką. Jeszcze raz wielkie działo powróciło do życia i zaryczało. Pułkownik instynktownie zamknął oczy. Kiedy otworzył je sekundę później, chwycił wzrokiem blask wirującego pocisku, który minął toporny kontur czołgu i zmierzał prosto do morza. PzKpfw IV wjechał do martwej strefy.

Schulze osobiście zajął się obsługą działa siedemdziesiąt pięć milimetrów, jak tylko PzKpfw IV zatrzymał

się pięćdziesiąt metrów na prawo od milczącej wieży.

* Widzisz, złotodzie * pouczał, gdy zasiadł wygodnie na miejscu celowniczego * do tego potrzeba prawdziwych ekspertów. W pracy takiej jak ta musisz traktować armatę jak dziewczycę, chociaż nie spodziewam się, żebyś wiedział, co to znaczy. Miętko, delikatnie, nie próbuj jej zranić, użyj sprytu,

aby ją obrócić i otworzył jej perłową bramę, postępuj tak samo jak z panną, która ma dla ciebie rozchylić swoje nogi.

Potem pieszczotliwie pogłaskał długą lufę.

* Auu! Na miłość boską, Schulze! * z dołu zaczął się skarżyć Matz. * Nie wydam się z siedzenia kierowcy, jeśli będziesz tak mówić.

Zaklinuję się! Co to jest: wojna czy sesja pieprzenia w przybytku Rosi* Rosi?

Schulze ustawiał wieżę czołgu tak długo, dopóki lufa nie znalazła się dokładnie naprzeciwko najbliższej szczeliny obserwacyjnej bunkra. Potem wielką łapą chwycił dźwignię spustową. Wziął głęboki oddech i zawołał, wykorzystując cały zasób znanych sobie angielskich słów.

* Ali right, Tommies, to jest długa droga do Tipperary, i to wy w nią wyruszacie!

(Ifs a long way to Tipperary (Długa droga do Tipperary * poi.) * tytuł popularnej brytyjskiej piosenki z okresu I wojny światowej.)

Eksplozja pierwszego pocisku oślepiła Curti* sa. Odwrócił się od szczeliny obserwacyjnej, a jego twarz pokryta była mnóstwem niewielkich nacięć, jakby ktoś nacierał ją szczotką drucianą. Po chwili powiedział

wzniosie:

* Przepraszam, sir. Myślę, że pocisk rzeczywiście mnie oślepił. Nic nie widzę.

Potem w wieżę uderzył kolejny pancerny pocisk i cała mroczna sala zatrzęsa się i wypełniła duszącym betonowym pyłem. Ranny żołnierz usiadł ostrożnie w rogu pomieszczenia i grzecznie, ale stanowczo zabronił sobie dotykać. Jego przyjaciel Menzies przysiadł obok na

piętach, oparł się szerokimi plecami o ścianę i zaczął cicho odmawiać psalmy.

Straszliwy ostrzał trwał cały czas. Po pewnym czasie Snotty zaczął zdradzać oznaki szaleostwa. Na początku była to skryta, angielska forma załamania, która polegała na ukryciu twarzy w dłoniach i cichym łkaniu. Ale gdy walenie pociskami trwało nadal, milczenie porucznika zamieniło się w krzyk.

Lord walnął chłopaka na odlew w twarz. Ten zaczął żuć własny język, gałki oczne obróciły mu się do środka głowy, widoczne były tylko białka. Ślina, która zaczęła spływać po pokrytej kurzem twarzy Snotty'ego, zabarwiona była krwią.

* Trzymajcie go * rozkazał dowódca.

Kilka rąk chwyciło ramiona chłopaka. Pułkownik wyciągnął sztylet z cienkim ostrzem i wcisnął go między zaciśnięte szczęki porucznika, aby uchronić go przed odgryzieniem sobie języka. Zęby chłopaka zazgrzytały na stali, ciało podrygiwało konwulsyjnie, a krzyk stawał się coraz słabszy i słabszy, aż wreszcie przeszedł w łkanie. Po twarzy Snotty'ego spływały wielkie łzy. Lord objął

delikatnie głowę chłopaka i mruczał miękko, dopóki młody porucznik nie zamknął oczu. Nie żył.

LEO KESSLER

* Czy te baranie łby nigdy się nie poddadzą?! * krzyczał Matz. * W głowie mi dzwoni, jakbym siedział w kościelnej dzwonnicy. Zobacz, jak to wygląda! Jakby ktoś pracował tu wielką łopatą!

Schulze potaknął głową. Zniszczył już wszystkie otwory obserwacyjne, a żelbetowa wieża była tak pokruszona i popękana, że ledwo przypominała pierwotne kształty.

* Muszą mieć nieźle namieszane w głowach, że znoszą taki rodzaj kary * zgodził się sierżant, ścierając pot z czoła. Jego twarz, widoczna we włazie wieżyczki, jaśniała w sierpniowym słońcu. Rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Pierwszej Kompanii, która nadal zalegała w rzadkiej trawie i czekała, aż zniszczona wieża się podda.

* Zawsze to samo, dowódca nie ma zamiaru ryzykować życia tych żółtodziobów w bezpośrednim ataku, Matz * wyjaśnił. * Znowu musimy odwalid sami całą robotę.

* Tak, to my, stare łby musimy prad wszystkie brudy * potwierdził Matz.

Schulze z westchnieniem wsunął kolejny pocisk do komory zamkowej i jeszcze raz obrócił się do rozgrzanej do czerwoności lufy.

* W porządku, kozi bobku * powiedział. * Lepiej weź kolejną aspirynę, złagodzi ci ból głowy. Znowu walimy!

Nacisnął dźwignię spustu, a lufa wypluła strumień ognia.

* Wielki Boże i wszystkie cholerne trójce * wyklinał Matz, przyciskając mocno dłonie do krwawiących uszu. * Jak długo to jeszcze potrwa?

To samo pytanie zadawał sobie lord, gdy potworny ostrzał zaczął się od nowa. Rozejrzał się po ponurym, drżącym wnętrzu wieży i wie*, ,dział, że ludzie są już na granicy wytrzymałości nerwowej. Wszyscy zapadli w dziwny letarg, mieli rozszerzone, błyszczące oczy i tylko nerwowe skurcze brudnych twarzy wskazywały, że ciągle żyją. Między kolejnymi eksplozjami ciszę zakłócało tylko mruczenie Menziesa powtarzającego bez końca:

* Pan jest moim pasterzem...

Lord powoli uniósł się przy drżącej ścianie i głosem, który sam ledwo rozpoznał, powiedział:

* Chłopaki, myślę, że... Powinniśmy... Wydawało się, że minął wiek, nim ludzie

zareagowali. Powoli, z tępym wyczekiwaniem, zwracali oczy w jego stronę.

* Chłopcy, poddajemy się?

Znowu minęła długa jak wieczność chwila, nim jeden po drugim przecząco potrząsali głowami. Lord

uśmiechnął się grobowo.

* Dziękuję wam * wyszeptał, po czym podniósł głos. * Wstawad! Wychodzimy, wy bando ciężarnych pingwinów, wyciągajcie palce z dupy! Ruszad się! Ci pierdoleni Niemcy nie wezmą nas żywcem, jesteśmy Siódmym Komandem, pamiętajcie! Dalej, chłopaki!

Potem jego głos stwardniał.

* Zbliźcie się, zrobimy mały przegląd. Ty, Murdoch, zapnij mundur... Gilchrist, jak często mam ci powtarzad, ty leniu, żebyś nosił parciany pas na wierzchu! Macie dobrze wygladać albo zrobię wam takim młyn, że nie zorientujecie się, kto do was strzela! A teraz szybko!

Palcami spuchniętymi jak parówki wieprzowe ocalali komandos i poprawiali mundury, obciągali bluzy, podwiązywali płócienne kamasze, wciskali na głowy sterczące czapki. Wszystko odbywało się tak, jakby darł się na nich przerażającym głosem Czarny Jack, starszy sierżant z dowództwa zastrzelony podczas lądowania, którego ciało pływało teraz twarzą w dół w wodach kanału La Manche.

* W porządku, bohaterowie, szykowad się na PARADĘ!

Ta ostatnia komenda nie wiodła ich na plac defilad, lecz na śmierd. Wargi lorda były zaczerwienione, w przeciwieństwie do pokrytej kurzem twarzy. Krzyknął:

* Dobra! Na co czekacie * bagnet na broo! Zaczęło się gwałtowne przepychanie. Lord

obrócił się i przeszedł wzdłuż pokrytego gruzem

korytarza, a następnie pociągnął za stalowe uchwyty drzwi. Głowę miał wypełnioną muzyką graną na dudach. Wokół niego zgromadzili się komandosi z bagnetami ustawionymi na sztorc, które błyszcząły w słabnym świetle.

* Teraz! * zakrzyknął lord i wyciągnął ostrze sztyletu w stronę nieba.

* O, Chryste Święty! * sapnął z podziwem Schulze, gdy Szkoci ruszyli chwiejnym krokiem, oślepieni słońcem świecącym im prosto w twarz.

Mieli nastawione bagnety, a prowadził ich do walki chuchrowaty oficer ubrany w idiotyczną szkocką spódnice, która dyndała mu wokół chudych nóg. Młody kapral podniósł pistolet maszynowy. Schulze szybko odsunął od siebie lufę broni.

* Daj spokój, nie strzelaj.

* Wstrzymad ogieo! * zaryczał major von Dodenburg, bo pięćdziesiąt metrów dalej jego ludzie wstali z ziemi i podnosili broo do oczu. * Wstrzymad ogieo, powiedziałem!

Jego oczy wypełnił niekłamany podziw dla tych ludzi, którzy sianiając się na nogach, szli dumnie na spotkanie śmierci.

Ale starszy sierżant Metzger, który chciał odegrać wreszcie jakąś rolę w bitwie o Dieppe i utrzymać funkcję przewodnią wśród sierżantów Batalionu SS Wotan, nie posłuchał rozkazu. Stojąc na pace ciężarówki i wiedząc, że obserwuje go Sęp zbliżający się z pozostałymi kompaniami, nacisnął na spust schmeissera. Z takiej odległości nie mógł spudłować.

* Przesłao, Metzger! * ryknął von Doden* burg. * Na miłość boską...

Ostatnie słowa zamarły mu na ustach, było już za późno. Komandosi rzucali się w przedśmiertnych drgawkach, ciągle próbując osłaniać postać w kilcie, która uszła jeszcze kilka kroków, nim otrzymała serię od Rzeźnika. Chude kolana ugięły się, kilt rozpostarł się na trawie, komandos padł na twarz. Lord Abernokie i Dearth, zwany czasami „Lisem Fergussem”, zginął. Kiedy von Dodenburg odwrócił ciało zabitego, ku swemu zaskoczeniu spostrzegł, że zabity Anglik się uśmiecha.

Była piąta po południu. Dokładnie czterdzieści minut później feldmarszałek Gerd von Rundstedt zatelefonował do kwatery wodza naczelnego. Informacja, jaką przekazał, była krótka i brutalna w swej prostocie.

* Mein Ftihrer, na kontynencie nie ma żadnego uzbrojonego Anglika!

PIĘTNAŚCIE

Zachodzące słońce zaczęło chować się w morzu. Od strony lądu na straszną plażę wkradały się czarne cienie. Jeszcze tylko przez kilka minut tę scenę śmierci i zniszczenia będą oświetlać karmazynowe promienie słoneczne.

Feldmarszałek von Rundstedt i jego oficerowie sztabowi stali na porozbijanej, pokrytej szczątkami bitewnymi promenadzie i wnikliwie przyglądali się wszystkiemu w ciszy przerywanej jedynie ostatnimi jękami rannych Kanadyjczyków. Zahartowani, zawodowi żołnierze * wielu z nich doświadczyło osobiście masowych rzezi na froncie zachodnim podczas pierwszej wojny światowej * byli pod głębokim

wrażeniem efektów masakry, która niedawno miała miejsce.

Nic nie uszło przed miażdżącym ogniem obroców. Ani maszyna, ani człowiek. Wszędzie leżały ciała zabitych Brytyjczyków, w niebo sterczały szpice ich butów, twarze mieli zanurzone w piasku lub wodzie.

Cała okolica usłana była wrakami rozbitych czołgów i spalonych łodzi desantowych. Jak okiem sięgnąć, piasek

upstrzony był plamami mundurów khaki. I wszędzie panowała przerażająca cisza. Nic jej nie przerywało poza brzęczeniem niezliczonych much, które unosiły się nad ciałami poległych. I nad przywiedłymi polnymi różami, które po* wtykali sobie w hełmy Kanadyjczycy, gdy ledwie kilka godzin wcześniej maszerowali w kierunku portu załadunkowego.

Feldmarszałek oderwał oczy od surowego, spustoszonego krajobrazu i powiedział starczym, zmęczonym głosem.

* Nie możemy uznać, że operacja w Dieppe była zwykłym, lokalnym rajdem. Zaangażowanie środków i ludzi było zbyt wielkie jak na taką awanturę.

Ociężałe wskazał buławą marszałkowską, wręczoną mu osobiście przez Hitlera, na jeden z rozbitych Churchilli.

* Nikt nie poświęca dwudziestu lub trzydziestu najnowocześniejszych czołgów na zwykły rajd.

Wśród zgromadzonych oficerów rozległ się szmer aprobaty.

* Bez znaczenia. W naszych oświadczeniach propagandowych musimy podkreślać, że przeciwnik wierzył

w uchwycenie przyczółka w Dieppe, by wykorzystać możliwości tego portu do przerzucenia rezerw operacyjnych i stworzenia drugiego frontu. Możemy tę operację nazwać nieudaną próbą stworzenia takiego frontu. Czy to jest zrozumiałe?

* Zrozumiałe, ekscelencjo!

Przez kilka chwil wiekowy feldmarszałek milczał zatopiony we własnych myślach. Jego wodniste oczy zatrzymały się na grupie żołnierzy kanadyjskich zabitych podmuchem ognia, gdy ustawiali karabin maszynowy. Jeden nadal leżał przy kolbie broni, patrzył wzdłuż lufy, a na jego twarzy malowało się wyraźnie poczucie obowiązku i powaga, której nie zmazało nawet piętno śmierci i wstrętne wielkie muchy spacerujące po jego zeszkłonych gałkach ocznych. Obok leżał ładowniczy z dłońmi zaciśniętymi na łukowatym magazynku. Usta miał wykrzywione w ponurym uśmiechu, który nadawał jego twarzy wyraz triumfu.

* To była amatorska operacja * wyszeptał gorzko sam do siebie. * Można pomyśleć, że od początku myśleli o tym, by im się nie udało.

Wzdrygnął się.

* Jakież problemy? * spytał zaniepokojony adiutant.

* Nie, Heinz, nic ważnego * feldmarszałek uśmiechnął się smutno, a jego oczy niemal zniknęły wśród zmarszczek pokrywających zwiędłą twarz. * Gnidy zżerają mi wątrobę. Ale powiem wam jedno, panowie

* podniósł wyżej swój słaby głos, aby wszyscy słyszeli. * Już więcej nie zrobią tego w ten sposób. A na pewno przyjdą raz jeszcze, uwierzcie mi!

Spojrzał ponownie na gładkie morze, na szybko zachodzącą, miedzianą tarczę słońca

i odwrócił się bez słowa. Oficerowie sztabowi, nagle pełni obaw, ruszyli w stronę czekającego na nich Horcha.

* W porządku, wszystko jasne * wyszeptał Schulze, gdy samochód sztabowy z wiekowym pasażerem odjechał i plaża ponownie zastygła w bezruchu. * Nareszcie pojechał, Matzi.

Matz, z twarzą pokrytą potem i brudem bitewnym, wyszedł, kuśtykając, z głębokiego cienia i skierował

się w stronę towarzysza.

* Kto to był?

* Rundstedt, przynajmniej tak myślę.

* Miał twarz jak czterdziestodniowy deszcz. Pomyślałbyś, że on był szczęśliwy? Po tym wszystkim, odniósł przecież kolejne zwycięstwo. To przybliżyła go trochę do miejsca w podręcznikach historycznych.

Schulze wzruszył ramionami.

* Zwycięstwo, tak to nazywasz?

Wskazał ręką na zniszczony krajobraz i woskowe twarze zabitych.

Matz powoli skinął głową. Nawet na niego działał widok tysięcy zabitych Kanadyjczyków leżących sztywno i cicho, porzuconych na plaży. Potem powiedział zniżonym głosem:

* Och, chodźmy już, Schulze, zabierajmy się do roboty.

W ciszy kulawy Matz podążył za zwalistym Schulzem i wspólnie zaczęli badać każdy porzucony i zniszczony pojazd służb pomocniczych, w nadziei, że znajdą obfite łupy.

* Gdzie są pieprzeni Szkoci, tam musi być też szkocka whisky * pouczał Schulze przyjaciela po tym, jak zobaczyli, że Rzeźnik schodzi w dół na plażę ku zabitemu, chuderlawemu Brytyjczykowi w podartym kilcie, co wskazywało, że był on Szkotem. * Mały chłopczyk pani Schulze musi sobie z tym poradzić!

Ale przygnębiający widok tysięcy zabitych leżących na plaży spowodował, że sierżant zaczął chwilowo żałować swojej decyzji. I to pomimo tego, że obiecał majorowi von Doden* burgowi dostarczyć jeszcze przed wieczorem kilka butelek whisky dla wyczerpanych i rozbitych psychicznie żołnierzy z resztek Pierwszej Kompanii.

* Te złodziejskie bękarty ze służb tyłowych, kucharze, naprawiacze kości, zamiatacze górien i żandarmi już pakują łupy w nasze łupy!

Dlatego też, gdy przejeżdżali PzKpfw IV trasą równoległą do promenady, w każdej chwili gotowi do przejścia zdobyczy, która miała zostać odwieziona do kompanii, dwaj pancerniaczy byli przygnębieni i starali się uniknąć niezliczonych martwych oczu, które patrzyły z wyrzutem na intruzów.

W koocu znaleźli to, czego szukali. Był to dziup* amfibia z białymi i zielonymi znakami służb pomocniczych. Pojazd miał zniszczoną oś, a skrwawiona głowa kierowcy spoczywała na ramie przedniej szyby. Z tyłu pojazdu znajdowały się nietknięte drewniane skrzynki.

* Whisky * stwierdził Matz bez poczucia triumfu.

Szulze pokiwał głową, po czym gwizdnął przeraźliwie głośno. To był sygnał dla kaprała, by zatrzymał

czołg. Z łatwością, którą nabył, przenosząc w młodości kilkudziesięciokilogramowe worki z cementem w hamburskich dokach, rzucił skrzynkę w ręce Matza.

Ten ostatni ruszył w kierunku czekającego czołgu. Z daleka doleciał Schulzowego stukot podkutych butów.

Żandarmeria polowa, powiedział do siebie i chwycił dwie skrzynki pod pachy. Zabrał je z Matzem, który dopiero co wdrapał się na ścianę nadbrzeża, i ruszyli szybko w kierunku schowanego w cieniu PzKpfw IV.

* Masz * wrzucił cztery skrzynki na pokrywę silnika. * Schowaj je, bo idą łowcy głów.

Kapral przejął je i podawał w głąb wieży, w sprawne ręce nowego kierowcy.

* A co z tą jedną? * spytał na koniec kapral, wskazując na skrzynkę, którą nadal trzymał Matz.

Szulze potrząsnął głową.

* Tę zatrzymujemy dla siebie. A teraz wynoście się stąd, nim te psy przyłapią was z tym towarem. I powiedz dowódcy, że obiecał nam dwa dni przepustki do Dieppe za nasze zasługi.

Kapral otworzył usta, bo chciał zaprotestować, ale po chwili zmienił zdanie. Pospiesznie

zniknął w wieżycze czołgu, który natychmiast ruszył ze zgrzytem gąsienic. Matz nadal trzymał skrzynkę w rękach i czekał, aż ucichnie hałas odjeżdżającego pojazdu.

* W czym nam to pomoże, Schulze? Sierżant wziął od niego skrzynkę i zarzucił

sobie na bark.

* Słuchaj dokładnie, ty mokry wypierdku, wyjaśnię ci to bardzo prosto. Ta whisky jest warta fortunę, prawda?

Matz potaknął.

* Co więc powinien z nią zrobić mały chłopczyk pani Schulze?

* Opchnął ją na czarnym rynku * odparł Matz. * Wiem o tym, ty wojenny jebako. Ale co zrobimy z zielonymi, które za to dostaniemy?

* Przyłączymy się do ruchu oporu * oznajmił Schulze, wsadzając kciuk w kółko, które zrobił z dwóch palców drugiej dłoni.

Lubieżne oczka Matza zabłysły po raz pierwszy od czasu, gdy zobaczył przerażającą plażę.

* Masz na myśli Rosi* Rosi?

* No jasne, ptasi mózdzku. Z boską pomocą dotrzemy tam z wodą ognistą i wynajmiemy cały ten przybytek na następne czterdzieści osiem godzin. Tylko dla ciebie i dla mnie, Matzi!

* Na sianko ze świętej stajenki * wysapał Matz. * Ależ droga przed nami!

Twarz Schulzego stwardniała, ale na tylko na jedno mgnienie oka.

LEO KESSLER

* Wiesz, co mówią * powiedział poważnie, patrząc na niezliczone trupy niknące teraz w mroku nocy
*

wojna to piekło, ale czas pokoju...

* Na pewno cię zabije! * zawołał Matz.

Gdy zza rogu budynku wyłonił się maszerujący spokojnie patrol żandarmerii, biegli już wariacko wzdłuż promenady w stronę burdelu, śmiejąc się jak szaleocy.

SPIS TREŚCI

KSIĘGA PIERWSZA

OPERACJA JUBILEE

KSIĘGA DRUGA

BATERIA.....

Major von Dodenburg, bez hełmu, z twarzą pokrytą potem i kurzem, kipiał z wściekłości. Połowa kompanii ochotników z Hitlerjugend leżała na pokrwawionym bruku ulicy. Był pozbawiony

jakiegokolwiek kontaktu z Sępem. A przestraszeni, ocalali żołnierze nie śmieli nawet stanąć na środku najniższego piętra, bo obawiali się, że partyzanci siedzący wyżej będą do nich strzelać przez cienki strop między kondygnacjami.

Major poszukiwał rozpaczliwie wyjścia z sytuacji, przyciskając plecy do brudnej kuchennej ściany. Nie można było ruszyć do ataku po prymitywnych drewnianych schodach, które prowadziły na piętro wypełnione francuskimi strzelcami. Ci ostatni byli świetnie zabarykadowani i bez litości zastrzelą każdego, kto postawi nogę choć na pierwszym stopniu schodów. Nie można było również próbować ataku z zewnątrz. Co jakiś czas Maquis omiatali ulicę seriami z angielskich stenów i każdy atak musiał

ściągnąć cały ogień wroga.